



T.Lobsang Rampa Jaskinia Starożytnych

T. LOBSANG RAMPA

JASKINIA
STAROŻYTNYCH

(Tytuł oryginału: "The Cave of The Ancients")

Dla

Maxa i Valerii Sorock

dwojga poszukiwaczy Prawdy

Wstęp

Jest to książka o okultyzmie i o mocy człowieka. Jest to zrozumiała książka, w której nie ma żadnych "obcych słów", sanskrytu, martwych języków. Przeciętna osoba chce ZNAĆ rzeczy, a nie chce odgadywać znaczenia słów, których również nie rozumie przeciętny autor! Jeżeli pisarz zna swój fach, może pisać po angielsku bez maskowania braku wiedzy stosowaniem obcego języka.

Zbyt wiele osób wpada w pułapkę wzniosłych słów. Prawa Życia są bardzo proste; nie ma potrzeby ubierania ich w mistyczne czy pseudoreligie. Nie ma potrzeby komukolwiek ogłaszać "boskich objawień". KAŻDY może mieć te same "objawienia", jeśli je sobie wypracuje.

Żadna religia nie ma kluczy do Raju, nikt też nie będzie potępiony ponieważ chodzi do kościoła w kapeluszu na głowie zamiast bez butów. W tybetańskim klasztorze nad wejściem widnieje napis *Tysiąc mnichom, tysiąc religii*. Wierz, w co chcesz, *jeżeli postępujesz z innymi tak, jak chcesz żeby postępowano z tobą* – OTRZYMASZ swoje, gdy nadejdzie ostateczne Wezwanie.

Niektórzy mówią, że Duchowa Wiedza może zostać uzyskana przez przyłączenie do tego lub innego kultu i opłacenie okazałej składki. Prawa Życia mówią: *Szukajcie, a znajdziecie*.

Ta książka jest owocem długiego życia, treningu odbytego w najznakomitszych klasztorach Tybetu i mocy, które zostały uzyskane przez ścisłe przestrzeganie Prawa. Jest to wiedza przejęta od starożytnych, spisana w piramidach egipskich, w wielkich świątyniach Andów i największej skarbnicy wiedzy okultystycznej na świecie w górach Tybetu.

T. Lobsang Rampa

Rozdział I

Wieczór był ciepły, śliczny. Niezwykle ciepły jak na tę porę roku słodki zapach kadzidła, łagodnie unosząc się w bezwietrznym powietrzu, dodawał spokoju. W dali, w blasku chwały, słońce zachodziło za wysokie szczyty Himalajów, barwiąc śnieżne przybrania gór krwawą czerwienią, jakby w przestrodze przed krwią, która miała zalać Tybet w nadchodzących czasach.

Wydłużające się cienie wspinały się z wolna w kierunku Lhasy z bliźniaczych szczytów Potali i naszego, Czakpori. Poniżej, po prawej stronie, spóźniona karawana kupców z Indii kierowała się do Pargo Kaling lub Zachodniej Bramy. Ostatni pobożni pielgrzymi podążali z niestosownym dla nich pośpiechem po opasującej drodze Lingkor, jak gdyby obawiali się, że zostaną pochłonięci przez aksamitną ciemność szybko nadciągającej nocy.

Kyl Czu, albo Szczęśliwa Rzeka, płynęła wesoło w swej nie kończącej się podróży do morza, rozrzucając jasne błyski światła - hołd odchodzącego dnia. Lhasa była oświetlona złotą poświatą maślanych lamp. Z pobliskiej Potali zabrzmiała trąbka obwieszczająca koniec dnia. Jej dźwięki toczyły się i odbijały echem przez Dolinę; odbijały od skalnych powierzchni i powracały do nas ze zdwojonym brzmieniem.

Oglądałem znajomy obrazek. Przyglądałem się Potali, gdzie w setkach okien mnisi różnych stopni spełniali swoje wieczorne obowiązki. Na dachu potężnego budynku, przy Złotych Grobowcach, pojedyncza postać, samotna i odległa, stała obserwując. Gdy ostatnie promienie słońca skryły się za łańcuchami gór, trąbka zabrzmiała znowu, i ze świątyni poniżej rozniosły się niskie dźwięki śpiewu. Rychło ostatnie pozostałości światła zgasły i, jak klejnoty na purpurowym tle, na niebie zajaśniały gwiazdy. Meteor błysnął na niebie i zapłonął w wybuchu końcowej płomiennej chwały, zanim spadł na Ziemię w postaci szczypty dymiącego kurzu.

- Piękna noc, Lobsang! - powiedział dobrze znany głos.

- Piękna noc, rzeczywiście - powtórzyłem podnosząc się szybko, aby móc pokłonić się Lamie Mingyarowi.

Usiadł przy ścianie i pokazał, bym uczynił podobnie.

- Czy możesz sobie wyobrazić, że ludzie, ty i ja, mogą wyglądać tak jak to? - zapytał wskazując do góry.

Patrzyłem na niego w milczeniu. Czy mógłbym przypominać gwiazdy na nocnym niebie? Lama był wysokim człowiekiem, przystojnym, ze szlachetną twarzą. Nawet nie przypominał zbioru gwiazd! Roześmiał się widząc mój ogłupiały wyraz twarzy.

- Jak zwykle dosłownie, Lobsang, jak zwykle dosłownie - uśmiechnął się. - Miałem na myśli, że rzeczy nie zawsze są tym, czym się wydają. Jeżeli napisałbyś "Om! ma-ni pad-me Hum" tak duże, że wypełniłoby całą dolinę Lhasy, ludzie mogliby nie być w stanie tego przeczytać, ponieważ napis byłby zbyt wielki, by mogli go ogarnąć.

Przerwał i popatrzył na mnie, żeby upewnić się, czy nadażam za jego wyjaśnieniami.

- W ten sam sposób - mówił dalej - gwiazdy są "tak duże", że nie możemy określić, co w rzeczywistości tworzą.

Popatrzyłem na niego, jakby tracił rozsądek. Gwiazdy *tworzące* coś? Gwiazdy były - po prostu - *gwiazdami*. Wtedy pomyślałem, że pismo tak duże jak dolina stałoby się nieczytelne z powodu jego rozmiaru.

- Pomyśl - mówił dalej łagodny głos - że się kurczysz, kurczysz, stając tak małym jak ziarnko piasku. Jak wyglądałbyś dla ciebie wtedy? Przypuśćmy, że stałbyś się jeszcze mniejszy, że ziarnko piasku stałoby się dla ciebie wielkie jak świat. Jak wtedy byś mnie postrzegał?

Zamilkł na moment i popatrzył na mnie przenikliwie.

- No? Co *widziałbyś*? - zapytał.

Siedziałem i gapiłem się. Mózg miałem sparaliżowany tą myślą, usta otwarte jak u ryby wyrzuconej na brzeg.

- Widziałbyś, Lobsang - powiedział Lama - zbiór szeroko rozproszonych światów płynących w ciemności. Z powodu twoich małych rozmiarów mógłbyś widzieć molekuły mojego ciała jako osobne światy i rozległą przestrzeń pomiędzy nimi. Mógłbyś widzieć światy krążące wokół światów, mógłbyś widzieć "słońca", które są molekułami pewnych psychicznych centrów, mógłbyś widzieć *kosmos*!

Mój umysł zgrzytał, prawie mógłbym przysiąc, że "maszyna ponad moimi brwiami wpada w konwulsyjne drgawki z wielkiego wysiłku, jaki podjąłem w celu nadażania za tą dziwną, ekscytującą wiedzą.

Mój Przewodnik, Lama Mingyar Dondup, sięgnął do przodu delikatnie podniósł mój

podbródek.

- Lobsang! - zachichotał. - Oczy wyszły ci z wysiłku, by nadażyć za mną.

Wyprostował się uśmiechając i dał mi kilka chwil, abym ci szedł do siebie.

- Popatrz na materiał swojej szaty - powiedział. - Poczuj go!

Zrobiłem to. Czulem się wybitnie głupio, gdy wpatrywałem postrzępioną starą odzież, jaką nosiłem.

- To jest ubranie - zauważył Lama - coś gładkiego w dotyku. Nie możesz przez nie widzieć. Lecz wyobraź sobie, że patrzysz na nie przez szkło powiększające dziesięć razy. Pomyśl o grubych sznurach wełny jaków, każdy sznur dziesięć razy grubszy, niż widzisz go teraz. Mógłbyś zobaczyć światło pomiędzy sznurami. Lecz powiększ je milion razy, a będziesz mógł przejechać przez nie konno, nie wspominając, że każde włókno będzie zbyt potężne, by się na nie wspiąć!

Nabrało to dla mnie sensu teraz, kiedy mi to pokazano. Siedziałem i myślałem, kiwając głową, gdy Lama powiedział:

- Wyglądasz jak zgrzybiała stara kobieta!

- Panie! - powiedziałem w końcu - w takim razie całe życie to tylko przestrzeń, w której gdzieś rozsypane są światy.

- To nie jest *takie* proste - odpowiedział. - Usiądź wygodniej, chcę przekazać ci trochę Wiedzy, jaką odkryliśmy w Jaskini Starożytnych.

- Jaskinia Starożytnych! - wykrzyknąłem pełen chciwej ciekawości. - Zamierzasz opowiedzieć mi o tym i o Ekspedycji!

- Tak! Tak! - uspokoił mnie. - Opowiem, lecz najpierw zajmijmy się Człowiekiem i Życiem tak, jak rozumieli je Starożytni w czasach Atlantydy.

W głębi duszy byłem dużo bardziej zainteresowany Jaskinią Starożytnych, którą odkryła ekspedycja wysokich lamów, i która zawierała bajeczne zasoby wiedzy i urządzeń z czasów, kiedy Ziemia była jeszcze bardzo młoda. Znając mojego Przewodnika tak dobrze, jak znałem, wiedziałem, że nie mogę liczyć na usłyszenie opowieści, zanim on nie będzie gotowy. A to jeszcze nie nastąpiło. Ponad nami gwiazdy świeciły w całej swej wspaniałości, a ich blasku nie tłumilo rzadkie, czyste powietrze Tybetu. W świątyniach i klasztorach Lamów płonęły pojedyncze światła. Z oddali, niesione przez nocne powietrze, napłynęło żałosne zawodzenie psa i odpowiadające na nie poszczekiwanie psów we wsi Szö, leżącej poniżej nas. Noc była łagodna, nawet pogodna, i żadna chmura nie przepływała przez twarz księżyca, który wszedł przed chwilą. Flagi modlitewne wisały bez sił i bez życia na swoich masztach. Skądś napłynęło nieśmiałe kołatanie modlitewnego młynka, który obracał jakiś pobożny mnich, spętany przesadami i nieświadomy Rzeczywistości, w próżnej nadziei uzyskania łaski Bogów.

Lama, mój Przewodnik, uśmiechnął się, słysząc ten dźwięk.

- Każdemu zgodnie z jego wiarą - powiedział - każdemu zgodnie z jego potrzebami. Dostojeństwo obrzędów religijnych jest pociechą dla wielu. Nie powinniśmy potępiać tych, którzy nie przebyli jeszcze wystarczająco długiej Drogi i nie potrafią stać bez kul. Zamierzam opowiedzieć ci, Lobsang, o naturze człowieka.

Poczułem, jak bardzo jest mi bliski *ten* Człowiek, jedyny, który kiedykolwiek okazywał mi uwagę i miłość. Słuchałem uważnie, by nie zawieść jego wiary we mnie. Przynajmniej tak zacząłem, lecz wkrótce stwierdziłem, że temat jest fascynujący, i wsłuchiwałem się z nieukrywaniem zainteresowaniem.

- Cały świat jest stworzony z wibracji, całe Życie, wszystko, co nieożywione, składa się z wibracji. Nawet potężne Himalaje - mówił Lama - są w istocie masą rozproszonych cząstek, z których żadna nie może dotknąć innej. Świat, Wszechświat, składają się z maleńkich cząstek materii, wokół których krążą inne. Tak jak nasze Słońce ma światy krążące wokół niego, zawsze zachowujące odległość, nigdy go nie dotykające, tak wszystko, co istnieje, składa się z wirujących światów.

Przerwał i spojrzał na mnie, być może zastanawiając się, czy to wszystko jest dla mnie zrozumiałe, lecz ja mogłem nadażyć za tym z łatwością.

- Duchy, które my, jasnowidze, widzimy w świątyni - kontynuował - są ludźmi, żywymi

ludźmi, którzy opuścili ten świat i weszli w stan, w którym ich cząsteczki są tak bardzo rozproszone, że "duch" może przejść przez najgęstsza ścianę, bez dotykania choćby jednej cząsteczki tej ściany.

- Szanowny Mistrzu - powiedziałem - dlaczego czujemy ciarki kiedy "duch" przechodzi koło nas?

- Każda cząsteczka, każdy mały układ "słońca i planety" je otoczony przez ładunek elektryczny nie tego rodzaju elektryczności, którą Człowiek wytwarza maszynami, lecz bardziej szlachetnej natury. Czasami widzimy taką elektryczność migoczącą na nocnym niebie. Tak jak Ziemia ma zorzę polarną migoczącą przy biegunach, tak samo najmniejsza cząstka materii ma swoją "zorzę polarną". "Duch" przechodzący zbyt blisko nas, powoduje łagodny wstrząs naszej aury, a my odczuwamy to jako ciarki.

Wokół nas noc była cicha, nawet powiew wiatru nie mącił spokoju; panowała cisza, którą można poznać tylko w takich krajach jak Tybet.

- W takim razie aura, którą widzimy, jest w istocie ładunkiem elektrycznym? - zapytałem.

- Tak! - odpowiedział mój Przewodnik, Lama Mingyar Dondup, - W krajach poza Tybetem, gdzie prąd elektryczny płynie przewodami wysokiego napięcia rozciągniętymi ponad ziemią, obserwowany jest "efekt korony", powszechnie znany wśród inżynierów elektryków. W tym "efekcie korony" druty zdają się być otoczone koroną, czy aurą, niebieskawego światła. Jest on obserwowany najczęściej w ciemne, mgliste noce, lecz oczywiście przez tych, którzy mogą widzieć.

Patrzył na mnie z zadumą.

- Kiedy pojedziesz do Czungkingu studiować medycynę będziesz używać instrumentu, który sporządza wykres elektrycznych fal mózgu. Całe Życie, wszystko, co istnieje, jest elektryczną wibracją.

- Teraz niczego nie rozumiem! - odpowiedziałem. - Jak życie może być wibracją i elektrycznością? Mogę zrozumieć jedynie jedno i drugie.

- Ależ mój drogi Lobsangu! - roześmiał się Lama. - Nie może być elektryczności bez wibracji, bez ruchu! To właśnie *ruch* tworzy elektryczność, dlatego są one nierozdzielnie związane.

Zobaczył moje zakłopotane spojrzenie i telepatycznie odczytał moje myśli.

- Nie! - powiedział - *Dowolna* wibracja *nie* zrobi tego! Pozwól mi przedstawić to w następujący sposób: wyobraź sobie naprawdę wielką muzyczną klawiaturę rozciągającą się stąd do nieskończoności. Wibracja, jaką my odbieramy jako ciało stałe, będzie reprezentowana przez jedną nutę na tej klawiaturze. Następna może reprezentować dźwięk, a kolejna będzie reprezentować wzrok. Inne nuty będą wskazywać uczucia, zmysły, cele, których nie rozumiemy podczas pobytu na tej Ziemi. Pies może słyszeć wyższe dźwięki niż człowiek, a człowiek może słyszeć niższe dźwięki niż pies. Można by wypowiedzieć słowa do psa w wysokich tonach, które pies mógłby słyszeć, a człowiek nie usłyszałby ich. Tak więc ludzie tak zwanego Duchowego Świata komunikują się z tymi jeszcze na Ziemi, którzy mają specjalny dar jasnosłyszenia.

Lama przerwał i uśmiechnął się lekko.

- Powstrzymuję cię przed pójściem do łóżka, Lobsang, ale będziesz miał cały ranek na odrobienie strat.

Gestem wskazał gwiazdy świecące tak jasno w czystym powietrzu.

- Od czasu odwiedzenia Jaskini Starożytnych i wypróbowania tam cudownych przyrządów, przyrządów nietkniętych od czasów Atlantydy, często fantazjowałem. Lubię myśleć o dwóch małych wrażliwych stworzeniach, mniejszych nawet niż najmniejszy wirus. Nie jest ważne, jaki mają kształt, załóżmy, że są one inteligentne i mają super, superprzyrządy. Wyobraź je sobie stojące na otwartej przestrzeni ich nieskończone małego świata (tak jak my stoimy teraz!):

- Ach! To jest piękna noc! - wykrzyknął Ay, patrząc uważnie w niebo.

- Tak - odpowiedział Beh. - To skłania do rozmyślenia o celu życia, czym jesteśmy, dokąd zmierzamy?

- Światy bez granic, miliony, miliardy ich - rozważał Ay, patrząc na nie kończące się szeregi gwiazd poruszające się po niebie. - Ciekaw jestem, ile z nich jest zamieszkałych?

- Nonsens! Świętokradztwo! Kpiny! - zająknął się Beh. - *Wiesz*, że nie ma życia oprócz tego na naszym świecie. Czy kapłani nie mówią nam, że jesteśmy stworzeni na obraz Boga? A jak może tam być inne życie, jeśli nie dokładnie takie jak nasze - nie, to jest niemożliwe, ty tracisz rozum!

- Oni mogą się mylić, wiesz, oni mogą się mylić! - mamrotał Ay pod nosem, kiedy wychodził.

Lama Mingyar Dondup uśmiechnął się do mnie.

- Mam nawet dokończenie tej historii! - powiedział. - Oto on - W pewnym odległym laboratorium, gdzie dostępne były mikroskopy o fantastycznej mocy, pracowało dwóch naukowców siadających wiedzę niewyobrażalną dla nas. Jeden siedział zgarbiony na ławie, oczy miał wlepione w super, supermikroskop. Nagle zerwał się, odsuwając stołek z głośnym szurnięciem po wypolerowanej podłodze.

- Patrz, Chan! - zawołał do swojego asystenta. - Podejź i popatrz na to!

Chan podniósł się, podszedł do podekscytowanego przełożonego i usiadł przed mikroskopem.

- Mam na szkiełku jedną milionową ziarnka siarczku ołowiu - powiedział przełożony. - Popatrz na to!

Chan wyregulował ostrość i zagwizdał zaskoczony.

- Nie do wiary! - wykrzyknął. - To wygląda jak kosmos przez teleskop. Świeące słońce, orbitujące planety...!

- Ciekaw jestem - powiedział zadumany przełożony - czy gdybyśmy mieli wystarczające powiększenie, żeby popatrzeć na pojedynczy świat - ciekaw jestem, czy jest tam *życie*?

- Nonsens! - powiedział Chan szorstko - oczywiście jest, że nie ma tam żadnego rozumnego życia. *Nie może* być. Czyż kapłani nie mówią, że jesteśmy stworzeni na obraz Boga, jak więc być tam inteligentne Życie?

Nad nami gwiazdy krążyły po swoich torach, bezustannie wiecznie. Uśmiechając się Lama Mingyar Dondup sięgnął do swojej szaty i wyjął pudełko zapalek, skarb przywieziony z dalekich Indii. Powoli wyjął jedną zapalkę i podniósł ją.

- Pokażę ci Tworzenie, Lobsang! - powiedział wesoło. Powolnym ruchem potarł główką zapalki o raskę pudełka, i gdy zapłonęła żywym ogniem, podniósł płonące drewnisko. Po chwili zdmuchnął ją!

- Tworzenie i śmierć - powiedział. - Płonąca główka emituje tysiące cząstek, eksplodujących jedna od drugiej. Każda była oddzielnym światem, cała była wszechświatem. A wszechświat ten zginął, kiedy zgasł płomień. Czy możesz powiedzieć, że nie było życia w tych światach?

Parzyłem niepewnie na niego, nie wiedząc, co powiedzieć.

- Jeżeli to były światy, Lobsang, i istniało na nich życie, to Życie światów mogło trwać miliony lat. Czy my jesteśmy jedynie zapaloną zapalką? Czy żyjemy tu, z naszymi smutkami i radościami - najczęściej smutkami! - myśląc, że to jest świat bez końca? Pomyśl, porozmawiamy o tym jutro.

Wstał i zniknął mi z oczu.

Potykać się na dachu, szukałem po omacku szczytu drabiny prowadzącej w dół. Nasze drabiny były inne niż te używane w świecie Zachodu, składały się z ponacinanych drągów. Znalazłem pierwsze nacięcie, drugie i trzecie, potem moja stopa poślizgnęła się w miejscu, gdzie ktoś rozlał masło z lampy. Spadłem w dół lądując w splątanej masie, widząc więcej "gwiazd", niż było na niebie nade mną i wywołując liczne protesty wśród śpiących mnichów. Z ciemności wyłoniła się ręka i dała mi szturchańca tak mocnego, że usłyszałem w głowie dzwonki. Szybko zerwałem się na nogi i schroniłem się w ciemności. Tak cicho, jak było to możliwe, znalazłem miejsce do spania, owinałem się swoją szatą i uwolniłem mój związek ze świadomością. Nie przeszkodziło mi nawet "szur-szur" śpieszących stóp, ani też dźwięki srebrnych dzwonek nie przerwały mojego snu.

Był już późny ranek, kiedy zostałem obudzony przez kogoś, kto kopał mnie zapamiętałe. Przez

mgłę zobaczyłem twarz ogromnego czeli.

- Obudź się! Obudź się! Na Święty Sztylet, jesteś leniwym psem!

Kopnął mnie znów - mocno. Wyciągnąłem się, chwyciłem jego stopę i wykręciłem. Z wstrząsającym łomotem kości zwałił się na podłogę rycząc:

- Opat! Opat! On chce cię zobaczyć, ty marudny idioto! Dając mu kopniaka w rewanżu za wszystkie, jakie on mi wymierzył, poprawiłem swoją szatę i ruszyłem pośpiesznie.

- Nie ma jedzenia, nie ma śniadania! - mamrotałem do siebie.

- Dlaczego każdy wzywa mnie właśnie wtedy, kiedy jest czas na jedzenie?

Pędząc wzdłuż nie kończących się korytarzy, wynurzając się zza narożników omal nie spowodowałem zawału serca u kilku starych mnichów, chodzących na trzęsących się nogach. Dobiegłem do pokoju Opata w rekordowym czasie. Wpadając, padłem na kolana wykonałem pokłony szacunku.

Opat przeglądał moje akta i w pewnej chwili usłyszałem pośpiesznie stłumiony chichot.

- A! - powiedział - szalony młody człowiek, który spada przez urwiska, smaruje dół szcudeł i powoduje więcej zamieszania niż ktokolwiek inny tutaj.

Przerwał i popatrzył na mnie surowo.

- Ale uczyłeś się dobrze, niezwykle dobrze – powiedział. Twoje metafizyczne zdolności są tak wysokie i jesteś tak dalece zaawansowany w swojej pracy akademickiej, że zamierzam skierować cię na specjalne, indywidualnie nauczanie u wielkiego Lamy Mingyara Dondupa. Zostaje ci dana szansa bez precedensu na wyraźne polecenie Jego Świątobliwości. Teraz powiadam Lamę, swojego Przewodnika.

Zwalniając mnie gestem ręki, Opat powrócił do swoich papierów. Z ulgą, że żaden z moich licznych "grzechów" nie wyszedł na jaw, pośpiesznie odszedłem. Mój Przewodnik Lama Mingyar Dondup, siedział czekając na mnie. Kiedy wchodziłem, przeszył mnie uważnym wzrokiem.

- Czy przerwałś swój post? - zapytał.

- Nie, Panie - odpowiedziałem. - Czcigodny Opat posł: I mnie, kiedy jeszcze spałem - jestem głodny!

Uśmiechnął się do mnie.

- Ach! - powiedział. - Pomyślałem, że masz nieszczęśliwą minę, jakbyś został maltretowany. Idź, zjedz śniadanie i wróć tutaj.

Nie trzeba mnie było poganiać - byłem głodny, a nie lubiłem tego. Nie wiedziałem wtedy - chociaż mi to przepowiadano! - że głód miał mi towarzyszyć przez wiele lat życia.

Posiłony dobrym śniadaniem, lecz z ciężkim sercem na myśl o czekającej mnie niełatwej pracy, wróciłem do Lamy Mingyara. Wstał, gdy wszedłem.

- Chodź! - powiedział. - Spędzimy tydzień w Potali.

Wskazując drogę, wielkimi krokami opuścił salę i wyszedł na zewnątrz, gdzie mnich stajenny czekał z dwoma końmi. Posepnie patrzyłem na konia przeznaczonego dla mnie. On patrzył jeszcze bardziej ponuro, myśląc pewnie gorzej o mnie, niż ja o nim. Z uczuciem zbliżającej się zguby dosiadłem konia i kurczowo się go uczepiłem. Konie były strasznymi stworzeniami niebezpiecznymi, pełnymi temperamentu i nieokiełznanymi. Jazda konna była ostatnią z czynności, którą mógłbym opanować.

Jechaliśmy w dół górzystą ścieżką z Czakpori. Mijając po prawej stronie Pargo Kaling przekroczyliśmy drogę Mani Lakhang i niebawem wjechaliśmy do wsi Szó - tam mój Przewodnik zrobił krótki postój i potem z trudem wspinaliśmy się po stromych stopniach Potali. Jazda konno w górę schodów jest nieprzyjemnym doświadczeniem i moją główną troską było nie spaść! Mnisi, lamowie i goście, nieprzerwany ich tłum poruszał się z trudem w górę i w dół schodów. Niektórzy zatrzymywali się, by podziwiać widoki, inni, którzy byli przyjęci przez samego Dalaj Lamę, myśleli tylko o tym spotkaniu. Na szczycie schodów zatrzymaliśmy się. Zsiadłem z ulgą, lecz bez wdzięku z mojego konia. Biedne zwierzę zarżało z odrazą i odwróciło się do mnie tyłem!

Potem szliśmy, wspinając się drabina po drabinie, aż osiągnęliśmy poziom Potali, gdzie Lama Mingyar Dondup miał stałe pokoje przeznaczone dla niego i gdzie, w pobliżu, znajdował się Pokój Nauki. W tym pokoju znajdowały się dziwne urządzenia z krajów całego świata, a najdziwniejsze

z nich pochodziły z zamierchłej przeszłości. Tak więc w końcu osiągnęliśmy nasz cel i ulokowałem się na pewien czas w czymś, co było teraz moim pokojem.

Z mojego okna, wysoko w Potali, tylko piętro niżej niż okna Dalaj Lamy, mogłem patrzeć na Lhasę i Dolinę. W dali widziałem wielką Katedrę (Jo Kang) z lśniącem złotym dachem. Okrążająca droga, czyli Lingkor, rozciągała się daleko w przestrzeni otaczając Lhasę pierścieniem. Pobożni pielgrzymi tłoczyli się na niej. Wszyscy przybywali, by złożyć ofiarę ze swych trudów przy największym na świecie miejscu nauki okultyzmu. Zachwycalo mnie szczęście, że mam takiego cudownego Przewodnika jak Lama Mingyar Dondup; bez niego mógłbym być zwykłym czelą, żyjącym w ciemnej sali sypialni, zamiast być prawie na szczycie świata. Nagle, tak nagle, że wydałem okrzyk zaskoczenia, silne ramiona pochwyciły mnie i uniosły w powietrze.

- Tak! - powiedział głęboki głos. - Myślisz, że twój Przewodnik jest tym, który zabiera cię wysoko do Potali i karmi tymi niezdrowymi słodkimi cukierkami z Indii?

Roześmiał się na moje protesty, a ja byłem zbyt ślepy, czy też zbyt zmieszany, żeby uświadomić sobie, że wiedział, co myślę o nim!

- Jesteśmy w kontakcie - powiedział w końcu. - Zналиśmy dobrze w przeszłym życiu. Masz całą wiedzę o tym przeszłym życiu i jedynie musisz ją sobie przypomnieć. Teraz musimy pracować. Chodź do mojego pokoju.

Poprawiłem szatę i położyłem na miejsce miszkę, która upadła kiedy zostałem uniesiony w powietrze. Potem pośpieszyłem pokoju mojego Przewodnika. Wskazał mi gestem, żebym usiadł.

- Czy rozmyślałeś o sprawach Życia, o naszej dyskusji z ostatniej nocy? - zapytał, gdy już się usadowiłem.

Opuściłem głowę z przerażeniem.

- Panie - odpowiedziałem - spałem, kiedy Opat chciał mnie widzieć, potem ty chciałeś mnie widzieć, potem jadłem, a wtedy chciałeś widzieć mnie znowu. Nie miałem dzisiaj czasu myśleć o *czymkolwiek!*

- Potem porozmawiamy o skutkach jedzenia, lecz najpierw zajmijmy się Życiem - powiedział z uśmiechem na twarzy.

Przerwał i wyciągnął rękę po książkę, która została napisana w pewnym obcym języku. Teraz wiem, że był to język angielski

Przewracał kartki i wreszcie znalazł to, czego szukał.

- Czy wiesz co to jest? - zapytał podając mi książkę otwartą na rysunku.

Spojrzałem na rysunek, a był on tak zwyczajny, że patrzyłem tylko na dziwne słowa pod nim. Nic one dla mnie nie znaczyły.

- Wiesz, że nie umiem tego przeczytać, Dostojny Lamo! - powiedziałem z wyrzutem, oddając książkę.

- Ale rozpoznajesz rysunek? - nalegał.

- Tak, to jest duch przyrody, nic innego. Byłem coraz bardziej zaintrygowany. O *co* w tym wszystkim chodziło? Lama otworzył książkę ponownie.

- W dalekich zamorskich krajach powszechna zdolność widzenia duchów przyrody została utracona - powiedział. - Jeżeli ktoś widzi takiego ducha, to staje się przedmiotem kpin, jest dosłownie oskarżany z tego powodu. Ludzie Zachodu nie wierzą w coś, dopóki nie można tego rozłożyć na kawałki lub trzymać w rękach, albo włożyć do klatki. Duch przyrody jest określany na Zachodzie jako wróżka - a w opowieści o wróżkach nikt *nie* wierzy.

Zdziwiło mnie to ogromnie. Ja mogłem widzieć duchy zawsze i traktowałem je całkowicie naturalnie. Potrząsnąłem głową, aby usunąć z niej trochę mgły.

- Całe Życie - kontynuował Lama Mingyar Dondup - jak ci powiedziałem ostatniej nocy, składa się z szybko wibrującej materii wytwarzającej ładunek elektryczny, a elektryczność jest życiem materii. Tak jak w muzyce, są tam różne oktawy. Wyobraź sobie, że zwykły człowiek na ulicy wibruje w pewnej oktawie, natomiast duch przyrody i duch będą wibrować w wyższej oktawie. Ponieważ przeciętny człowiek żyje, myśli i wierzy tylko w jednej oktawie, ludzie z innych oktaw są dla niego niewidzialni!

Merknad [p1]: Strona 16

Merknad [p2]: Strona 17

Bawiłem się swoją szatą myśląc o tym; nie miało to dla mnie sensu. Mogłem widzieć duchy i duchy przyrody, zatem *każdy* mógł także je widzieć.

- Ty widzisz aurę ludzi - odpowiedział Lama czytając moje myśli. - Większość innych ludzi jej nie widzi. Ty widzisz duchy przyrody i duchy. Większość ludzi ich nie widzi. Wszystkie małe dzieci widzą takie rzeczy, ponieważ młodzi są bardziej wrażliwi. Gdy dziecko dorasta, troski życia osłabiają percepcję. Na Zachodzie dzieci, które opowiadają rodzicom, że bawiły się z duchowymi towarzyszami zabaw, są karane za opowiadanie kłamstw, lub są wyśmiewane z powodu ich "żywej wyobraźni". Dzieci czują się dotknięte takim traktowaniem i po pewnym czasie przekonują siebie, że to wszystko była wyobraźnia! Ty, z powodu specjalnego wychowania, widzisz duchy i duchy przyrody i zawsze będziesz je widział - tak samo zawsze będziesz widział ludzką aurę.

- To nawet duchy przyrody, które opiekują się kwiatami, są takie same jak my? - zapytałem.

- Tak - odpowiedział. - Takie same jak my, z wyjątkiem tego, że wibrują szybciej i ich cząsteczki materii są bardziej rozproszone. Dlatego ty możesz przełożyć przez nie rękę, tak jak możesz włożyć rękę w promień słońca.

- Czy kiedykolwiek. Panie, *dotknąłeś*, no wiesz, *trzymałeś* ducha? - zapytałem.

- Tak, dotknąłem! - odpowiedział. - Można to zrobić, jeżeli podwyższy się swoją szybkość wibracji. Opowiem ci o tym.

Mój Przewodnik dotknął swojego srebrnego dzwonka, daru od Opaty jednego z bardziej znanych tybetańskich klasztorów. Mnich służący, znający nas dobrze, przyniósł nie tsampe, lecz herbatę z plantacji indyjskich i te słodkie ciasteczka, które były przenoszone przez wysokie góry specjalnie dla Jego Świątobliwości Dalaj Lamy, i które ja, biedny czela, lubiłem tak bardzo. *Nagroda za szczególną gorliwość w nauce*, jak często mawiał Jego Świątobliwość. Lama Mingyar Dondup zwiedził świat zarówno fizyczny jak i astralny. Jedną z jego nielicznych słabości był pociąg do indyjskiej herbaty. Słabość, którą ja aprobowałem z całego serca! Usiedliśmy wygodnie i gdy tylko skończyłem swoje ciasteczka, mój Przewodnik i Przyjaciel powiedział:

- Pewnego razu wiele lat temu, gdy byłem młodym człowiekiem, biegłem tutaj w Potali i wypadłem z za rogu - tak jak to robisz, Lobsang! Byłem spóźniony na modły i, ku mojemu przerażeniu, zobaczyłem dostojnego Opaty blokującego mi drogę. On się śpieszył! Nie było czasu, by go wyminąć. Właśnie powtarzałem przeprosiny, kiedy przebiegłem prosto przez niego. On tak samo zaskoczony jak ja. Jednak ja byłem tak otumaniony, że biegłem dalej i nie spóźniłem się, w każdym razie prawie się spóźniłem.

Roześmiałem się, myśląc o *pedzącym* dostojnym Lamie Mingyarze! On uśmiechnął się do mnie i opowiadał dalej.

- Później, w nocy myślałem o tym. Pomyślałem: *Dlaczego nie mogłem dotknąć ducha?* Im więcej myślałem o tym, tym bardziej byłem pewien, że *mógłbym* go dotknąć. Układałem swoje plany starannie, przeczytałem wszystkie stare Pisma o tych sprawach. Radziłem się też pewnego mędrca, który żył w jaskini wysoko w górach. Dużo mi powiedział, wprowadził mnie na właściwą drogę i teraz ja zamierzam powiedzieć ci to samo, ponieważ prowadzi to bezpośrednio do tematu dotykania ducha.

Nalał sobie trochę więcej herbaty i popijał ją przez chwilę, zanim zaczął opowiadać dalej.

- Życie, jak ci powiedziałem, składa się z masy cząsteczek, małych światów krążących wokół małych słońc. Ruchy powoduje substancja, którą, w celu lepszego określenia, będziemy nazywać "elektrycznością". Jeżeli odżywiamy się prawidłowo, możemy zwiększyć naszą szybkość wibracji. Prawidłowa dieta, a nie któraś z dziwacznych kultowych idei, poprawia zdrowie, zwiększa podstawową szybkość wibracji. W ten sposób zbliżamy się do szybkości wibracji duchów.

Przerwał i zapalił nowy kawałek kadzidła. Zadowolony, że koniec żarzy się właściwie, skierował uwagę na mnie.

- Jedynym celem kadzidła jest zwiększenie szybkości wibracji przestrzeni, w której ono płonie i szybkości wibracji tych, którzy znajdują się w tej przestrzeni. Używając właściwego kadzidła wobec wszystkiego, co może osiągać pewne wibracje, możemy uzyskać zadawalające rezultaty. Przez tydzień utrzymywałem surową dietę, która zwiększała moją wibrację, czyli

"częstotliwość". Także przez tydzień bezustannie paliłem właściwe kadzidło w moim pokoju. Pod koniec tego okresu byłem prawie "poza" sobą. Czułem, że raczej płynąłem niż szedłem, odczuwałem trudności w utrzymywaniu mojego astralnego ciała w fizycznym.

Popatrzył się na mnie i uśmiechnął się.

- Ty nie zaakceptowałbyś tak ścisłej diety! - powiedział.

- Nie - pomyślałem. - Wolałbym raczej dotknąć solidnego posiłku, niż jakiegoś dobrego ducha!

- Pod koniec tygodnia - powiedział Lama, mój Przewodnik - poszedłem do Wewnętrznej Świątyni i w czasie, gdy błagałem ducha, żeby przyszedł i mnie dotknął zapaliłem więcej kadzidła. Nagle poczułem ciepło przyjaznej dłoni na moim ramieniu. Obróciłem się, żeby zobaczyć, kto przerwał moją medytację i podskoczyłem prawie zaplątując się we własną szatę, gdy spostrzegłem, że dotyka mnie duch kogoś, kto "zmarł" ponad rok temu.

Lama Mingyar Dondup przerwał nagle i roześmiał się głośno na myśl o tym dawnym doświadczeniu.

- Lobsang! - wyjaśnił w końcu. - To stary "martwy" lama uśmiechnął się do mnie i zapytał, dlaczego przechodziłem przez te wszystkie trudności, skoro jedyne, co powinienem zrobić, to wejść w astral! Przyznaję, że poczułem się upokorzony ponad miarę na myśl, że umknęło mi takie oczywiste rozwiązanie. Teraz, jak dobrze wiesz, wchodzimy w astral, aby rozmawiać z duchami.

- Oczywiście, mówisz o telepatii - zauważyłem. - Ja nie znam, żadnego wyjaśnienia telepatii. Robię to, ale w jaki sposób?

- Zadajesz najtrudniejsze pytanie, Lobsang! - roześmiał się mój Przewodnik. - Najprostsze rzeczy są najtrudniejsze do wyjaśnienia. Powiedz mi, jak mógłbyś wyjaśnić proces oddychania? Robisz to, każdy to robi, lecz *jak* wyjaśnić ten proces?

Skinąłem ponuro. Wiem, zawsze zadawałem pytania, ale był to jedyny sposób, żeby czegoś się dowiedzieć. Większość innych czeli nie interesowała się niczym; dopóki mieli pożywienie i nie mieli zbyt dużo pracy, byli zadowoleni. Ja chciałem więcej, chciałem *wiedzieć*.

- **Mózg** - powiedział Lama - jest jak radioodbiornik, jak i urządzenie, którego Marconi używał do przesyłania wiadomości przez ocean. Zbiór cząstek i ładunków elektrycznych, które tworzą istotę ludzką, posiada elektryczny, albo radiowy, mechanizm w mózgu który mówi, co należy zrobić. Kiedy człowiek myśli, lub porusza ręką albo nogą, prądy elektryczne pędzą przez odpowiednie nerwy pobudzając mięśnie do odpowiedniego działania. W ten sposób, gdy ktoś myśli, fale radiowe lub elektryczne – faktycznie pochodzą one z wyższej części widma radiowego - są wypromieniowywane przez mózg. Pewne instrumenty potrafią wykryć to promieniowanie i mogą nawet sporządzić jego wykres w sposób określany przez zachodnich doktorów jako linie "alfa, beta, delta i gamma". Skinąłem powoli, słyszałem już o tym od lamów lekarzy.

- Teraz - mówił mój Przewodnik - również wrażliwe osoby mogą wykryć to promieniowanie i mogą je rozumieć. Ja czytam twoje myśli, a gdy ty spróbujesz, będziesz mógł czytać moje. Im bardziej dwie osoby sympatyzują ze sobą, są we wzajemnej harmonii, tym łatwiej jest im czytać to promieniowanie mózgu, jakim są myśli. Tak dochodzimy do telepatii. Bliźnięta mogą często kontaktować się telepatycznie. Identyczne bliźnięta, u których mózg jednego jest duplikatem mózgu drugiego, są tak silnie związane telepatycznie, że często trudno jest określić, od którego z nich pochodzi myśl.

- Dostojny Panie - powiedziałem. - Jak wiesz, mogę odczytać większość sygnałów z umysłów. Dlaczego tak jest? Czy je- "•"osób z tą szczególną zdolnością?

- Ty, Lobsang - odpowiedział mój Przewodnik – jesteś szczególnie obdarzony i przeszedłeś specjalne ćwiczenia. Twoje moce będą powiększane, na nasze polecenie, przy pomocy każdej metody, ponieważ masz w swoim życiu wykonać trudne zadanie.

Potrząsnął głową w zadumaniu.

- Naprawdę trudne zadanie. W dawnych czasach, Lobsang, ludzkość mogła telepatycznie porozumiewać się ze światem zwierząt. W przyszłości, kiedy ludzkość spostrzeże szaleństwo zdolność ta zostanie odzyskana. Raz jeszcze człowiek i zwierzę będą szły razem w pokoju nie czyniąc sobie krzywdy.

Poniżej nas zabrzmiał dwa razy gong. Potem rozległ się dźwięk trąbek i Lama Mingyar Dondup skoczył na równe nogi.

- Musimy się pośpieszyć, Lobsang – powiedział. – Modły świątynne zaraz się zaczną i będzie wśród nas sam Najdostojniejszy.

W pośpiechu zerwałem się na nogi, poprawiłem szatę i popędziłem za swoim Przewodnikiem, który był już daleko w dole korytarza, prawie poza zasięgiem mojego wzroku.

Merknad [p4]: koniec rozdziału I

Rozdział //

Wielka Świątynia zdawała się być żywą istotą. Z mojego dogodnego do obserwacji punktu wysoko na dachu mogłem patrzeć w dół i widzieć cały ogrom tego miejsca. Wcześniej tego samego dnia mój Przewodnik Lama Mingyar Dondup i ja przybyliśmy do tego miejsca ze specjalną misją. Teraz Lama rozmawiał na osobności z wysokim dostojnikiem, a ja, mogąc swobodnie waleśać się odkryłem ten kapłański punkt obserwacyjny wśród potężnych krokwi podtrzymujących dach. Włócząc się po skraju dachu odkryłem drzwi, które odważnie pchnąłem. Moje postępowanie nie spotkało się z żadnym głośnym okrzykiem gniewu, zajrzałem więc do środka. Miejsce było puste. Wszedłem i znalazłem się w małym kamiennym pokoju podobnym do celi wbudowanej w skaliste ściany Świątyni. Za mną znajdowały się małe drewniane drzwi, z obydwu stron - kamienne ściany, a przede mną – kamienny występ o wysokości około trzech stóp.

W milczeniu przesunąłem się do przodu i uklęknałem tak, że jedynie moja głowa wystawała powyżej kamiennego występu. Czułem się jak Bóg w niebie spoglądający na pokornych śmiertelników, patrzący w dół na przyćmiony mrok podłogi Świątyni o wiele stóp niżej. Na zewnątrz Świątyni purpurowy zmierzch torował drogę ciemności. Ostatnie promienie zachodzącego słońca gasły za pokrytymi śniegiem szczytami, śląc opalizujące fontanny światła przez wieczny puch śniegu, spadającego z najwyższych pasm.

Ciemność Świątyni była rozpraszana, a miejscami pogłębianą przez setki migoczących maślanych lamp. Lamy, świecące jak złote punkty światła, rozsiewały wokół spokojny blask. Wyglądało to tak, jakby gwiazdy leżały u moich stóp zamiast nad głową. Nieziemskie cienie bezgłośnie przemykały się po potężnych kolumnach. Cienie, czasem cienkie i wydłużone, czasem, krótkie i przysadziste, lecz zawsze groteskowe i dziwaczne, przecinało oświetlenie czyniące zwykły widok niecodziennym, niezwykle dziwnym, nie do opisanania.

Przyglądałem się im, patrzyłem w dół czując, jakbym był na granicy światów, niepewny tego, co widziałem i co sobie wyobrażałem. Pomiedzy mną a podłogą przepływały chmury niebieskiego dymu kadzidła wznoszącego się warstwa za warstwą, sprawiając, że poczułem się jak Bóg spoglądający w dół, przez obłoki, na Ziemię. Łagodnie wznoszące się chmury kadzidła kłębiły się gęsto z kadzielnic, kołysanych przez młodych, pobożnych czeli. Chodzili oni tam i z powrotem, bezgłośnie stąpając, z nieruchomymi twarzami. Gdy odwracali się raz po raz, miliony punktów światła odbijały się od złotych kadzielnic i wysyłały oślepiające promienie światła. Z mojego dogodnego punktu obserwacyjnego mogłem patrzeć w dół i widzieć czerwono żarzące się kadzidło. Owiewane podmuchami wiatru prawie wybuchało płomieniami i wysyłało fontanny czerwonych, szybko umierających iskier. Otrzymując nowe życie dym kadzidła unosił się w grubych kolumnach błękitu, tworząc wlokące się ścieżki ponad i za celami. Unosząc się wyżej, dym tworzył jeszcze jedną chmurę w Świątyni. Kłębiąc się i kręcąc w delikatnych prądach powietrza, tworzonych przez poruszających się mnichów, zdawał się być żywą istotą, niewyraźnie widoczną, oddychającą i śpiącą. Przez chwilę patrzyłem będąc nieomal zahipnotyzowany wizją, że znajduję się w żywym stworzeniu, obserwując unoszenie się i poruszanie jego organów, słuchając dźwięków jego ciała, dźwięków samego Życia.

Przez mrok, przez chmury dymu kadzidła, mogłem widzieć zwarte szeregi lamów, trappów i czeli. Siedząc na podłodze ze skrzyżowanymi nogami rozciągali się w bezkresnych szeregach, aż stawali się niewidoczni w najdalszych niszach Świątyni. W swoich szatach zakonnych wszyscy

byli jak żywa, pomarszczona, pstrokata tkanina w znanych barwach. Żłoto, szafran, czerwień, brąz i bardzo niewielka szczypta szarości. Kolory zdawały się ożywać i przenikać wzajemnie w momencie, gdy ich właściciele poruszali się. Na przedzie Świątyni siedział Jego Świątobliwość, Najdostojniejszy, Trzynasta Inkarnacja Dalaj Lamy, najbardziej szanowana Postać w całym buddyjskim świecie.

Słuchałem basowych śpiewów lamów, podkreślanych przez wysokie soprany małych czeli. Oglądałem chmury kadzidła, drgające zgodnie z niskimi tonami. Światła migotały w ciemności, kadzidło przygasło i ponownie wypełniało się deszczem czerwonych iskier. Modły trwały, a ja klęczałem i patrzyłem. Widziałem, jak tańczące cienie rosną i nikną na ścianach. Obserwowałem błyszczące punkty światła z trudem uświadamiając sobie, gdzie byłem i co robiłem.

Sędziwy lama zgarbiony pod ciężarem lat, które dawno już wykroczyły poza normalną długość życia, wyszedł wolno przed swoich braci zakonnych. Wokół niego krążyli uważni trappowi z laskami kadzidła i światłem w rękach. Lama skłonił się przed Najdostojniejszym i obracając się powoli pokłonił się wszystkim stronom świata. Wreszcie stanął zwrócony twarzą do mnichów zebranych w Świątyni. Zadziwiająco silnym głosem, jak na tak sędziwego człowieka, zaśpiewał:

Sluchajcie głosów naszych dusz. To jest Świat Iluzji. Życie na Ziemi jest jedynie snem, który, w porównaniu z życiem wiecznym, jest jak mgnienie oka. Sluchajcie głosów naszych dusz, wy wszyscy, którzy jesteście wielce przygnębieni. To życie uludy i smutku skończy się, a chwala życia wiecznego będzie udziałem sprawiedliwych. Pierwsza laska kadzidła jest zapalana, żeby udręczona dusza mogła być prowadzona.

Trappa wyszedł naprzód, skłonił się przed Najdostojniejszym i obracając się powoli pokłonił się czterem stronom świata. Zapalając laskę kadzidła obrócił się znowu i pokazał nią cztery strony. Basowy śpiew ponownie wzmógł się i ucichł, zastąpiony wysokimi sopranami młodych czeli. Dostojny lama recytował pewne fragmenty Pism, nadawał im wagi potrząsając swoim srebrnym dzwonkiem z zapalem okazywanym tylko w obecności Najdostojniejszego. Zapadając w milczenie, patrzył ukradkiem wokół, czy jego występ uzyskał należną aprobatę.

Sędziwy Lama wyszedł naprzód jeszcze raz i pokłonił się Najdostojniejszemu oraz czterem stronom świata. Inny trappa krążył w pogotowiu, nadmiernie niespokojny w obecność Głowy Państwa i Religii. Sędziwy Lama śpiewał:

Sluchajcie głosów naszych dusz. To jest Świat Iluzji. Życie na Ziemi jest doświadczeniem, pomagającym oczyścić się z naszych brudów i wznieść się wyżej. Sluchajcie głosów naszych dusz, wy wszyscy, którzy trwacie w zwątpieniu. Wkrótce pamięć ziemskiego życia przemienie i nastąpi pokój i uwolnienie od cierpienia. Druga laska kadzidła jest zapalana, aby wątpiąca dusza mogła być prowadzona.

Śpiew mnichów pode mną wzmógł się i rozwinął ponownie, gdy trappa zapalił drugą laskę i spełniał rytuał kłaniając się Najdostojniejszemu, wskazując kadzidłem kolejno każdą stronę. Ściany Świątyni zdawały się oddychać, kołysać zgodnie ze śpiewem. Dokoła sędziwego Lamy zebrały się duchowe postacie tych, którzy ostatnio odeszli z tego świata bez przygotowania i teraz wędrowali bez przewodnika, samotnie.

Drgające cienie zdawały się skakać i skręcać jak dusze w mękach. Moja świadomość, percepcja, nawet uczucia skakały pomiędzy dwoma światami. W jednym - patrzyłem z napiętą uwagą na toczące się poniżej mnie modły. W drugim - widziałem "pomiędzy światami", jak dusze niedawno zmarłych drżały ze strachu przed obcością Nieznanego. Oddzielone dusze, ubrane w przejmującą wilgotną, przylegającą ciemność, jęczały ze strachu i samotności. Z dala od siebie, z dala od wszystkich innych, z powodu ich braku wiary, były tak unieruchomione, jakby tkwiły w głębokim bagnie. W lepłą ciemność "międzyświata", ożywianą tylko słabym niebieskim światłem z tych duchowych form, dotarło śpiewanie, zaproszenie sędziwego Lamy:

Sluchajcie głosów naszych dusz. To jest Świat Iluzji. Tak jak człowiek umiera w Wyższej Realności, żeby móc się urodzić na Ziemi, tak musi umrzeć na Ziemi, żeby móc się urodzić w Wyższej Realności. Nie ma śmierci, są tylko narodziny. Ból śmierci jest bólem narodzin. Trzecia laska kadzidła jest zapalana, żeby cierpiąca dusza mogła być prowadzona.

Do mojej świadomości dotarł telepatyczny nakaz:

- Lobsang! Gdzie jesteś? Chodź do mnie zaraz!

Z wielkim wysiłkiem wcisnąłem się z powrotem do *tego* świata. Słaniając się na zdrętwiałych nogach, chwiejnym krokiem wyszedłem przez małe drzwi.

- Już idę. Szanowny Panie! - pomyślałem do mojego Przewodnika.

Przecierając oczy, łzawiące w zimnym nocnym powietrzu, po wyjściu z ciepłej, przesyconej dymem kadzidel Świątyni, potykałem się idąc po omacku wysoko nad ziemią do pokoju dokładnie nad głównym wejściem, gdzie czekał mój Przewodnik. Uśmiechnął się, gdy mnie zobaczył.

- Nie do wiary! Lobsang! - wykrzyknął. - Wyglądasz jakbyś zobaczył ducha!

- Panie - odpowiedziałem. - Widziałem kilka.

- Na noc, Lobsang, zostaniemy tutaj - powiedział Lama. Jutro pójdziemy i odwiedzimy Państwową Wyrocznię. Przeżyjesz interesujące doświadczenie, lecz teraz nastał czas najpierw na jedzenie a potem na sen...

Kiedy jedliśmy, byłem pochłonięty myśleniem o tym, co widziałem w Świątyni i zastanawiałem się, *jak* jest to "Świat Iluzji". Szybko skończyłem kolację i poszedłem do pokoju przeznaczonego dla mnie. Zawijając się w szatę, położyłem się i szybko zasnąłem. Sny, koszmary i dziwne uczucia męczyły mnie przez całą noc.

Śniłem, że usiadłem, zupełnie przebudzony, i wielkie kule leciały na mnie jak kurz podczas burzy. Siedziałem wyprężony, aż w wielkiej odległości pojawiały się małe punkciki stawały się coraz większe i większe, aż wreszcie były różnokolorowymi kulami. Osiągając wielkość głowy człowieka pędziły na mnie i znikały w dali za mną. We śnie - jeżeli to był sen nie mogłem odwrócić głowy, żeby zobaczyć, dokąd odleciały. Były tylko niezliczone kule wylewające się znikąd i pędzące obok mnie - donikąd? Zdumiewało mnie ogromnie, że żadna z tych kul nie uderzyła we mnie. Wyglądały solidnie, ale dla mnie były niematerialne.

- Tak jak duch widzi twarde, solidne ściany Świątyni, tak teraz widzisz ty! - powiedział głos za mną tak nieoczekiwanie, że od razu się obudziłem.

Zadrzałem w obawie. Czy byłem *martwy*? Czy umarłem tej nocy? Lecz czemu martwiłem się "śmiercią"? Wiedziałem, że tak zwana śmierć była jedynie ponownymi narodzinami. Położyłem się i zasnąłem jeszcze raz.

Cały świat trząsał się, skrzypiał i miotał jak szalony. Usiadłem zatrwożony myśląc, że Świątynia spada na mnie. Noc była ciemna. Jedynie upiorny blask gwiazd dawał odrobinę światła. Patrząc prosto przed siebie poczułem, jak włosy stają mi dęba na głowie ze strachu. Byłem sparalizowany. Nie mogłem ruszyć palcem i co gorsza - świat powiększał się. Gładki kamień ścian stawał się szorstką, porowatą skałą wygasłych wulkanów. Dziury w kamieniu rosły coraz bardziej i zobaczyłem, że zaludniały je koszarne twory, które widziałem przez dobry niemiecki mikroskop Lamy Mingyara.

Świat rósł i rósł. Straszne twory powiększały się do ogromnych rozmiarów stając się z upływem czasu tak wielkie, że mogłem zobaczyć *ich* pory! Świat powiększał się i powiększał, a wtedy przyszło mi na myśl, że staję się coraz mniejszy. Uświadomiłem sobie, że szalała burza kurzowa. Drobiniki kurzu z rykiem przelatywały obok mnie, lecz żadna mnie nie dotknęła. Nagle zaczęły powiększać się i powiększać. Niektóre z nich były wielkości głowy człowieka, inne były wielkie jak Himalaje. Lecz żadna nie dotknęła mnie. Wciąż powiększały się, aż straciłem całkowicie poczucie wymiaru, poczucie czasu. W moim śnie zdawałem się leżeć wśród gwiazd, zimny i bez ruchu, podczas gdy galaktyka za galaktyką mijały mnie i znikały w oddali. Nie mogę stwierdzić, jak długo tak pozostawałem. Zdawało mi się, że przeleżałem tam wieczność. W końcu wszystkie galaktyki, cała seria wszechświatów spadły prosto na mnie.

- To koniec! - pomyślałem jak przez mgłę, gdy ta mnogość światów zwała się na mnie.

- Lobsang! Lobsang! Czy poszedłeś na niebiańskie pola?

Głos grzmiał i odbijał się echem w kosmosie, odbijając się od światów..., odbijając się echem od ścian mojego kamiennego pokoju. Z bólem otworzyłem oczy i próbowałem skoncentrować się na jednym punkcie. Nade mną była gromada jasnych gwiazd, która jakoś wydawała mi się znajoma. Gwiazdy, które powoli znikały, zastępowane były przez twarz Lamy Mingyara Dondupa. Łagodnie mną potrząsał. Jasne światło słoneczne wpadało do pokoju. Promień światła

oświetlał cząsteczki kurzu, które mieniły się wszystkimi kolorami tęczy.

- Lobsang! jest późny ranek. Pozwoliłem ci wypaść się, ale te-raz jest już pora na jedzenie, a potem ruszamy w drogę.

Wyczerpany gramoliłem się na nogi. Tego ranka byłem "bez sił", moja głowa zdawała się być dla mnie zbyt duża, a mój umysł ciągle jeszcze zajmował się nocnymi "marzeniami". Związałem mój skromny dobytek z przodu szaty i opuściłem pokój w poszukiwaniu tsampy, naszego podstawowego pożywienia. Schodziłem w dół, ze strachu przed upadkiem kurczowo trzymając się ponacinanej drabiny.

Na dole wałęsali się mnisi kucharze.

- Przyszedłem po jedzenie - powiedziałem potulnie.

- Jedzenie? O tej porze? Uciekaj! - wrzasnął główny mnich kucharz.

Szukał, czym mnie uderzyć, kiedy inny mnich wyszeptał ochryple:

- On jest z Lamą Mingyarem Dondupem!

Główny mnich kucharz skoczył jak użądłony przez szerszenia.

- No? Na co czekasz? - ryknął do pomocnika. - Daj mi - panu śniadanie!

Normalnie miałbym dość jęczmienia w skórzanym woreczku, jaki noszą wszyscy mnisi, ale ponieważ podróżowaliśmy, moje zapasy wyczerpały się. Wszyscy mnisi, nie ważne, czy czela, trappa czy lama, nosili skórzanym woreczek z jęczmieniem i miskę, z której go jedli. Tsampa była mieszana z maślaną herbata i to stanowiło podstawowe pożywienie w Tybecie. Gdyby tybetańskie klasztory drukowały jadłospis, byłoby tam tylko jedno słowo do wydrukowania: tsampa!

Nieco pokrzepiony po posiłku dołączyłem do Lamy Mingyara i ruszyliśmy na koniach do klasztoru Państwowej Wyroczni. Nie rozmawialiśmy podczas podróży. Mój koń miał specyficzny chód, który wymagał ode mnie ciągłej uwagi, jeśli chciałem pozostać na grzbiecie zwierzęcia. Podczas gdy podróżowaliśmy Drogą Lingkor, pielgrzymi widząc wysoką rangę szaty mojego Przewodnika prosili go o błogosławieństwo. Otrzymawszy je, kontynuowali Święte Okrążenie, mając miny, jakby co najmniej w połowie osiągnęli zbawienie. Wkrótce przejechaliśmy konno przez Wierzbowy Gaj i dotarliśmy do kamienistej drogi prowadzącej do Domu Wyroczni. Na dziedzińcu mnisi służący zabrali nasze konie chwilę po tym, gdy z ulgą zsunąłem się na ziemię.

Miejsce było zatłoczone. Najwyżsi Lamowie wędrowali wzdłuż i wszerz kraju, aby tutaj dotrzeć. Wyrocznia wchodziła w kontakt z mocami, które rządziły światem. Znalazłem się tutaj przez specjalne zarządzenie, wyjątkowe polecenie Najdostojniejszego. Pokazano nam, gdzie mamy spać. Ja - obok Lamy Mingyara Dondupa, a nie w sypialni z wieloma innymi czelami. Gdy mijaliśmy małą świątynię w głównym budynku, usłyszałem: *Śluchajcie Głosów naszych Dusz. To jest Świat Iluzji.*

- Panie! - powiedziałem do mojego Przewodnika, gdy byliśmy sami - *jak jest to "Świat Iluzji"?*

Popatrzył na mnie z uśmiechem.

- No, a co *jest* realne? - zapytał. - Dotykasz ściany i twój palec jest zatrzymywany przez kamień. Dlatego rozumiesz, że ściana jest stała i nic nie może jej przeniknąć. Za oknem pasma górskie Himalajów stoją mocno jak kręgosłup Ziemi. Lecz duch, lub ty w astralu możecie poruszać się tak swobodnie przez kamień gór, jak ty możesz przez powietrze.

- Ale jak to jest "iluzją"? - zapytałem. - Miałem ostatniej nocy sen, który rzeczywiście *był* iluzją. Czuję, że nawet błędnie myśląc nim!

Mój Przewodnik z bezgraniczną cierpliwością słuchał, kiedy opiewałem mu mój sen.

- Będę musiał opowiedzieć ci o Świecie Iluzji - powiedział, gdy skończyłem opowiadanie. - Jednak nie teraz, ponieważ najpierw musimy odwiedzić Wyrocznię.

Państwową Wyrocznią był zaskakująco młody człowiek, szczupły, o bardzo chorobliwym wyglądzie. Zostałem mu przedstawiony i jego wytrzeszczone oczy prześwieciły mnie na wylot, wywołując ciarki strachu biegnące w górę i dół mojego kręgosłupa.

- Tak! Ty jesteś nim, poznaję cię dobrze - powiedział. - Jest w tobie moc. Będziesz też miał wiedzę. Zobaczymy się później.

- Lama Mingyar Dondup, mój ukochany przyjaciel, popatrzył na mnie z sympatią. Zdajesz

każdy egzamin, Lobsang, za każdym razem! - powiedział. - Teraz chodź, udamy się do Świątyni Bogów i porozmawiamy.

Uśmiechnął się do mnie, kiedy szliśmy.

- Porozmawiajmy, Lobsang, o Świecie Iluzji.

Jak przewidział mój Przewodnik, Świątynia była pusta. Migotliwe lampy płonęły przed Świętymi Posagami powodując, że ich cienie skakały i poruszały się, jak w jakimś egzotycznym tańcu. Dym kadzideł poruszał się spiralami w górę tworząc ponad nami nisko zawieszoną chmurę. Usiedliśmy obok pulpitu, gdzie lektor mógł czytać ze Świętych Ksiąg. Usiedliśmy w pozycji kontemplacji - nogi skrzyżowane i palce splecione.

- To jest Świat Iluzji - powiedział mój Przewodnik. - Dlatego wołamy do *dusz*, żeby nas słyszały, ponieważ jedynie one są w świecie realności. Mówimy, jak dobrze wiesz, *sluchajcie głosów naszych dusz*, nie mówimy - *sluchajcie naszych fizycznych głosom*. Słuchaj mnie i nie przerywaj, ponieważ są to podstawy naszej Wewnętrznej Wiary. Jak wyjaśnię później, ludzie dostatecznie nie rozwinięci muszą najpierw mieć wiarę, która ich podtrzymuje, daje im uczucie, że życzliwy Ojciec czy Matka opiekują się nim. Dopiero gdy ktoś osiągnie odpowiedni poziom, może zaakceptować to, co powiem ci teraz.

Patrzyłem na mojego Przewodnika myśląc, że był dla mnie całym światem, pragnąc, żebyśmy zawsze mogli być razem.

- Jesteśmy tworami Ducha - powiedział. - Jesteśmy jak elektryczne ładunki obdarzone inteligencją. Ten świat, to życie, jest Piekiem, jest miejscem prób, w którym nasz Duch jest oczyszczany przez cierpienie nauki kontrolowania naszego ordynarnego ciała fizycznego. Tak jak marionetka jest kontrolowana przez manipulującego nitkami lalkarza, tak nasze ciało fizyczne jest kontrolowane sznurkami siły elektrycznej przez nasze Wyższe Ja, naszego ducha. Dobry lalkarz może wytworzyć iluzję, że drewniane kukiełki są żywe, że działają z własnej woli. W ten sam sposób *my*, dopóki nie nauczymy się więcej, uważamy, że jedynie nasze fizyczne ciało ma znaczenie. W dławiącej ducha atmosferze Ziemi zapominamy, że Dusza tak naprawdę kieruje nami. Myślimy, że robimy coś z własnej woli i odpowiadamy tylko przed naszą "świadomością". Tak więc, Lobsang, mamy pierwszą Iluzję. Iluzję, że jedynie lalka, ciało fizyczne, ma znaczenie.

Przerwał, widząc mój zakłopotany wyraz twarzy.

- No? - zapytał. - Co cię dręczy?

- Panie - powiedziałem. - Gdzie są moje sznury elektrycznych sił? Nie mogę dostrzec niczego łączącego mnie z Wyższym Ja!

- Czy widzisz powietrze, Lobsang? - zapytał ze śmiechem. - Nie, dopóki jesteś w ciele fizycznym.

Pochylając się do przodu chwycił moją szatę. Prawie - nieprzytomny ze strachu patrzyłem w jego przenikliwe oczy.

- Lobsang! - powiedział surowo. - Czy *cały* twój mózg wyparował? Czy *naprawdę* jesteś kością od szyi w górę? Czy zapomniałeś o Srebrnym Sznurze, wiążące przewodów siły elektrycznej łączącej ciebie - tutaj - z duszą? Naprawdę, Lobsang, *ty* jesteś w Świecie Iluzji!

Poczułem, że się czerwienię. *Oczywiście* wiedziałem o Srebrnym Sznurze, sznurze niebieskawego światła, który łączy ciało fizyczne z ciałem duchowym. Wiele razy podczas podróży astralnych obserwowałem sznur migoczący, pulsujący światłem i życiem. Był jak pepowina łącząca matkę i nowo narodzone dziecko, tylko "dziecko", którym było fizyczne ciało nie mogące istnieć nawet przez moment, gdyby Srebrny Sznur został przecięty.

Podniosłem oczy. Mój Przewodnik był gotów po przerwie mówić dalej.

- Kiedy jesteśmy w fizycznym świecie, mamy tendencję myśleć, że *tylko* fizyczny świat ma znaczenie. Jest to jedno z urządzeń zabezpieczających Wyższe Ja. Jeżeli pamiętalibyśmy duchowy Świat z jego szczęściem, to moglibyśmy pozostać tu jedynie ogromnym wysiłkiem woli. Gdybyśmy pamiętali przeszłe życia, kiedy, być może, byliśmy ważniejsi niż w tym życiu, moglibyśmy nie czuć potrzebnej pokory. Przyniosą nam trochę herbaty i wtedy opowiem o życiu pewnego Chińczyka od momentu jego śmierci do jego ponownych narodzin i do jego śmierci, i przybycia do Następnego Świata.

Lama wyciągnął rękę, by zadzwonić małym srebrnym dzwonkiem w Świątyni, ale zatrzymał się widząc moje zdziwienie.

- No co? - zapytał. - Jakie masz pytanie?

- Panie! - zawołałem. - Dlaczego Chińczyka? Dlaczego nie Tybetańczyka?

- Ponieważ - odpowiedział - jeżeli powiedziałbym "Tybetańczyka", próbowałbyś skojarzyć imię z kimś, kogo znasz - ze złym wynikiem.

Zadzwonił dzwonkiem i mnich służący przyniósł nam herbatę. Mój Przewodnik popatrzył na mnie w zamyśleniu.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że pijąc herbatę połykamy miliony światów? - zapytał. - Płyny mają mniejszą zawartość cząsteczek. Jeżeli powiększyłbyś cząsteczki tej herbaty, stwierdziłbyś, że toczą się jak ziarnka piasku przy wzburzonym jeziorze. Nawet gaz, nawet powietrze złożone jest z cząsteczek, mikroskopijnych cząstek. Jednak to jest dygresja, mieliśmy roztrząsać śmierć i życie Chińczyka.

Dopił herbatę i czekał, aż ja dopiję swoją.

- Seng był starym mandarynem - powiedział mój Przewodnik. - Jego życie było szczęśliwe i teraz, u jego schyłku, czuł się bardzo zadowolony. Jego rodzina była duża, konkubiny i niewolnicy liczni. Nawet sam Władca Chin okazywał mu łaskę. Kiedy jego stare, krótkowzroczne oczy patrzyły przez okno pokoju, niewyraźnie rozpoznawały piękne ogrody z dumnymi pawiami. Do jego głuchawych uszu cicho dochodziły śpiewy ptaków wracających na drzewa, kiedy kończył się dzień. Seng leżał na plecach, odpoczywał na swoich poduszkach. Wewnątrz czuł szeleszczące palce Śmierci, rozwiązujące jego więzy z życiem. Krwawoczerwone słońce zachodziło powoli za starożytną pagodę. Stary Seng opadł na poduszki, a chrapliwy, rzęzący oddech zasyczał przez jego zęby. Światło słoneczne zbladło i w pokoju zapalone lampki, a stary Seng odszedł, odszedł wraz z ostatnimi gasnącymi promieniami słońca.

Mój Przewodnik popatrzył, aby upewnić się, czy nadaża m za nim.

- Stary Seng leżał zagłębiony na swoich poduszkach - kontynuował. - Zgrzyty i posapywania jego ciała ustawały i ginęły w ciszy. Krew nie płynęła już przez arterie i żyły, płyny życiowe już w nim nie bulgotały. Ciało starego Senga było martwe, opróżnione przez śmierć, nie nadawało się już do użytku. Lecz jasnovidz, jeśli byłby przy tym obecny, zobaczyłby jasnyniebieską mgiełkę, tworzącą się wokół ciała starego Senga. Tworząca się, a potem unoszącą się ponad ciało, szubującą poziomo nad nim, łączoną z nim zanikającym Srebrnym Sznurem. Stopniowo Sznur stawał się coraz cieńszy i urwał się. Dusza, którą był stary Seng, odplynęła. Uniosła się jak chmura dymu kadzidła przechodząc bez trudu przez ściany.

Lama ponownie napełnił kubek, popatrzył czy jeszcze mam herbatę i kontynuował:

- Dusza płynęła przez światy, przez wymiary, których my, styczny umysł nie może pojąć. W końcu dotarła do cudownego parku usianego ogromnymi budynkami i przy jednym z nich zatrzymała się. Dusza, którą był teraz Stary Seng, weszła do środka i powędrowała po świecącej podłodze. Dusza, Lobsang, jest w swoim własnym środowisku tak stała, jak ty w tym świeższa w świetle dusz może być ograniczona przez ściany i chodzić po podłodze. Dusza ma tam inne zdolności i talenty niż te, które znamy na Ziemi. Ta Dusza wędrowała dalej i w końcu weszła do małego pokoiku. Siadając, skierowała oczy na ścianę przed sobą. Nagle ściana zniknęła i w jej miejscu Dusza ujrzała sceny, sceny ze swojego życia. Widziała to, co nazywamy Kroniką Akaszy, która jest kroniką wszystkiego, co kiedykolwiek się wydarzyło i która może być łatwo widziana przez tych, którzy są odpowiednio wyćwiczeni. Jest też widziana przez *każdego*, kto przechodzi z ziemskiego życia w zaświaty. Człowiek widzi zapis swoich sukcesów i niepowodzeń, widzi swoją przeszłość i *sam siebie osadza!* Nie ma surowszego sędziego od nas samych. Nie siedzimy drżąc przed Bogiem. Siedzimy i widzimy wszystko, co zrobiliśmy i wszystko, co zamierzaliśmy zrobić.

Siedziałem w milczeniu. Wszystko to było dla mnie niezwykle interesujące. Mogłem tego słuchać godzinami - chętniej niż nudnej lekcji!

- Dusza, którą był Stary Seng, chiński mandaryn, siedziała i oglądała ponownie życie, o którym tu na Ziemi myślała, że było takie pełne sukcesów - kontynuował mój Przewodnik. - Widziała i żałowała wielu błędów. Wstała i opuściła pokój, przeszła szybko do większego pokoju,

gdzie oczekiwali ją mężczyźni i kobiety ze świata dusz. Milcząc, uśmiechając się ze współczuciem i zrozumieniem, czekali na jej przybycie, jej prośby o poprowadzenie dalej. Siedząc w ich towarzystwie opowiadała im o swoich błędach, o rzeczach które próbowała zrobić, *zamierzała* zrobić, ale nie udało się jej.

- Ale myślałem, że powiedziałaś, że Dusza nie była sądzona, osądziła się sama! - powiedziałem szybko.

- Tak, Lobsang - odpowiedział mój Przewodnik. - Kiedy zobaczyła swoją przeszłość i swoje błędy, przyszła do tych doradców, aby otrzymać ich sugestie - ale nie przerywaj, Lobsang, słuchaj i zachowaj pytania na później.

- Jak powiedziałem - mówił Lama - Dusza siedziała z doradcami i opowiedziała im o swoich niepowodzeniach, opowiedziała im o cechach, jakie musiała wykształcić, zanim będzie mogła rozwijać się dalej. Najpierw powinna wrócić, żeby zobaczyć swoje ciało, potem upłynie pewien czas - lata lub setki lat - i wtedy znajdzie warunki niezbędne do jej dalszego rozwoju. Dusza, która była starym Sengiem, wróciła na Ziemię, żeby popatrzeć ostatni raz na swoje zmarłe ciało, teraz gotowe do pogrzebu. Potem, już nie jako Dusza starego Senga, lecz Dusza gotowa do odpoczynku, powróciła w Zaświaty. Przez nieokreślony czas odpoczywała i odnawiała siły studiując lekcje przeszłych żywotów, przygotowując się do przyszłego życia. Tutaj, w tym życiu poza śmiercią, przedmioty i materiały były tak stałe dla jej dotyku, jak były na Ziemi. Odpoczywała w czasie i warunkach wcześniej ustalonych.

- Podoba mi się to! - wykrzyknąłem. - To jest bardzo ciekawe.

Mój Przewodnik uśmiechnął się do mnie i kontynuował:

- Po pewnym, wcześniej określonym, czasie oczekująca Dusza została wezwana i poprowadzona do świata ludzi przez kogoś, do kogo należało to zadanie, taka służba. Zatrzymali się niewidzialni dla oczu fizycznych, oglądając domy przyszłych rodziców szacując prawdopodobieństwo, że *ten* dom zdoła zapewnić pożądane warunki, by nauczyć się lekcji, jakie miały zostać opanowani tym razem. Usatysfakcjonowani odeszli. Kilka miesięcy później przyszła matka poczuła w sobie nagły ruch, gdy Dusza weszła jako dziecko zaczęła żyć. W swoim czasie urodziło się dziecko świecicie ludzi. Dusza, która kiedyś ożywiła starego Senga, teraz na nowo zmagająca się z niechętnymi nerwami i mózgiem dziecka. Lee Wonga mieszkającego w skromnych warunkach w chińskiej wiosce rybackiej. Jeszcze raz wyższe wibracje Duszy zostały przystosowane do niższej oktawy wibracji fizycznego ciała.

Siedziałem i długo myślałem.

- Dostojny Lamo - powiedziałem w końcu. - Jak to jest, dlaczego ludzie boją się śmierci, która jest uwolnieniem od ziemskich zmartwień?

- To rozsądne pytanie, Lobsang - odpowiedział mój Przewodnik. - Gdybyśmy pamiętali radości Innego Świata, wielu z nas nie mogłoby znieść trudów tutaj, dlatego mamy wpojony strach przed śmiercią.

Rzucając na mnie żartobliwe spojrzenie z ukosa, zauważył:

- Niektórzy z nas nie lubią szkoły, nie lubią dyscypliny, tak niezbędnej w szkole. Jednak, kiedy ktoś dojrzewa i staje się dorosły, korzyści, jakie daje szkoła, stają się dla niego widoczne. Nie byłoby rozsądne uciec ze szkoły i spodziewać się postępów w nauce. Nie jest też rozsądne kończyć życie przed wyznaczonym człowiekowi czasem.

Dziwiłem się temu, ponieważ kilka dni wcześniej pewien stary mnich, niepiśmienny i chory, rzucił się z wysoko położonej pustelni. Był on zgorzkniałym, starym człowiekiem o usposobieniu, które powodowało, że odrzucał wszelką pomoc. Tak, stary Jigme znalazł lepszy sposób, pomyślałem, lepszy dla niego. Lepszy dla innych.

- Panie! - powiedziałem. - W takim razie mnich Jigme mylił się, kiedy zakończył swoje życie?

- Tak, Lobsang, bardzo się mylił - odpowiedział mój Przewodnik. - Każdy człowiek ma pewien wyznaczony czas na Ziemi. Kiedy ktoś kończy swoje życie przed tym czasem, wtedy musi powrócić nieomal natychmiast. I tak obserwujemy dzieci rodzące się do życia jedynie na kilka miesięcy. To wraca dusza samobójcy, aby przybrać ciało i przeżyć czas, jaki powinna była

przeżyć wcześniej. Samobójca *nigdy* nie jest usprawiedliwiony. Jest to śmiertelna obraza siebie samego, swojego Wyższego Ja.

- Ale Panie - zapytałem. - A co ze szlachetnie urodzonym Japończykiem, który popełnia ceremonialne samobójstwo jako pokutę za hańbę rodziny? Z pewnością jest to odważny człowiek, skoro tak robi.

- To nie tak, Lobsang - mój Przewodnik był nader stanowczy. - To nie tak. Odwaga nie polega na umieraniu, lecz na życiu w obliczu trudności, w obliczu cierpienia. Umrzeć jest łatwo, *żyć to* jest akt odwagi! Nawet teatralna demonstracja dumy w "ceremonialnym samobójstwie" nie może zaślepić kogoś, by popełnił ten błąd. Jesteśmy tutaj, żeby się uczyć, a uczyć się możemy jedynie żyjąc określony czas. Samobójstwo *nigdy* nie jest usprawiedliwione!

Pomyślałem znowu o starym Jigme. Był bardzo stary, kiedy się zabił, więc gdy przyjdzie znowu, będzie to jedynie krótki pobyt.

- Szlachetny Lamo - zapytałem. - Jaki jest cel strachu? Dlaczego musimy cierpieć tak dużo ze strachu? Odkryłem już, że to, czego się boję, prawie nigdy się nie zdarza, a jednak ciągle się tego boję!

Lama uśmiechnął się i rzekł:

- To zdarza się każdemu z nas. Boimy się Nieznanego. Jednak strach jest potrzebny. Strach popędza nas. W przeciwnym razie bylibyśmy leniwi. Strach daje nam dodatkowe siły, z którymi możemy uniknąć wypadków. Strach jest generatorem, który daje nam dodatkową siłę, dodatkowy bodziec i pozwala nam pokonać własną skłonność do lenistwa. Nie uczyłeś się w szkole, gdybyś *nie bał się* nauczyciela i *nie bał się* okazać głupcem w oczach innych.

Mnisi wchodzili do Świątyni. Czele tłoczyli się wokół zapalając następne maślane lampki, następne kadzidła. Wstaliśmy i wyszliśmy w chłód wieczoru, gdzie lekki wietrzyk igrał z liśćmi wierzb. Wielkie trąby brzmiały z Potali, tak dalekie i przytłumione, a echo toczyło się wokół ścian Klasztoru Państwowej Wyrocni.

Rozdział III

Klasztor Państwowej Wyrocni był mały, zwarty i bardzo odosobniony. Kilku małych czeli bawiło się z beztróską żywiołowością. Nie było tu grup trappów włóczących się leniwie po nasłonecznionym podwórzu, skracających sobie południowe godziny próżnym paplaniem. Starzy ludzie - również starzy Lamowie! - stanowili tu większość. Ludzie w podeszłym wieku, o białych włosach, ugięci pod ciężarem lat, chodzili powoli ze swoimi sprawami. To był dom jasnowidzów. Zwykle wiekowym Lamom i samemu Wyrocni powierzane było zadanie przepowiadania przyszłości, wróżenia. Nie wchodził tu żaden nie zaproszony gość, nie przybywał żaden zabłąkany wędrowiec w poszukiwaniu odpoczynku czy jedzenia. Było to miejsce wzbudzające u wielu strach i zakazane dla wszystkich oprócz tych specjalnie zaproszonych. Mój Przewodnik, Lama Mingyar Dondup, był wyjątkiem. Mógł przybyć, kiedykolwiek chciał i zawsze był rzeczywiście mile widzianym gościem.

Ozdobny gaj drzew chronił Klasztor przed wścibskimi oczami. Mocne kamienne mury dawały budynkom ochronę przed nadmierną ciekawością na wypadek, gdyby znalazł się ktoś, kto naraziłby się na gniew potężnego Lamy Wyrocni dla próżnej ciekawości. Pieczołowicie chronione pokoje przeznaczone były dla Jego Świątobliwości, Najdostojniejszego, który często odwiedzał tę Świątynię Wiedzy. Powietrze było nieruchome, panowało ogólne wrażenie spokoju, ludzie niespiesznie poruszali się w swoich ważnych sprawach.

Nie było tu miejsca na burdy, czy hałaśliwych intruzów. Miejsce było patrolowane przez potężnych ludzi Kham - olbrzymich mężczyzn, Wielu z nich miało ponad siedem stóp wzrostu, i żaden z nich nie ważył mniej niż dwieście pięćdziesiąt funtów. Byli zatrudnieni przez Tybet jako mnisi policjanci i ich zadaniem było utrzymanie porządku we wspólnotach, czasami tysięcy,

mnichów. Mnisi policjanci kroczyli po terenie, stale czujni, stale na warcie. mając potężne kije byli naprawdę przerażającym widokiem i tych z nieczystymi sumieniami. Szata mnicha niekoniecznie okrywa pobożnego człowieka. Przestępcy i leniwi ludzie są we wszystkich wspólnotach, tak więc ludzie Kham mieli zajęcie.

Budynki Lamów również zostały zaprojektowane w konkretnym celu. Nie było tu wysokich budynków, nie było tu żadnych ponacinanych pali do wspinania się. Było to miejsce dla sędziwych ludzi, którzy stracili elastyczność młodości, których kości były kruche. Korytarze były łatwo dostępne, a ci w najstarszym wieku mieszkali na parterze. Państwowa Wyrocznia również mieszkał na parterze, przy Świątyni Wróżb. Obok niego umieszczono najstarszych ludzi, najbardziej uczonych. I najstarszego z mnichów policjantów, ludzi Kham.

- Pójdziemy zobaczyć Wyrocznię, Lobsang - powiedział mój Przewodnik. - Wyraził wielkie zainteresowanie tobą i zamierza poświęcić ci dużo czasu.

Zaproszenie - czy polecenie - napełniło mnie przygnębieniem. Każda wizyta u astrologa czy "jasnowidza" w przeszłości przynosiła złe nowiny, więcej cierpienia, więcej potwierdzenia trudności, jakie miały nadejść. Zazwyczaj także, musiałem zakładać moją najlepszą szatę i siedzieć jak wypchana kaczka, słuchając jakichś starych ludzi wyrzucających z siebie potoki banałów, których wolałbym raczej nie słyszeć. Spojrzałem w górę podejrzliwie. Lama usiłował ukryć uśmiech, kiedy patrzył na mnie. Oczywiście, pomyślałem chłodno, czytał moje myśli! Wybuchnął śmiechem.

- Chodź tak jak jesteś - powiedział. - Wyrocznia w ogóle nie zwraca uwagi na stan czyjejsz szaty. On wie więcej o tobie, niż ty sam.

Moje przygnębienie pogłębiło się, byłem ciekaw, co *miałem* usłyszeć tym razem. Zeszliśmy korytarzem i wyszliśmy na wewnętrzny dziedziniec. Patrzyłem na wyłaniające się z mgły łańcuchy górskie, czując się jak prowadzony na stracenie. Pojawił się groźny mnich policjant, prawie jak ruchoma góra. Rozpoznając mojego Przewodnika rozpromienił się w powitalnym uśmiechu i nisko pokłonił się.

- Padam do twoich lotosowych stóp. Święty Lamo - powiedział. - Okaż mi łaskę pozwalając poprowadzić cię do Jego Dostoјności Państwowej Wyroczni.

Zaczął iść obok nas, a ja wyraźnie czułem, jak ziemia drżała pod jego ciężkimi krokami.

Dwóch lamów stało przy drzwiach, lamów, a nie zwykłych mnichów strażników. Kiedy zbliżyliśmy się, odsunęli się, żebyśmy mogli wejść.

- Jego Świątobliwość oczekuje was - powiedział jeden, uśmiechając się do mojego Przewodnika.

- On oczekuje twojej wizyty. Dostojny Mingyarze - powiedział drugi.

Weszliśmy i znaleźliśmy się w słabo oświetlonym pomieszczeniu. Przez kilka sekund mogłem dostrzec naprawdę bardzo niewiele. Moje oczy były oślepięte jasnym światłem słonecznym na podwórzu. Stopniowo, gdy mój wzrok przyzwyczajał się, zobaczyłem nagi pokój z zaledwie dwoma gobelinami na ścianach i małą kadzielnicę dymiącą w kącie. W centrum pokoju, na zwykłej poduszce siedział całkiem młody człowiek. Wyglądał chudo i krucho. Byłem naprawdę zdumiony, kiedy uprzytomniłem sobie, że *to* jest Państwowa Wyrocznia Tybetu. Jego oczy były nieco wylupiaсте i patrzyły na mnie i przeze mnie. Miałem wrażenie, że widział moją duszę, a nie moje ziemskie ciało.

Mój Przewodnik Lama Mingyar Dondup i ja padliśmy na twarz w tradycyjnym, przepisanympozdrowieniu, potem podnieśliśmy się i staliśmy czekając. W końcu, kiedy milczenie stało się stanowczo nie do wytrzymania. Wyrocznia przemówił.

- Witaj Dostojny Mingyarze, witaj Lobsang! - powiedział. Jego głos miał nieco wysoką tonację i wcale nie był silny, sprawiał wrażenie dochodzącego z wielkiej odległości. Przez chwilę mój Przewodnik i Wyrocznia omawiali sprawy ogólne, po czym Lama Mingyar Dondup skłonił się i opuścił pokój. Wyrocznia siedział patrząc na mnie.

- Przynieś poduszkę i usiądź przy mnie, Lobsang - powiedział w końcu.

Sięgnąłem po jeden z miękkich kwadratów spoczywających pod ścianą i umieściłem go tak, że mogłem usiąść przed nim. Przez pewien czas patrzył na mnie w nieco ponurej ciszy. W końcu,

gdy poczułem się nieprzyjemnie pod jego badawczym wzrokiem, powiedział:

- Tak więc ty jesteś Wtorek Lobsang Rampa! - powiedział. - Zналиśmy się dobrze w innej fazie istnienia. Teraz, na rozkaz Najdostojniejszego, mam powiedzieć ci o trudach, jakie nadejdą, o trudnościach do pokonania.

- Och, Panie! - wykrzyknąłem. - Musiałem robić straszne rzeczy w przeszłych życiach, że muszę tak cierpieć w tym. Moja Karma, przeznaczony mi Los, zdają się być cięższe niż innych.

- Nie - odpowiedział. - Powszechnym błędem jest myślenie, że ludności w *ty*m życiu są niezbędnymi cierpieniami za grzechy przeszłych żywotów. Jeżeli wytapiasz metal w piecu, czy robisz to dlatego, że metal zgrzeszył i musi być ukarany, czy robisz to po żeby polepszyć właściwości materiału?

Popatrzył na mnie surowo.

- Jednak to omówi z tobą twój Przewodnik, Lama Mingyar Dondup - powiedział. - Ja mam ci tylko opowiedzieć przyszłość. Wyrocznia dotknął srebrnego dzwonka i bezszelestnie wszedł ruch pomocnik. Podeszedł do nas i umieścił bardzo niski stolik między Państwową Wyrocznią a mną. Na stoliku postawił ozdobną srebrną miskę wysadzaną najprawdopodobniej odmianą porcelany. W misce tliły się kawałki węgla drzewnego, które rozżarzyły się jasnoczerwono, kiedy mnich pomocnik zakołysał nimi w powietrzu, nim postawił je przed Wyrocznią. Mrucząc słowa, których znaczenie mi umknęło, umieścił bogato rzeźbione drewniane pudełko po prawej stronie miski i zniknął tak bezszelestnie, jak pojawił. Siedziałem w milczeniu i skrepowany, zastanawiając dlaczego to wszystko mi się przydarza. *Każdy* opowiadał mi, jakie ciężkie życie przypadnie mi w udziale. Oni zdawali się tym rozkoszować. Trudy były trudami, nawet jeśli nie miałem płacić za grzechy przeszłego żywota. Powoli Wyrocznia sięgnął do przodu i otworzył pudełko. Małą złotą łyżką zaczerpnął delikatny proszek, który wysypał na żarzące się węgle.

Pokój nappełnił się błękitną delikatną mgłą, poczułem, że moje zmysły wirują, a wzrok zmętniał. Wydawało mi się, że słyszę w niezmierzonej odległości dzwonięcie wielkiego dzwonu. Dźwięk zbliżał się, jego natężenie ciągle rosło, aż poczułem, że głowa mi pęka. Mój wzrok wyostrzył się. Patrzyłem uważnie, jak nie kończąca się kolumna dymu unosiła się z miski. Wewnątrz dymu widziałem ruch, który się zbliżał i w końcu pochłoniął mnie, tak że stałem się jego częścią. Skądś spoza mojej świadomości doszedł do mnie monotony głos Państwowej Wyroczni. Lecz ja nie potrzebowałem głosu, *widziałem* przyszłość tak wyraźnie jak on. Stałem z boku, poza czasem i widziałem przed sobą wydarzenia mojego życia, jak gdyby przedstawione na nie kończącym się filmie. Moje wczesne dzieciństwo, wydarzenia mojego życia, srogość ojca - wszystkie one były odtworzone przede mną. Jeszcze raz siedziałem przed wielkim klasztorem Czakupori. jeszcze raz czułem twarde skały Żelaznej Góry, kiedy wiatr zwał mnie z dachu klasztoru, by cisnąć mnie z łamiącą kości siłą w dół górskiego zbocza. Dym kłębił się i obrazy (które nazywamy "Kroniką Akaszy") przesuwwały się dalej. Widziałem ponownie moją inicjację, tajemnicze ceremonie otoczone były dymem, jakbym nie był inicjowany. Na obrazach widziałem siebie wyruszającego w długą, samotną podróż do Czungkingu w Chinach.

Dziwna maszyna zataczała kręgi i kołysała się w powietrzu, wznosząc się i opadając ponad stromymi urwiskami Czungkingu. A ja - ja byłem przy sterach! Później widziałem sznury takich maszyn ze wschodzącym Słońcem Japonii pyszniącym się na ich skrzydłach, Z maszyn padały czarne plamki, które pędziły w kierunku ziemi, by wybuchnąć płomieniem i dymem. Poranione ciała leciały ku niebu, a z nieba spadał deszcz krwi i fragmentów ludzkich ciał. Czułem się przybity i oszołomiony, kiedy patrzyłem na przesuwające się obrazy i widziałem siebie torturowanego przez Japończyków. Widziałem moje życie, widziałem trudności, czułem gorycz. Lecz najbardziej smutne były zdrada i zło pewnych ludzi zachodniego świata, którzy - widziałem - zajmowali się niszczeniem dobra tylko dlatego, że byli zazdrośni. Obrazy przesuwwały się bez końca, a ja widziałem prawdopodobny przebieg mojego życia, zanim je przeżyłem.

Jak dobrze wiedziałem, *prawdopodobieństwo* może być bardzo dokładnie przewidziane. Tylko

Merknad [p9]: Strona 39

Merknad [p10]: Strona 40

drobne szczegóły są czasami inne. Czyjaś astrologiczna konfiguracja ustala granice, kim ktoś może być i co może znieść, tak jak konstruktor silnika może ustalić jego minimalną i maksymalną prędkość.

- Ciężkie życie mnie czeka, zgoda! - pomyślałem.

Wtedy podskoczyłem tak mocno, że prawie zleciałem z poduszki. Czyjaś ręka leżała na moim ramieniu. Gdy się odwróciłem, zobaczyłem twarz Państwowej Wyrocni teraz siedzącego za mną. Jego spojrzenie było pełne współczucia, smutku z powodu trudnej drogi przede mną.

- Jesteś bardzo uduchowiony, Lobsang - powiedział. - Zazwyczaj muszę opowiadać te obrazy oglądającym. Najdostojniejszy, jamożna było się spodziewać, miał zupełną rację.

- Wszystko, czego chcę - odpowiedziałem - to pozostać tutaj w spokoju. Dlaczego miałbym iść do zachodniego świata, gdzie każdy tak żarliwie głosi religię - a z tyłu próbuje drugiemu poderznąć gardło?

- To jest Zadanie, mój przyjacielu - powiedział Wyrocni - które *musi* być wykonane. Ty możesz je wykonać pomimo wszelkich przeciwności. Stąd specjalny i trudny trening, który odbywasz.

Przez te wszystkie rozmowy o trudnościach i zadaniach stałem się jeszcze bardziej ponury. Pragnąłem tylko spokoju, ciszy i od czasu do czasu trochę niewinnej rozrywki.

- Teraz - powiedział Wyrocni - nadszedł czas, byś powrócił do swojego Przewodnika, ponieważ ma ci dużo do powiedzenia i oczekuje cię.

Podniosłem się i ukloniłem, zanim opuściłem pokój. Na zewnątrz potężny mnich policjant czekał, by zaprowadzić mnie do Lamy Mingyara Dondupa. Szliśmy razem, ramię w ramię, a ja myślałem o książce, w której widziałem jak słoń i mrówka szły przez dżunglę ramię w ramię...

- Dobrze, Lobsang! - powiedział Lama, kiedy wszedłem do jego pokoju, - Mam nadzieję, że nie jesteś zbyt przygnębiony wszystkim tym, co zobaczyłeś?

Uśmiechnął się do mnie i dał znak, żebym usiadł.

- Najpierw pokarm dla ciała, Lobsang, a potem pokarm dla Duszy - wyjaśniał z uśmiechem, dzwoniąc swoim srebrnym dzwonkiem na usługującego mnicha, żeby przyniósł naszą herbatę.

Najwidoczniej zjawiłem się w samą porę! Reguły klasztoru stanowiły, że podczas jedzenia nie wolno rozglądać się, czy nie powinny błędzić, a pełna uwaga powinna być skupiona na głosie lektora. Tu, w pokoju Lamy Mingyara Dondupa, nie było lektora siedzącego powyżej nas, czytającego głośno ze Świętych Ksiąg, aby utrzymać nasze myśli z dala od czegoś tak pospolitego jak jedzenie. Nie było tam też żadnego srogiego Nadzorca gotowego skoczyć na nas przy najmniejszym naruszeniu przepisów. Wyglądałem przez okno, patrząc na Himalaje rozciągające się bezkresnie przede mną, myśląc, że wkrótce nadejdzie czas, kiedy już ich więcej nie zobaczę. Zajrzałem przelotnie w przyszłość - *moja* przyszłość - i obawiałem się tego, czego nie mogłem zobaczyć wyraźnie, co było częściowo zasłonięte dymem.

- Lobsang! - powiedział mój Przewodnik - widziałeś dużo, lecz dużo więcej pozostało ukryte. Jeżeli czujesz, że nie możesz sprostać planowanej przyszłości, to my zaakceptujemy ten fakt - chociaż ze smutkiem - i będziesz mógł pozostać w Tybecie.

- Panie! - odpowiedziałem - powiedziałeś mi kiedyś, że ten, kto wyrusza jedną życiową ścieżką, waha się i wraca, nie jest mężczyzną. Chcę iść naprzód, mimo że znam czekające mnie trudności.

Uśmiechnął się i skinął głową z aprobatą.

- Tak, jak się spodziewałem - powiedział - w końcu odniesiesz sukces.

- Panie! - zapytałem - dlaczego ludzie nie przychodzą na ten świat z wiedzą o tym, kim byli w przeszłych życiach i co powinni zrobić w tym życiu? Dlaczego musi być coś, co nazywasz "Wiedzą Tajemną"? Dlaczego nie możemy wiedzieć wszystkiego?

Lama Mingyar Dondup podniósł brwi i uśmiechnął się.

- Ty z pewnością chcesz wiedzieć dużo! - powiedział. - Zawodź też twoja pamięć. Całkiem niedawno powiedziałem ci, że zwykle nie pamiętamy naszych przeszłych żywotów, ponieważ to mogłoby zwiększyć nasze brzemię na tym świecie. Jak mówimy:

Koło Życia obraca się, przenosząc jednym bogactwo, innym ubóstwa. Dzisiejszy żebrak staje się jutro księciem. Jeżeli nie znamy naszych przeszłych żywotów, zaczynamy wszystko na nowo, nie próbując wykorzystywać tego, czym byliśmy w ostatnim wcieleniu.

- Ale - zapytałem - co z ukrytą wiedzą? Jeżeli wszyscy ludzie znaliby tę wiedzę, każdy mógłby być lepszy, postęp mógłby być szybszy.

Mój Przewodnik uśmiechnął się do mnie.

- To nie jest takie proste! - odpowiedział.

Przez chwilę siedział w milczeniu, potem mówił znowu.

- Są w nas moce, pod kontrolą naszej Wyższej Jaźni, niezmiernie większe od wszystkiego, czym dysponuje człowiek w materialnym, fizycznym świecie. Zwłaszcza człowiek Zachodu mógłby nadużyć takich Mocy, jakimi my dysponujemy, ponieważ człowiek Zachodu troszczy się jedynie o pieniądze. Zachodni człowiek ma tylko dwa pytania: *Czy możesz to udowodnić?* i *Co ja z tego będę miał?*

Roześmiał się zupełnie jak chłopiec.

- Zawsze mnie bardzo bawi, kiedy myślę o całym szeregu mechanizmów i aparatów, których Człowiek używa do przesyłania "bezzprzewodowo" informacji przez ocean - powiedział. - "Bezzprzewodowo" powinno być ostatnim używanym przez nich terminem, ponieważ aparat składa się z wielu mil przewodów. Lecz tu, w Tybecie, nasi wyćwiczeni Lamowie przesyłają telepatyczne informacje bez żadnych urządzeń. Wchodzimy w astral i podróżujemy przez przestrzeń i czas, odwiedzamy inne części świata i inne światy. Możemy lewitować - podnosić ogromne ładunki stosując nie znane powszechnie siły. Nie wszyscy ludzie są czyści, Lobsang, i szata mnicha nie zawsze okrywa świętego człowieka. Może być zły człowiek w klasztorze, tak jak może być święty w więzieniu.

Popatrzyłem na niego z pewnym zakłopotaniem.

- Ale jeżeli wszyscy ludzie mieliby tę wiedzę, z pewnością wszyscy byliby dobrzy? - zapytałem.

Lama popatrzył na mnie smutno.

- Trzymamy Wiedzę Tajemną *in tajemnicy* dla bezpieczeństwa ludzkości - odpowiedział. - Wielu ludzi, szczególnie tych z Zachodu, myśli jedynie o pieniądzu i władzy nad innymi. Jak zostało przepowiedziane przez Wyrocznię i przez innych, nasz kraj będzie później zajęty i fizycznie podbity przez obcą kulturę, kulturę, która nie myśli o zwykłym człowieku, lecz istnieje jedynie w celu podtrzymywania władzy dyktatorów, którzy zamienią w niewolników pół świata. Wysocy lamowie byli torturowani na śmierć przez Rosjan, ponieważ nie chcieli wyjawić zakazanej wiedzy. Przeciętny człowiek, Lobsang, który nagle miałby dostęp do zakazanej wiedzy, mógłby zareagować w następujący sposób. Najpierw bałby się mocy będącej teraz w jego posiadaniu. Potem mogłoby przyjść mu do głowy, że ma środki do uczynienia siebie bogatym ponad swoje najbardziej szalone marzenia. Mógłby eksperymentować i pieniądze przysłyby do niego. Wraz z pomnażaniem pieniędzy i mocy mógłby pragnąć jeszcze więcej pieniędzy i mocy. Milioner nie jest nigdy usatysfakcjonowany jednym milionem, chce wielu milionów! Mówi się, że absolutna moc psuje nierozwiniętych. Wiedza tajemna daje absolutną moc.

Zaświtało mi w głowie, w jaki sposób Tybet mógłby zostać uratowany! Podskakując podniecony, wykrzyknąłem:

- To Tybet może być uratowany! Wiedza Tajemna uchroni nas przed inwazją!

Mój Przewodnik popatrzył na mnie ze współczuciem.

- Nie, Lobsang - odpowiedział smutno. - My nie używamy Mocy do takich rzeczy. Tybet będzie prześladowany, prawie zniszczony, lecz w latach, które nadejdą, odrodzi się znowu i stanie się wspanialszy, czystszy. Kraj będzie oczyszczony z nieczystości w piecu wojny, tak jak później cały świat.

Spojrzał na mnie z ukosa.

- Widzisz Lobsang, *musza* być wojny! - powiedział cicho. - Gdyby nie było wojen, zaludnienie świata stałoby się zbyt duże. Jeżeli nie byłoby wojen, byłyby plagi. Wojny i choroby regulują zaludnienie świata i dają ludziom na Ziemi - i na innych światach - sposobność czynienia

dobra innym. *Zawsze* będą wojny, dopóki zaludnienie świata nie będzie kontrolowane w jakiś inny sposób.

Gongi wzywały nas na wieczorne modły. Mój Przewodnik, Lama Mingyar Dondup, podniósł się.

- Chodź, Lobsang - powiedział. - Jesteśmy tutaj gośćmi i musimy okazywać szacunek naszym gospodarzom chodząc na modły.

Opuściliśmy pokój i wyszliśmy na podwórze. Dzwony biły natarczywie - dłużej, niż miałyby to miejsce w Czakpori. Zdziwiająco powoli przebyliśmy drogę do Świątyni. Dziwiłem się naszej powolności, ale kiedy rozejrzałem się wokół, zobaczyłem bardzo starych, niedołączonych ludzi, kuśtykających za nami przez podwórze.

- Byłoby grzecznie, Lobsang, gdybyś przeszedł i usiadł z tymi czelami! - wyszeptał do mnie mój Przewodnik.

Skinąłem, poszedłem wokół wewnętrznych ścian świątyni, aż dotarłem do miejsca, gdzie siedzieli czela Klasztoru Państwowej Wyroczni. Przyglądali się mi z ciekawością, gdy usiadłem obok nich. Prawie niepostrzeżenie, kiedy nadzorcy ich nie widzieli przesuwali się do przodu, aż otoczyli mnie.

- Skąd jesteś? - zapytał jeden chłopiec, który zdawał się być przywódcą.

- Z Czakpori - odpowiedziałem szeptem.

- Czy ty jesteś chłopcem przesłanym tu przez Najdostojniejszego? - wyszeptał inny.

- Tak - odpowiedziałem szeptem.

- Widziałem Wyrocznię - powiedział mi...

- CISZA! - ryknął srogi głos tuż za mną. - Ani słowa chłopcy! Zobaczyłem oddalającego się wysokiego mężczyznę.

- Oj! - powiedział chłopiec - nie zwracaj na niego uwagi, jego szczekanie jest gorsze niż ugryzienie.

W tej samej chwili Państwowa Wyrocznia i Opat weszli przez małe drzwi z boku i rozpoczęły się modły.

Wkrótce wyszliśmy ponownie na zewnątrz. Poszedłem z innymi do kuchni, aby napełnić jęczmieniem moją skórzaną torbę i napić się herbaty. Nie było okazji do rozmowy. Mnisi różnych stopni stali tu i tam, wykorzystując na rozmowę ostatnie minuty przed udaniem się na spoczynek. Poszedłem do pokoju przeznaczanego dla mnie, zawiązałem szatę i położyłem się spać. Jednak sen długo nie przychodził. Patrzyłem w purpurową ciemność usianą złotymi płomykami maślanych lamp. Hen, daleko, wieczne Himalaje wyciągały skalne palce ku niebu, jakby w błaganu do Bogów Świata. Ostre, białe promienie światła księżycowego przeblyskiwały przez górskie szczeliny, by zniknąć i pojawić się na nowo, kiedy księżyc wszędzie wyżej. Nie było wiatru tej nocy, modlitewne flagi zwisały bezsilnie ze słupów. Nad Lhasą leniwie przepływały resztki jakiejś chmury. Obróciłem i zapadłem w kamienny sen.

W bardzo wczesnych godzinach porannych zerwałem się ze strachem. Zasnęłam i mogłem być już spóźniony na poranne modły. W pośpiechu narzuciłem szatę i wypadłem przez drzwi. Pędząc wzdłuż opustoszałego korytarza wybiegłem na podwórze - prosto w ramiona jednego z ludzi Kham.

- Dokąd pędzisz? - wyszeptał groźnie trzymając mnie w żelaznym uścisku.

- Na poranne modły! - odpowiedziałem. - Musiałem zasnęłam.

Roześmiał się i puścił mnie.

- Och! - powiedział. - Jesteś gościem. Tu nie ma porannych modłów. Wracaj i śpij dalej.

- Nie ma porannych modłów? - zawołałem. - Przecież *wszędzie* są poranne modły!

Mnich policjant musiał być w dobrym nastroju, ponieważ odpowiedział mi uprzejmie.

- Mamy tu starych ludzi, wielu niedołączonych. Z tego powodu obywamy się bez porannych modłów. Idź i odpocznij chwilę w spokoju.

Poklepał mnie po głowie, delikatnie według siebie, jak uderzenie piorunu według mnie i popchnął mnie z powrotem w korytarz. Odwrócił się i przemierzał dalej podwórze. Jego ciężkie kroki wystukiwały "bonk! bonk!" ciężko wybijając "thunk! thunk!" w momencie, gdy podeszwa

trafiała z głuchym odgłosem w ziemię po każdym kroku. Pobiegłem z powrotem korytarzem i po chwili znowu spałem.

Później tego samego dnia zostałem przedstawiony Opatowi i dwóm starszym lamom. Przepytali mnie dokładnie, zadając pytania o moje życie w domu, co pamiętam z przeszłych żywotów, o moje relacje z moim Przewodnikiem, Lamą Mingyarem. W końcu wszyscy troje podnieśli się chwiejąc na nogach i poszli jeden zadrugim w kierunku drzwi.

- Chodź - powiedział ostatni, wskazując palcem w moim kierunku.

Oniemiały, oszołomiony, podążyłem potulnie za nimi. Wyszli powoli przez drzwi i wlekli się korytarzem ospale, noga za nogą. Podążałem za nimi, prawie drepząc \v miejscu, zęby iść wystarczająco wolno. Posuwaliśmy się dalej, mijaliśmy otwarte pokoje, skąd zarówno trappowie, jak i czele, oglądali z ciekawością nasze powolne przechodzenie. Czułem, że moje policzki płonęły z zakłopotania, że byłem "ogonem" tej procesji. Opat na jej czele powłóczył nogami z pomocą dwóch kijów, a za nim szli dwaj starzy lamowie, którzy byli tak zgrzybiali i wysuszeni, że ledwie mogli nadażyć za Opatem. I ja, zamykający pochód, ledwo mogący iść wystarczająco wolno.

Nareszcie, wydawało mi się, że minęły wieki, dotarliśmy do małych drzwi umieszczonych w przeciwległej ścianie. Zatrzymaliśmy się, podczas gdy Opat grzebał kluczem i mruczał coś pod nosem. Jeden z lamów podszedł do przodu, zęby mu pomóc i wreszcie drzwi zostały otwarte ze zgrzytem sprzeciwiających się zawiasów. Opat wszedł, za nim najpierw jeden lama, potem drugi. Nic mi nie powiedzieli, więc wszedłem również. Jeden ze starych lamów popchnął drzwi zamykając je za mną. Przede mną stał dość długi stół zawalony starymi, pokrytymi kurzem przedmiotami. Stare szaty, starożytne młynki modlitewne, stare miski i poukładane sznurki modlitewnych różańców. Na stole porozrzucanych zostało kilka magicznych pudełek i różnych innych przedmiotów, których na pierwszy rzut oka nie mogłem rozpoznać.

- Hmmm. Mmmm. Podejź tu, mój chłopcze! – rozkazał Opat.

Podszedłem niechętnie do niego, a on chwycił moje lewe ramię swoją kościstą ręką. Poczułem się jak w uścisku kościotrupa!

- Hmmm. Mmmm. Chłopcze! Hmmm. Które z tych przedmiotów i przyborów, jeśli są takie, należały do ciebie w poprzednim życiu?

Poprowadził mnie wzdłuż stołu, następnie odwrócił mnie.

- Hmmm. Mmmm - powiedział. - Jeżeli sądzisz, że jakieś rzeczy były twoje, hmmm, weź je i, hmmm, mmmii, przynieś do mnie.

Usiadł ciężko i zdawał się zupełnie nie interesować tym, co robię. Dwóch lamów usiadło z nim i nie padło już żadne słowo.

- Dobrze! - pomyślałem sobie - jeżeli tych trzech starych ludzi chce bawić się w ten sposób - w porządku, będę grał w ten sam sposób!

Psychometria jest oczywiście najprostszą rzeczą do wykonania. Szedłem wolno wzdłuż stołu, z wyciągniętą lewą ręką i dłonią skierowaną ku dołowi ponad różnymi rzeczami. Przy pewnych przedmiotach odczuwałem rodzaj mrowienia w środku dłoni i lekki dreszcz, lub drżenie, przebiegało mi przez rękę. Podniosłem młynek modlitewny, starą pogiętą miskę i sznurek różańca. Potem powtórzyłem moją wędrówkę wzdłuż długiego stołu. Tylko jeszcze jedna rzecz spowodowała mrowienie w dłoni i drżenie ręki - stara postrzępiona szata w ostatnim stadium rozpadu. Szafranowa szata wysokiego urzędnika, wypłowiwała ze starości, ze zbutwiałego i rozsypującego się w dotyku materiału. Ostrożnie podniosłem ją, trochę obawiając się, że mogłaby rozpaść się pomiędzy moimi uważnymi palcami. Delikatnie zaniósłem ją do starego Opata, złożyłem u jego stóp i wróciłem po młynek modlitewny, pogiętą miskę i sznurek różańca. Bez słowa Opat i dwaj lamowie badali przedmioty i porównywali pewne znaki, czy sekretne oznakowania, ze znakami w starej, czarnej księżce, którą wyjął Opat. Przez jakiś czas siedzieli patrząc na siebie. Ich głowy kiwały się na wysuszonych szyjach, stare mózgi prawie skrzypiały z wysiłku myślenia.

- Harrumph! Arrrf! - mamrotał Opat, sapiąc niczym przepracowany jak. - Mmmmmnn. To jest rzeczywiście on. Hmmm. Godne uwagi wydarzenie, mmmm. Idź do swojego Przewodnika,

Lamy Mingyara Dondupa, chłopcze, i hmnn, powiedz mu, że bylibyśmy zaszczytzeni jego obecnością. Ty, mój chłopcze, możesz nie wracać. Harrumph! Arrrrf

Odwrociłem się i wybiegłem z pokoju, zadowolony, że uwolniłem się od tych żywych mumii, których wysuszona obcość była tak różna od ciepłej natury Lamy Mingyara Dondupa. Skręcając za róg zatrzymałem się zaledwie kilka cali od mojego Przewodnika. Uśmiechnął się do mnie.

- Och! Nie dziw się, ja również odebrałem wiadomość - powiedział.

Klepiąc mnie przyjaźnie po plecach pośpieszył do pokoju, w którym znajdowali się Opat i dwaj starzy lamowie. Wyszedłem na podwórze i leniwie kopnąłem kilka kamieni.

- Ty jesteś chłopcem, którego inkarnacja została rozpoznana? - zapytał głos z tyłu.

Odwrociłem się i zobaczyłem przyglądającego mi się uważnie czele.

- Nie wiem, co oni robią - odpowiedziałem. - Mogę tylko powiedzieć, że wlekli mnie korytarzami, żebym mógł odszukać kilka moich starych rzeczy. *Każdy* mógłby to zrobić!

Chłopiec roześmiał się dobrodusnie.

- Wy, z Czakpori, znacie swoje ciała - powiedział. - Inaczej nie byłbyś w tym klasztorze. Słyszałem, jak mówiono, że byłeś kimś *wielkim* w przeszłym życiu. *Musisz* być kimś, ponieważ sam Wyrocznia poświęcił ci pół dnia.

Wzruszył ramionami udając strach.

- Lepiej uważaj - ostrzegł. - Zanim będziesz wiedział, co się dzieje, rozpoznają cię i uczynią Opatem. Wtedy nie będziesz już mógł dłużej bawić się z innymi w Czakpori.

Z drzwi na przeciwnym końcu podwórza pojawiła się postać mojego Przewodnika. Szybko podszedł do nas. Czela, z którym rozmawiałem, skłonił się nisko w pokornym pozdrowieniu. Lama uśmiechnął się i powiedział jak zawsze łagodnie.

- Musimy wyruszyć, Lobsang! - powiedział Lama Mingyar Dondup do mnie. - Wkrótce noc będzie nad nami, a nie chcemy jechać w ciemnościach.

Razem poszliśmy do stajni, gdzie mnich stajenny czekał z naszymi końmi. Niechętnie dosiadłem zwierzęcia i podążyłem za moim Przewodnikiem drogą wśród wierzb. Jechaliśmy w milczeniu. Nigdy nie mogłem rozmawiać inteligentnie na końskim grzbiecie, ponieważ traciłem całą swoją energię, żeby utrzymać się na nim. Ku mojemu zdziwieniu nie skręciliśmy do Czakpori, lecz skierowaliśmy się do Polali. Konie powoli wspiwały się Drogą Stopni. Pod nami dolina zniknęła już w ciemnościach nocy. Z radością zsiadłem z konia i pośpieszyłem w znanej już Potali na poszukiwanie jedzenia.

Mój Przewodnik czekał na mnie, kiedy szedłem po kolacji do pokoju.

- Wejź do mnie, Lobsang - powiedział.

Wszedłem i na jego zaproszenie usiadłem.

- Otóż - powiedział - przypuszczam, że dziwi cię to wszystko.

- Och! Spodziewałem się być rozpoznany jako inkarnacja - odpowiedziałem beztrąsko. - Rozmawialiśmy o tym z jednym czelą w Klasztorze Państwowej Wyroczni, kiedy mnie zawołałeś!

- Dobrze, że jest to dla ciebie przyjemne - powiedział Lama Mingyar Dondup. - Teraz musimy poświęcić trochę czasu, by omówić pewne sprawy. Nie musisz iść na nocne modły. Usiądź wygodniej, słuchaj i nie przerywaj.

- Większość ludzi przychodzi na ten świat, żeby się czegoś uczyć - rozpoczął mój Przewodnik. - Inni, by pomagać będącym w potrzebie, czy wykonać pewne specjalne, bardzo ważne zadanie.

Popatrzył ostro na mnie, aby upewnić się, że słucham.

- Wiele religii naucza o Piekło - mówił - miejscu kary i pokuty za grzechy. Piekło jest *tutaj*, na tym świecie. Nasze rzeczywiste życie jest na innym świecie. Tu przychodzimy, by się uczyć, zapłacić za pomyłki uczynione w poprzednich żywotach albo – jak powiedziałem - próbować wykonać jakieś bardzo ważne zadanie. Ty masz tu zadanie związane z ludzką aurą. Twoimi "narzędziami" będą niezwykle czuła percepcja psychiczna, znacznie pogłębiona zdolność widzenia ludzkiej aury i cała wiedza, jaką możemy ci przekazać, dotycząca *wszystkich* umiejętności okultystycznych. Najdostojniejszy zarządził, że zostaną użyte wszystkie możliwe środki do powiększenia twoich zdolności i talentów. Bezpośrednie nauczanie, rzeczywiste

doświadczenia, hipnoza, zamierzamy użyć ich wszystkich, żebyś uzyskał jak najwięcej wiedzy w najkrótszym czasie.

- To jest piekło, rzeczywiście! - wykrzyknąłem ponuro.

Lama roześmiał się.

- Lecz *to* Piekło jest jedynie odskocznią do znacznie lepszego życia. Tu możemy uwolnić się od pewnych podstawowych błędów. Tu przez kilka lat ziemskiego życia zrzucamy z siebie winy, które mogły nas dręczyć w Innym Świecie przez niezmierny czas. Całe życie tego świata jest mgnieniem w porównaniu z życiem Innego Świata. Większość ludzi na Zachodzie – kontynuował - myśli, że kiedy ktoś "umrze", siedzi na chmurze i gra na harfie. Inni myślą, że kiedy ktoś opuszcza *ten*, świat, egzystuje w mistycznym stanie niebytu, i tak dalej.

Uśmiechnął się i mówił dalej:

- Gdybyśmy mogli tylko uświadomić im, że życie po śmierci jest *bardziej* realne niż cokolwiek na Ziemi! Wszystko na tym świecie składa się z wibracji. Wszystkie wibracje świata - i wszystko na świecie - może być porównane do oktawy na muzycznej skali. Kiedy przechodzimy na drugą stronę Śmierci, "oktawa" jest przesuwana w górę skali.

Mój Przewodnik zatrzymał się, chwycił moją rękę i zastukał kostkami moich palców o podłogę.

- To, Lobsang - powiedział - jest kamień. Wibracja, którą nazywamy kamieniem.

Znowu wiał moją rękę i potarł moimi palcami o szatę.

- To - wykrzyknął - jest wibracja, którą wykazuje wełna. Jeżeli przesuniemy *wszystko* w górę skali wibracji, w dalszym ciągu zachowamy względne stopnie twardości i miękkości. Tak więc w Życiu po Śmierci, *rzeczywistym* Życiu, możemy posiadać rzeczy takie, jak na tym świecie. Czy rozumiesz to jasno? - zapytał.

Oczywiście, to było jasne, wiedziałem takie rzeczy od bardzo dawna. Lama wszedł w moje myśli.

- Tak, wiem, że to wszyscy wiedzą, lecz jeśli *wyrazimy słownie* te "niewypowiedziane myśli", ułożymy je jaśniej w twoim umyśle. Później – powiedział – będziesz podróżował do krajów zachodniego świata. Tam napotkasz wiele trudności ze strony zachodnich religii.

Uśmiechnął się krzywo.

- Chrześcijaństwo nazywają nas poganami - zauważył. - W ich Biblii jest napisane, że *Chrystus wędrował przez pustynie*. *Nasze* zapisy mówią, że Chrystus wędrował przez Indie, studiując hinduskie religie, a potem przybył do Lhasy i studiował na Jo Kang u naszych największych kapłanów tych czasów. Chrystus stworzył *dobrą* religię, lecz chrześcijaństwo praktykowane dziś nie jest tą religią, którą dał Chrystus.

Mój Przewodnik popatrzył na mnie surowo.

- Wiem - powiedział - że jesteś tym trochę znudzony, myśląc, że mówię dla samego mówienia, ale ja podróżowałem przez świat Zachodu i mam obowiązek ostrzec cię przed tym, czego doświadczysz. Zrobię to najlepiej, opowiadając ci o ich religiach, ponieważ wiem, że masz pamięć ejdetyczną.

Byłem na tyle przyzwoity, żeby się zaczerwienić. *Za dużo słów* - myślałem.

Na zewnątrz, mnisi w korytarzach szurali nogami idąc do Świątyni na wieczorne modły. Na dachu trębacze wyglądali na Dolinę i wygrywali ostatnie nuty gasnącego dnia. Tu przede mną, mój Przewodnik, Lama Mingyar Dondup, mówił dalej.

- Na Zachodzie są dwie podstawowe religie i niezliczone odłamy. Religia żydowska jest stara i tolerancyjna. Nie będziesz miał kłopotów ani trudności ze strony Żydów. Przez wieki byli prześladowani i mają wielką sympatię i zrozumienie dla innych. Chrześcijaństwo nie są tak tolerancyjni, z wyjątkiem niedzieli. Nie zamierzam mówić o poszczególnych wierzeniach, przeczytasz o nich. Zamierzam powiedzieć ci, jak powstawały religie.

- U zaraniu dziejów na Ziemi - powiedział Lama - ludzie żyli w małych grupach, bardzo małych szczepach. Nie było praw ani kodeksu postępowania. Siła była jedynym prawem. Silniejszy i bardziej dziki szczep napadał na słabszy. W miarę upływu czasu wyrósł silniejszy i mądrzejszy człowiek. Zrozumiał, że jego szczep mógłby być silniejszy, gdyby

został zorganizowany. Ustanowił religię i kodeks postępowania. *Bądź płodny i rozmnażaj się* rozkazał wiedząc, że im więcej dzieci się urodzi, tym silniejszy stanie się jego szczep. *Czcij ojca i matkę* nakazał wiedząc, że jeżeli rodzice będą autorytetem dla swych dzieci, to on będzie miał autorytet u rodziców. Wiedział też, że jeżeli wpoi dzieciom poczucie długu wobec rodziców, łatwiej będzie wprowadzić dyscyplinę. *Nie cudzołóż* grzmiał prorok tamtych czasów. Jego nakaz naprawdę znaczył, że szczep nie powinien być "skażony" krwią członków innego plemienia, ponieważ w takiej sytuacji zostanie podzielona lojalność. Z biegiem czasu kapłani stwierdzili, że są tacy, którzy nie zawsze słuchają nauk religii. Po wielu przemyśleniach, wielu dyskusjach, kapłani ci opracowali system nagród i kar. "Niebo", "Raj", "Walhalla" - określaj to, jak chcesz - dla tych, którzy są posłuszni *kapłanom*. Ogień piekielny i potępienie z wiecznymi mękami dla nieposłusznych.

- Więc jesteś przeciwnikiem zorganizowanych religii Zachodu, Panie? - zapytałem.

- Nie, z pewnością nie - odpowiedział mój Przewodnik - jest wielu, którzy czują się zagubieni, jeżeli nie mogą poczuć lub wyobrazić sobie wszystkowiedzącego Ojca, spoglądającego na nich z góry, i notującego Anioła, gotowego do zapisywania wszystkich dobrych, jak i złych, uczynków! My jesteśmy Bogami dla mikroskopijnych stworzeń, które zamieszkują nasze ciała, a nawet dla jeszcze mniejszych stworzeń, które zamieszkują *ich* molekuly! Jeśli chodzi o modlitwę, Lobsang, czy ty często wysłuchujesz modlitw stworzeń znajdujących na cząsteczkach twojego ciała?

- Ale sam mówiłeś, że modlitwa jest skuteczna - odpowiedziałem z pewnym zdziwieniem.

- Tak, Lobsang, modlitwa jest *bardzo* skuteczna, *jeżeli modlimy się do naszej nadświadomości*, do rzeczywistej części nas w innym świecie, części, która kieruje naszymi "sznurkami marionetek". Modlitwa jest *bardzo* skuteczna, *jeżeli* przestrzegamy prostych, naturalnych praw, które ją spełniają.

Uśmiechnął się do mnie i powiedział:

- Człowiek jest jedynie pyłkiem w niespokojnym świecie. Człowiek jest spokojny tylko wtedy, gdy czuje się bezpieczny w pewnej formie "matczynej objęć". Dla ludzi na Zachodzie, nie wyćwiczonych w sztuce umierania, ostatnią myślą, ostatnim krzykiem jest: *Mamo!* Człowiek, który nie jest pewny siebie, próbując stworzyć wrażenie pewności siebie będzie ssać papierosa albo cygaro, tak jak dziecko ssie smoczek. Psychologowie zgadzają się z tym, że nawyk palenia jest po prostu powrotem do okresu wczesnego dzieciństwa, kiedy dziecko czerpało pokarm i *pewność* z matki. Religia jest smoczkami. Znajomość prawdy o życiu - i śmierci - jest jeszcze większą pociechą. Na Ziemi jesteśmy jak woda, podobni parze, kiedy przechodzimy w "śmierć" i skraplamy się ponownie w wodę, kiedy jeszcze raz rodzimy się na tym świecie.

- Panie! - zawołałem - czy uważasz, że dzieci *nie* powinny szanować swoich rodziców?

Mój Przewodnik spojrzał na mnie zaskoczony.

- Na Boga, Lobsang, oczywiście dzieci powinny szanować swoich rodziców - tak długo, jak rodzice na to zasługują. Zbyt dominujący rodzice nie powinni mieć możliwości rujnowania życia swoich dzieci, przecież dorosłe "dziecko" z pewnością ma przede wszystkim obowiązki w stosunku do swojego męża czy żony. Rodzice *nie* powinny tyranizować swych dorosłych potomków i narzucać im swej woli. Pozwalać rodzicom tak czynić - znaczy krzywdzić zarówno rodziców, jak i siebie. Stwarza to dług, który rodzice muszą spłacić w jakimś innym życiu.

Pomyślałem o moich rodzicach. O surowym i powściągliwym ojcu, który nigdy nie był mi "ojcem" i matce, której główną troską było życie towarzyskie. Potem pomyślałem o Lamie Mingyarze, który był mi *więcej* niż ojcem i matką, był jedyną osobą, która zawsze okazywała mi dobroć i miłość.

Wszedł pośpiesznie mnich posłaniec i skłonił się głęboko.

- Czcigodny Mingyarze - powiedział z szacunkiem - polecono mi przekazać ci wyrazy szacunku i pozdrowienia od Najdostojniejszego i prośbę, żebyś był łaskaw udać się do Niego. Czy mogę cię poprowadzić do Niego, Panie?

Mój Przewodnik wstał i położył za posłańcem.

Wyszedłem i wspiałem się na dach Polali. Nieco wyżej wylaniał się z ciemności medyczny

klasztor Czakpori. Obok mnie modlitewna flaga trzepotała lekko o maszt. Stojąc w pobliżu okna widziałem starego mnicha pracowicie obracającego modlitewny młynek, jego "klak-klak" brzmiało głośno w ciszy nocy. Gwiazdy rozciągały się ponad głową w nie kończącej się procesji i byłem ciekaw, czy *my* wyglądamy tak gdzieś, dla jakichś innych stworzeń?

Rozdział IV

Porą roku był Logsar, tybetański Nowy Rok. My, czele - i trappowie też - byliśmy przez pewien czas zajęci robieniem figur z masła. W zeszłym roku nie troszczyliśmy się o to i dlatego zrobiliśmy złe wrażenie. Inne klasztory były przekonane (i słusznie!), że my z Czakpori nie mamy czasu ani chęci zajmować się takimi dziecinnymi czynnościami. W tym roku więc, na polecenie samego Najdostojniejszego, musieliśmy wykonać maślane figury i uczestniczyć we współzawodnictwie. Nasz wysiłek był skromny w porównaniu z tym, co działo się w innych klasztorach. Na drewnianej konstrukcji, około dwudziestu stóp wysokości i trzydziestu stóp długości, lepiłiśmy z kolorowego masła różne sceny ze Świętych Ksiąg. Nasze postacie były całkowicie trójwymiarowe, i mieliśmy nadzieję, że widziane w świetle migoczących maślanych lamp dadzą wrażenie ruchu.

Najdostojniejszy i wszyscy starsi Lamowie osobiście oglądali co roku wystawy i udzielali wielu pochwał budowniczym najlepszemu dziełu. Po okresie Logsar masło topiono i używano w maślanych lampach przez cały rok. Kiedy pracowałem - a miałem dużą wprawę w modelowaniu - myślałem o wszystkim, czego nauczyłem się w ciągu minionych kilku miesięcy. Pewne sprawy religii wciąż mnie intrygowały i postanowiłem zapytać o nie przy pierwszej okazji mojego Przewodnika Lamę Mingyara Dondupa. Teraz najważniejsza była *maślana rzeźba!* Schyliłem się, wskrobałem świeżą porcję masła koloru ciała i ostrożnie wspiąłem się na rusztowanie, żeby sporządzić ucho odpowiednie dla wielkości Buddy. Po mojej prawej stronie dwóch młodych czeli walczyło na maślane kule, nabierając ręką ładunek masła, formując coś z grubsza okrągłego, potem rzucając ten brudny pocisk we "wroga". Świetnie się bawili, na nieszczęście zza kamiennej kolumny pojawił się mnich nadzorca, żeby zobaczyć, co to za hałas. Bez słowa chwycił obu chłopców, jednego prawą rękę, drugiego lewą, i wrzucił obu do wielkiego kotła gorącego masła!

Odwrociłem się i kontynuowałem moją pracę. Masło wymieszane z kopciem lampy utworzyło odpowiednie brwi. Figura dawała już złudzenie życia.

- Ostatecznie to *jest* Świat Iluzji - pomyślałem.

Zszedłem na dół i odszedłem dalej, żeby lepiej przyjrzeć się efektowi swojej pracy. Mistrz Sztuk uśmiechał się do mnie. Być może byłem jego ulubionym uczniem ponieważ lubiłem modelowanie i malowanie, i rzeczywiście starałem się czegoś od niego nauczyć.

- Pracujemy dobrze, Lobsang - powiedział wesoło. – Bogowie wyglądają jak żywi.

Odszedł, żeby kierować zmianami w innej części sceny.

- Bogowie wyglądają jak żywi! Czy oni *są* Bogami? - myślałem. - Dlaczego uczymy się o nich, jeżeli ich nie ma? Muszę zapytać mojego Przewodnika.

W zamyśleniu zeszkrobałem masło z rąk. Tam, w rogu, dwaj czela, którzy zostali wrzuceni do gorącego masła, próbowali oczyścić się przez nacieranie ciał sypkim brązowym piaskiem. Wyglądali naprawdę bardzo głupio, kiedy się wycierali. Zachichotałem i odwróciłem się, żeby wyjść. Obok mnie szedł dobrze zbudowany czela.

- Nawet Bogowie musieli się z tego śmiać! - zauważył.

- Nawet Bogowie - Nawet Bogowie - Nawet Bogowie - refren odbijał się echem w mojej głowie w rytm kroków.

Bogowie, czy *byli* to Bogowie? Zszedłem do Świątyni i usadowiłem się czekając na rozpoczęcie znanych mi modłów. *Słuchajcie głosów naszych dusz, wszyscy, którzy błądzicie, to*

jest Świat Iluzji. Życie jest jedynie snem. Wszystko, co się urodziło, musi umrzeć. Głos kapłana monotonnie recytował dobrze znane słowa. Słowa, które teraz wzbudziły moją ciekawość. *Trzeci kawałek kadzidła jest zapalany, żeby błędzący duch mógł być prowadzony.*

- Nie wspomagany przez Bogów - pomyślałem - lecz prowadzony przez *jego ludzi*, dlaczego nie przez Bogów? Dlaczego modlimy się do naszej Wyższej Jaźni, a nie do Boga?

Reszta modłów nie była ciekawa, nie miała dla mnie znaczenia. Zostałem wyrwany z moich myśli przez łokieć wbijający się gwałtownie w moje żebra.

- Lobsang! *Lobsang!* Co się z tobą dzieje, *umarłeś?* Wstawaj, modły się skończyły!

Wstałem potykając się i wyszedłem za innymi ze Świątyni.

- Panie! - powiedziałem do mojego Przewodnika, Lamy Mingyara Dondupa, kilka godzin później - Panie! *Czy jest Bóg? Lub Bogowie?*

Spojrzał na mnie.

- Chodźmy, usiądziemy na dachu, Lobsang - powiedział. - Nie możemy rozmawiać w tym zatłoczonym miejscu.

Odwrócił się i poprowadził korytarzem obok mieszkań Lamów do góry, po ponacinanych palach i dalej na dach. Przez moment staliśmy patrząc na ukochany widok wyniosłych górskich pasm, jasne wody Kyi Czu i otoczoną trzcinami Kaling Czu. Na dole Norbu Linga, czyli Park Klejnotów, wyglądał jak masa żywej zieleni. Mój Przewodnik machnął ręką.

- Czy myślisz, że *to* wszystko to przypadek, Lobsang? *Oczywiście, że jest Bóg!*

Ruszyliśmy do najwyższej części dachu i usiedliśmy.

- Masz zamęt w myślach, Lobsang - twierdził mój Przewodnik - Istnieje Bóg; istnieją Bogowie. Podczas pobytu, tu na Ziemi nie jesteśmy w stanie poznać formy i natury Boga. Żyjemy w czymś, co może być określone jako świat trojw\miarowy. Bóg żyje w świecie tak daleko oddalonym, że ludzki mózg, *będąc na Ziemi*, nie może pomieścić w sobie koniecznego, ogólnego, pojęcia Boga. I tak człowiek ma skłonność do racjonalizacji "Bóg" jest uważany za kogoś ludzkiego - nadludzkiego, jeżeli wolisz to określenie - lecz człowiek w swojej próżności wierzy że został stworzony na obraz Boga! Człowiek też wierzy, że nie ma życia w innych światach. Jeżeli człowiek został stworzony na obraz Boga, a ludzie innych światów są innymi obrazami - co stanie się z naszą ideą, że *jedynie* człowiek jest stworzony na obraz Boga?

Lama popatrzył na mnie przenikliwie, żeby upewnić, że nadażam za jego uwagami. Naturalnie nadażalem. Wszystko to wydawało się dość oczywiste.

- Każdy świat, każdy kraj każdego świata, ma swojego Boga albo Anioła Stróża. My, Boga opiekującego się światem, nazywamy Manu. Jest on wysoce rozwiniętym Duchem, człowiekiem, który inkarnacja po inkarnacji wyzbywał się nieczystości, pozostawiając w sobie tylko czyste. Jest grupa Wyższych Istot, które w razie potrzeby przychodzą na tę Ziemię, żeby dać przykład zwykłym śmiertelnikom, by ci mogli podnieść się z błota ziemskich pragnień.

Skinąłem głową. Wiedziałem o tym. Wiedziałem, że Budda, Mojżesz, Chrystus i wielu innych należało do tego Zakonu. Wiedziałem też o Majtreji, który, jak podano w Pismach Buddyjskich, przyjdzie na świat 5656 *milionów* lat po przyjsciu Buddy, czy Gautamy, jak dokładniej powinien być nazywany. Wszystko to, i jeszcze więcej, było częścią naszego typowego religijnego nauczania - również to, że *każda* dobra osoba ma takie same możliwości niezależnie od tego, jaką nazwę noszą jej przekonania religijne. Nigdy nie wierzyliśmy, że tylko jedna sekta religijna "pójdzie do Nieba", a wszystkie inne zostaną wtrącane do Piekła, ku radości różnych krwiozerczych fanatyków. Mój Przewodnik był gotów mówić dalej.

- Manu świata to Wysoko Rozwinięta Istota, która kieruje losem świata. Są mniejsi Manu, którzy kierują losami krajów. Po wielu, wielu latach Światowy Manu przejdzie dalej, i następny, teraz odpowiednio ćwiczony, rozwinie się i przejmie Ziemię.

- Ach! - wykrzyknąłem triumfalnie - w takim razie nie wszyscy Manu są dobrzy! Manu Rosji pozwala Rosjanom działać przeciw naszemu dobru. Manu Chin zezwala Chińczykom najeżdżać na nasze ziemie i zabijać naszych ludzi.

Lama uśmiechnął się do mnie.

Zapominasz, Lobsang - odpowiedział - że ten świat jest Piekłem. Przybyliśmy tu, by się uczyć.

Przybyliśmy tu cierpieć, żeby nasz *duch* mógł się rozwinąć. Trudy uczą, ból uczy, dobroć i względy nie uczą. Są wojny, żeby człowiek mógł okazać odwagę na polu walki i - jak ruda żelaza w piecu - zahartować się i wzmocnić w ogniu walki. Fizyczne ciało nic nie znaczy, to tylko tymczasowa marionetka. Jedynie Dusza, Duch, Wyższe Ja (nazywaj to, jak chcesz) ma znaczenie. Na Ziemi w naszym zaślepieniu myślimy, że jedynie ciało ma znaczenie. Obawa, że ciało może cierpieć, zaciemnia nasze spojrzenie na świat i wypacza nasze sądy. Powinniśmy działać dla dobra swojego Wyższego Ja, ciągle pomagając innym. Ci, którzy postępują bez zastanowienia pod dyktando apodyktycznych rodziców, obciążają zarówno rodziców, jak i samych siebie. Ci, którzy ślepo podążają za nakazami pewnych stereotypowych religijnych wierzeń, również hamują swój rozwój.

- Szlachetny Lamo! - poprosiłem. - Czy mogę dodać dwie uwagi?

- Tak, możesz - odpowiedział mój Przewodnik.

- Powiedziałeś, że uczyliśmy się szybciej, jeżeli warunki są surowe. Ja wolałbym trochę więcej dobroci. Ja mógłbym uczyć się w ten sposób.

Popatrzył na mnie w zamyśleniu.

- Mógłbyś? - zapytał. - Uczylbyś się Świętych Ksiąg, nawet gdybyś nie bał się nauczycieli? Wykonywałbyś swoją część pracy w kuchni, nawet gdybyś nie obawiał się kary za lenistwo? Mógłbyś?

Zwiesiłem głowę, to była prawda. Pracowałem w kuchni tylko wtedy, kiedy mi kazano. Studiowałem Święte Księgi, ponieważ bałem się skutków zaniedbania.

- A twoje następne pytanie? - zapytał Lama.

- Otóż, Panie, w jaki sposób stereotypowe religie szkodzą czyjejś ewolucji?

- Dam ci dwa przykłady - odpowiedział moi Przewodnik. - Chińczycy wierzą, że nie ma znaczenia, co zrobili w tym życiu, ponieważ mogą zapłacić za błędy i grzechy, kiedy przyjdą znowu. W ten sposób obrali taktykę umyślowego lenistwa. Ich religia stała się narkotykiem i odurza ich prowadząc do duchowego lenistwa. Żyją tylko dla przyszłego życia, więc ich umiejętności i rzemiosła nie są używane. Chiny stały się przez to trzeciorzędą potęgą, w której bandycy generałowie zaczęli rządy terroru i rabunku.

Zauważyłem, że Chińczycy w Lhasie zdawali się być zbyt brutalni i całkiem fanatyczni. Śmierć nie znaczyła dla nich nic więcej, jak przejście do drugiego pokoju! Nie obawiałem się śmierci w żaden sposób, ale chciałem zakończyć swoje zadanie w czasie jednego życia, zamiast lenić się i przychodzić na ten świat raz za razem. Proces narodzin, bycia bezsilnym dzieckiem, konieczność chodzenia do szkoły, wszystko to dla mnie było *kłopotem*. Miałem nadzieję, że to życie będzie moim ostatnim na Ziemi. Kiedyś Chińczycy mieli zadziwiające wynalazki, zdumiewające dzieła sztuki, cudowną kulturę. Teraz, przez zbyt niewolnicze trzymanie się wierzeń religijnych, Chińczycy stali się dekadentami, gotowymi paść ofiarą komunizmu. Kiedyś wiek i wykształcenie były głęboko szanowane w Chinach, tak jak powinno być. Teraz – mędrcom nie był już oddawany należny im szacunek. Teraz liczyły się tylko przemoc, własna korzyść i egoizm.

- Lobsang! - głos mojego Przewodnika wszedł w moje myśli. - Widzieliśmy religię, która uczyła bezczynności, która uczyła, że człowiek nie powinien w żaden sposób wpływać na drugiego, gdyż w ten sposób powiększa swoją Karmę - dług, który przechodzi z życia na życie.

Popatrzył na Lhasę, na naszą spokojną Dolinę, potem znowu zwrócił się do mnie.

- Religie Zachodu są bardzo wojownicze. Ludziom tam nie wystarcza wierzyć w to, co *ani* chcą. Są gotowi zabijać innych, żeby zmusić ich do wierzenia w to samo. Nie wiem, jak *zabicie* osoby mogłoby być dobrą praktyką religijną - zauważyłem.

- Nie, Lobsang - odpowiedział Lama. - Lecz w czasach hiszpańskiej inkwizycji jedna część chrześcijan torturowała drugą część, żeby ich "nawrócić i zbawić". Ludzi rozciągano na kołach tortur i palono na stosach, żeby przekonać ich do zmiany wierzeń! Nawet teraz ludzie ci wysyłają misjonarzy, którzy próbują prawie wszystkich środków, aby zyskać nawróconych. Wydaje się, że są tak niepewni swoich wierzeń, że muszą uzyskać od innych uznanie i akceptację swojej religii - przypuszczalnie czują się bezpiecznie w większej liczbie!

- Panie - powiedziałem - czy myślisz, że ludzie powinni wyznawać religię?

- Dlaczego nie? Z pewnością, jeśli tego pragną – odpowiedział Lama Mingyar Dondup. - Jeżeli ludzie nie osiągnęli stanu, w którym mogą akceptować Wyższe Ja i Manu Świata, mogą czuć się lepiej należąc do jakiegoś formalnego systemu religijnego. To jest umysłowa i duchowa dyscyplina. Sprawia ona, że pewni ludzie czują się przynależni do rodzinnej grupy z dobroczynnym Ojcem czuwającym nad nimi i współczującą Matką zawsze gotową wstawić się za nimi u Ojca. Tak, w pewnym stadium ewolucji, taka religia jest dobra. Lecz im wcześniej tacy ludzie zrozumieją, że powinni modlić się do swojego Wyższego Ja, tym pręcej będą się rozwijać. Czasami pytają nas, dlaczego mamy Święte Obrazy w naszych Świątyniach, lub dlaczego w ogóle mamy Świątynie. Możemy odpowiedzieć, że takie Obrazy przypominają, że my też możemy rozwijać się i po pewnym czasie stać się wyższymi Istotami Duchowymi. Co do naszych Świątyń, to są one miejscami, gdzie ludzie o podobnych poglądach mogą zebrać się, żeby pokrzepić swoje siły w zadaniu, jakim jest osiągnięcie Wyższego Ja. Dzięki modlitwie, nawet jeżeli modlitwa nie jest właściwie ukierunkowana, człowiek jest zdolny osiągnąć wyższy poziom wibracji. Medytacja i kontemplacja w Świątyni, Synagodze, czy w Kościele jest korzystna.

Rozmyślałem nad tym, co właśnie usłyszałem. Poniżej nas Kaling Czu szemrała i płynęła szybciej, zwężona, by zmieścić się pod mostem Drogi Lingkor. Dalej na południe zauważyłem grupę ludzi czekających na przewoźnika przez Kyi Czu. Wcześniej tego dnia przyszli handlarze, przynosząc gazety i czasopisma dla mojego Przewodnika - gazety z Indii i z innych, nieznanych krajów świata. Lama Mingyar Dondup podróżował daleko i często, i pozostawał w ścisłym kontakcie ze sprawami toczącymi się poza Tybetem. Gazety, magazyny. W głębi mojego umysłu pojawiła się myśl. Coś, co dotyczyło tej dyskusji. Gazety? Nade skoczyłem jak uządlony. Nie gazety, lecz magazyny! Coś widziałem, ale co to było? Wiem! Wszystko było dla mnie jasne. Przejrzałem kilka stron nie rozumiejąc ani słowa z obcych języków, lecz szukając zdjęć. Nad jedną stroną zatrzymałem mój kartkujący kciuk. Było to zdjęcie uskrzydłonej istoty, unoszącej się nad polem krwawej bitwy. Mój Przewodnik, któremu pokazałem zdjęcie przeczytał i przetłumaczył dla mnie podpis.

- Dostojny Lamo! - wykrzyknąłem w podnieceniu – wcześniej dzisiaj opowiadałeś mi o tej Postaci - nazwałeś ją Aniołem Mons - o którym wiele osób twierdziło, że widziało go nad polem bitwy. Czy to był Bóg?

- Nie, Lobsang - odpowiedział mój Przewodnik - bardzo wielu ludzi w godzinie rozpaczki chciałoby widzieć postać świętego albo, jak oni nazywają. Anioła. Ich nagła potrzeba i silne emocje występujące na polu bitwy dodały siłę ich myślom, ich pragnieniom i ich modlitwom. W ten sposób tworzyli według swoich wyobrażeń formę myślową. Gdy pojawiły się pierwsze zarysy postaci ducha, modlitwy i myśli ludzi, którzy to spowodowali, zostały wzmocnione. Postać nabrała siły i konkretności i pozostawała tam przez jakiś czas. My robimy podobne rzeczy tutaj, kiedy "wywołujemy formy myślowe" w Wewnętrznej Świątyni. Lecz chodź, Lobsang, jest środek dnia i ceremonie Logsar jeszcze się nie zakończyły.

Zeszliśmy korytarzem opanowanym przez krzątanicę i pracowitą bieganicę, która, podczas okresu świąt, była codziennością w klasztorze. Mistrz Sztuk przybył poszukując mnie, potrzebując małego, lekkiego chłopca, który wspiałby się po rusztowaniu i zrobił kilka przeróbek w głowie figury na szczycie. Podążyłem szybkim krokiem śladami Mistrza w dół śliskiej drogi do Maślanego Pokoju. Tam wdziałem starą szatę, dosłownie pokrytą kolorowym masłem i przewiązałem wokół pasa lekką linę, żebym mógł wnieść materiał. Wspiałem się po rusztowaniu. Było tak, jak Mistrz przypuszczał. Część głowy odłamała się od drewnianych listew. Zawołałem na dół, czego potrzebowałem, spuściłem linę i wciągnąłem wiadro masła. Przez kilka godzin pracowałem, okręcając paski cienkiego drewna wokół podpórek z tyłu, lepiać ponownie masło, aby utrzymać głowę na miejscu. Wreszcie Mistrz Sztuk, patrząc krytycznie z dołu, pokazał, że jest zadowolony. Powoli, ostrożnie, wyplątałem się z rusztowania i pomału zszedłem na ziemię. Z przyjemnością zmieniłem szatę i pośpiesznie wyszedłem.

Następnego dnia ja i wielu innych czeli zeszło na równinę Lhasy u stóp Pętali, obok wsi Szó.

Teoretycznie obserwowaliśmy procesję, gry i wyścigi. W rzeczywistości popisywaliśmy się przed pokornymi pielgrzymami, którzy tłoczyli się na górskich ścieżkach, żeby dotrzeć do Lhasy w okresie Logsaru. Z całego buddyjskiego świata przybywano do tej Mekki buddyzmu. Starzy ludzie sparaliżowani wiekiem, młode kobiety niosące małe dzieci, wszyscy szli w przekonaniu, że wykonując Święte Okrążenie wokół Miasta i Potali odpokutują za przeszłe grzechy i zapewnią sobie dobre narodziny w ponownym życiu na Ziemi. Wróżbici tłoczyli się na Drodze Lingkor, starzy żebracy prosili o jałmużnę, handlarze z towarami umieszczonymi na ramionach przepychali się przez tłum w poszukiwaniu klientów. Wkrótce zmęczyłem się tym szalonym widowiskiem, gapiącym się tłumem ludzi i ich nie kończącymi się głupimi pytaniami. Wymknąłem się spomiędzy moich kolegów i wolno powędrowałem górską ścieżką do mojego lamaistycznego domu.

Na dachu, w moim ulubionym miejscu, było cicho. Słońce dawało łagodne ciepło. Z dołu, teraz spoza zasięgu wzroku, dochodził zmieszany pomruk tłumu, pomruk, który w swoim braku wyrazistości kołł mnie i czynił sennym w ciepłe południe. Niewyraźna postać zmaterializowała się prawie na granicy mojej zdolności widzenia. Sennie potrząsnąłem głową i zamrugałem oczami. Kiedy je znowu otworzyłem, postać ciągle tu była, teraz wyraźniejsza i bardziej gęsta. Włosy na karku uniosły mi się z nagłego strachu.

- Ty nie jesteś duchem! - wykrzyknąłem. - Kim jesteś? Postać lekko uśmiechnęła się.

- Nie, mój synu, nie jestem duchem - odpowiedziała. - Kiedyś też studiowałem tutaj w Czakpori i próżnowałem, tak jak ty próżnujesz teraz na dachu. Potem zapragnąłem ponad wszystko uwolnić się od ziemskich pragnień. Zamurowałem się w ścianach tej pustelni.

Pokazał do góry, a ja odwróciłem się, żeby podążyć za jego wyciągniętym ramieniem.

- Teraz - kontynuował telepatycznie - na ten jedenasty Logsar od tamtego dnia osiągnąłem to, czego szukałem: wolność swobodnego wędrowania, pozostawiając ciało bezpieczne w pustelniczej celi. Moją pierwszą podróż odbyłem do tego miejsca, żeby jeszcze raz popatrzeć na tłum, żeby jeszcze raz odwiedzić to dobrze zapamiętane miejsce. Wolność, chłopcze, ja uzyskałem wolność.

Na moich oczach zniknął jak chmura kadzidła rozwiana przez nocny wiatr.

Pustelni! My, czele, słyszeliśmy o nich tyle. Często zastanawialiśmy się, jakie były wewnątrz? Chcieliśmy też wiedzieć, dlaczego ludzie zamykali się w tych kamiennych komorach, usadowionych niepewnie na górskich graniach? Zdecydowałem, że zapytam mojego ukochanego Przewodnika. Wtedy przypomniałem sobie, że pewien stary chiński mnich żył parę jardów od miejsca, w którym się znajdowałem. Stary Wu Hsi miał interesujące życie. Przez kilka lat był mnichem przy pałacu władcy w Pekinie. Zmęczony takim życiem przywędrował do Tybetu w poszukiwaniu oświecenia. W końcu dotarł do Czakpori, gdzie został przyjęty. Zmęczony tym, po kilku latach poszedł do pustelni i przez siedem lat żył w samotności. Teraz jednak wrócił do Czakpori czekając na śmierć. Odwróciłem się i pośpieszyłem do korytarza poniżej. Zbliżając się do małej celi zawołałem starego człowieka.

- Wejź! Wejź! - odezwał się wysokim, drżącym głosem.

Wszedłem do celi i po raz pierwszy spotkałem Wu Hsi, chińskiego mnicha. Siedział ze skrzyżowanymi nogami i pomimo wieku jego plecy były proste jak młody bambus. Miał wysokie kości policzkowe i bardzo, bardzo żółtą, podobną do pergaminu skórę. Jego oczy były czarne jak smoła i skośne. Kilka rzadkich włosów wyrastało z jego brody, a z jego górnej wargi zwisały liczące około tuzina włosów długie wąsy. Jego ręce były żółtobrązowe i pokryte plamkami ze starości, a jego żyły zarysowywały się jak gałązki drzewa. Kiedy szedłem w jego kierunku patrzył ślepo w moim kierunku, czując raczej niż widząc.

- Hmmn, hmmn - mruknął - chłopiec, młody chłopiec z drogi. Czego chcesz, chłopcze?

- Panie - odpowiedziałem - żyłeś długo w pustelni. Czy zechcesz, Święty Panie, być tak dobrym i opowiedzieć mi o tym?

Zamruczał i zagryzł końce wąsów.

- Usiądź, chłopcze - powiedział. - Dawno już nie opowiadałem o przeszłości, chociaż ciągle

teraz o niej myślę.

- Kiedy byłem chłopcem - opowiadał - podróżowałem daleko i zawędrowałem do Indii. Tam zobaczyłem pustelników żyjących w swoich grotach i wydawało mi się, że kilku z nich osiągnęło oświecenie.

Potrząsnął głową.

- Zwyczajni ludzie byli bardzo leniwi, spędzali dni pod drzewami. Ach! To był smutny widok!

- Święty Panie! — przerwałem. - Wolałbym usłyszeć o pustelniach Tybetu.

- Eh? O czym? - zapytał słabo. - O tak, pustelnie Tybetu. Wróciłem z Indii i udałem się do mojego rodzinnego Pekinu. Życie tam nudziło mnie, ponieważ nie uczyłem się. Wziąłem ponownie mój kij i miskę, i powędrowałem przez wiele miesięcy do granic Tybetu.

Westchnąłem zirytowany.

- W miarę upływu czasu - mówił stary człowiek - zatrzymując się w różnych klasztorach, zawsze w poszukiwaniu oświecenia, dotarłem do Czakpori. Opat pozwolił mi tu zostać, ponieważ w Chinach byłem lekarzem. Moją specjalnością była akupunktura. Przez kilka lat byłem zadowolony, potem poczułem wielkie pragnienie wstąpienia do pustelni.

Teraz prawie tańczyłem z niecierpliwości. Jeżeli stary człowiek zajmie mi znacznie więcej czasu, spóźnię się - nie wolno mi opuścić wieczornych modłów! Akurat gdy pomyślałem o tym, usłyszałem pierwsze uderzenie gongów. Niechętnie podniosłem się.

- Szanowny Panie - powiedziałem - muszę już iść.

Stary człowiek zachichotał.

- Nie, chłopcze - odpowiedział - możesz zostać. Czyż nie otrzymujesz tutaj nauki od Starszego Brata? Zostań, jesteś zwolniony z wieczornych modłów.

Usiadłem znowu, wiedząc, że miał rację. Chociaż był ciągle trappą, a nie lamą, jednak uznawany był za Starszego z powodu wieku, podróży i doświadczenia.

- Herbaty, chłopcze, herbaty! - zawołał. - Napijemy się herbaty, bo ciało jest słabe, a ciężar lat mocno mnie przygniata. Herbata, dla młodego i dla starego.

W odpowiedzi na jego wezwanie usługujący mnich przyniósł nam herbatę i jęczmień. Wymieszaliśmy naszą tsampę i usiedliśmy - on żeby mówić, ja żeby słuchać.

- Opat dał mi zezwolenie opuszczenia Czakpori i wstąpienia do pustelni. Z mnichem asystentem wyruszyliśmy z tego miejsca i poszliśmy w góry. Po pięciu dniach podróży dotarliśmy do miejsca, które można dostrzec z dachu ponad nami.

Skinałem, znałem to miejsce. Samotny budynek usadowiony wysoko w Himalajach.

- To miejsce było puste - mówił stary człowiek - poprzedni mieszkaniec ostatnio zmarł. Usługujący mnich i ja wyczyściliśmy pomieszczenie, potem stanąłem i popatrzyłem po raz ostatni na Dolinę Lhasy. Popatrzyłem z góry na Potalę i Czakpori, następnie odwróciłem się i wszedłem do wnętrza komory. Usługujący mnich mocno zamurował drzwi i zostałem sam.

- Ale Panie! *Jak* jest wewnątrz? - zapytałem.

Stary Wu Hsi potarł głowę.

- To jest kamienny budynek - odpowiedział powoli - z bardzo grubymi ścianami. Nie ma tam drzwi, kiedy jest się w wewnętrznej komorze, ponieważ wyjście jest zamurowane. W ścianie są drzwiczki, nie przepuszczające żadnego światła, przez które pustelnik dostaje jedzenie. Ciemny tunel łączy wewnętrzną komorę z pokojem, w którym mieszka usługujący mnich. Wszedłem. Ciemność była tak gęsta, że prawie mogłem ją czuć. Ani promyka światła, ani dźwięku. Usiadłem na podłodze i zacząłem medytować. Najpierw cierpiałem z powodu halucynacji wyobrażając sobie, że widzę pasma i wiązki światła. Potem czułem ciemność duszącą mnie, jakbym był pokryty miękkim, suchym błotem. Czas przestał istnieć. Wkrótce w wyobraźni zacząłem słyszeć dzwony, gongi i śpiewy mnichów. Później waliłem w otaczające mnie ściany celi, próbując w swoim szaleństwie siłą wyjść na zewnątrz. Nie było dla mnie różnicy pomiędzy dniem i nocą, ponieważ wszystko tam było tak czarne i tak milczące, jak w grobie. Po pewnym czasie uspokoiłem się, panika minęła.

- Siedziałem i wyobrażałem sobie starego Wu Hsi - wtedy młodego Wu Hsi! - w nieomal żywej ciemności z wszechogarniającą ciszą.

- Co dwa dni - powiedział stary człowiek - powinien przychodzić usługujący mnich i stawiać za drzwiczkami trochę tsampy. Przychodził tak cicho, że nigdy go nie słyszałem. Za pierwszym razem, szukając po omacku w ciemnościach mojego jedzenia, straciłem je i nie mogłem go osiągnąć. Wołałem i krzyczałem, ale żaden dźwięk nie wydostawał się z mojej celi. Musiałem czekać następne dwa dni.

- Panie! - zawołałem - Co dzieje się, jeżeli pustelnik jest chory albo umrze?

- Mój chłopcze - powiedział Wu Hsi - jeżeli pustelnik jest chory - umiera. Usługujący mnich przynosi jedzenie co dwa dni przez czternaście dni. Po czternastu dniach, jeżeli jedzenie jest stale nietknięte, przychodzą ludzie i rozbijają ścianę i wyjmują ciało pustelnika.

Stary Wu Hsi był pustelnikiem przez siedem lat.

- Co się dzieje w przypadku takim jak twój, kiedy przebywałeś przez ustalony czas?

- Przebywałem tam przez dwa lata, a potem przez siedem. Kiedy nadszedł czas mojego wyjścia, zrobiono małą dziurkę w suficie, żeby wpadał przez nią wąski promień światła. Co kilka dni dziurka była powiększana i wpuszczała więcej światła. W końcu mogłem znieść pełne światło dnia. Jeżeli pustelnik zostanie nagle wyprowadzony na światło, momentalnie oślepnie. Jego źrenice, tak długo rozszerzone w ciemnościach, nie mogą się zwęzić. Kiedy wyszedłem, byłem błądzący jak płótno, a moje włosy były tak białe jak górski śnieg. Masowano mnie i wykonywałem ćwiczenia, gdyż moje nieużywane mięśnie były prawie bezsilne. Stopniowo odzyskałem siły i w końcu mogłem z moim mnichem pomocnikiem zejść z gór i ponownie przebywać w Czakpori.

Rozważałem jego słowa myśląc o nie kończących się latach ciemności, całkowitej ciszy, bycia zdanym na samego siebie i ciekawo zapytałem:

- Czego cię to nauczyło. Panie? Czy to było *warte* tego?

- Tak, chłopcze, tak, to było tego *warte*! - powiedział stary mnich. - Poznałem naturę życia, poznałem przeznaczenie mózgu. Uwolniłem się od ciała i mogłem wysłać mego ducha unosząc się w dal, tak jak ty robisz to teraz w astralu.

- Ale skąd wiesz, że nie wyobraziłeś sobie tego? Skąd wiesz, że byłeś przy zdrowych zmysłach? *Dlaczego* nie mogłeś podróżować w astralu tak, jak ja to robię?

Wu Hsi śmiał się, aż łzy pociekły po jego pomarszczonych policzkach.

- Pytania, pytania, pytania, chłopcze, tak --arno ja kiedyś je zadawałem! - odpowiedział. - Najpierw ogarnęła mnie panika. Przeklinałem dzień, kiedy zostałem mnichem, przeklinałem dzień, kiedy wszedłem do celi. Stopniowo mogłem wykonywać ćwiczenia oddechowe i medytować. Na początku miałem halucynacje, puste wyobrażenia. Potem, pewnego dnia uwolniłem się z ciała i ciemność przestała być dla mnie ciemnością. Widziałem moje ciało siedzące w pozycji medytacji. Widziałem moje ślepe oczy, wpatrujące się, szeroko otwarte. Widziałem błądzącość mojej skóry i szczupłość ciała. Wznosząc się, przeszedłem przez dach celi i widziałem pod sobą Dolinę Lhasy. Widziałem pewne zmiany, widziałem ludzi, których znałem, przychodzących do Świątyni. Mogłem rozmawiać z lamą telepatą, który potwierdził mi moje uwolnienie. Wędrowałem wszędzie, także poza granice tego kraju. Co dwa dni wracałem, wchodziłem w swoje ciało i ożywiałem je, żeby nakarmić.

- Ale *dlaczego* nie mogłeś podróżować w astralu bez tych wszystkich przygotowań? - zapytałem znowu.

- Niektórzy z nas są zwykłymi śmiertelnikami. Niewielu ma szczególne zdolności, takie jak te dane ci z racji zadania, jakiego masz się podjąć. Ty także podróżowałeś daleko w astralu. Inni, tacy jak ja, muszą znosić samotność i trudności, zanim ich duch wyrwie się z ciała. Ty, chłopcze, jesteś jednym ze szczęśliwców, jednym spośród *bardzo* szczęśliwych!

Stary człowiek westchnął i powiedział:

- Idź! Ja muszę odpoczywać, mówiłem długo. Przyjdź i odwiedź mnie znowu. Pomimo twoich pytań będziesz mile widzianym gościem.

Odwrócił się. Mamrocząc słowa podziękowania podniosłem się, ukloniłem i wymknąłem po cichu z pokoju. Byłem tak zajęty myślami, że wszedłem prosto na przeciwległą ścianę i prawie

wytrząsnąłem mojego ducha z ciała. Pocierając bolącą głowę, poszedłem korytarzem prosto, aż dotarłem do swojej celi.

Północne modły prawie się kończyły. Mnisi byli lekko niespokojni, gotowi pospiesznie wyjść na jeszcze kilka godzin snu przed powrotem tutaj. Stary lektor wysoko na podium ostrożnie włożył zakładkę pomiędzy strony Księgi i odwrócił się gotowy do zejścia. Bystroocy nadzorcy, zawsze wrażliwi na nieporządek czy nieuwagę małych chłopców, przymykali oczy. Modły prawie się kończyły. Mali czele po raz ostatni zakołysali kadzielnicami i zapanował ledwo tłumiony szum dużego zgromadzenia, przygotowującego się do wyjścia. Nagle dał się słyszeć ogłuszający wrzask i szalona postać przemknęła skokami po głowach siedzących mnichów, próbując schwycić młodego trappę trzymającego dwa kawałki kadzidła. Zaszokowani poderwali się do góry. Przed nami dzika postać rzucała się i skręcała, piana wylatywała z jej wykrzywionych ust, odrażający wrzask wydobywał się z torturowanego gardła. Przez chwilę świat zdawał się znieruchomieć. Mnisi policjanci zastygli z zaskoczenia w bezruchu. Kapłani, odprawiający modły, stali z rękami uniesionymi w górę. Potem gwałtownie wkroczyli do akcji nadzorcy. Rzucili się na szaleńca, szybko ujarzмили go zawijając mu szatę wokół głowy, by uciszyć straszne przekleństwa płynące potokiem z jego ust. Sprawnie i szybko został podniesiony i usunięty ze Świątyni. Modły skończyły się. Podnieśliśmy się i pospiesznie wyszliśmy, pragnąc wydostać się poza granice Świątyni, aby pomówić o tym, co właśnie zobaczyliśmy.

- To Kendzi Tekeuczi - powiedział młody trappa obok mnie. - jest on japońskim mnichem, który wszędzie bywał.

- Był na całym świecie, tak mówią - dodał inny.

- Szukając Prawdy i mając nadzieję, że otrzyma ją podaną, zamiast ją wypracować - zauważył trzeci.

Odszedłem stamtąd trochę zaniepokojony. *Dlaczego* poszukiwanie Prawdy miałooby czynić człowieka szalonym? Pokój był zimny i lekko drżałem, kiedy zawijałem się w szatę i kładłem spać. Wydawało mi się, że nie minęła nawet chwila, a gongi zabrzmiały znowu na następne modły. Kiedy popatrzyłem przez okno, zobaczyłem pierwsze promienie słońca wschodzącego zza gór, smugi światła jak olbrzymie palce badające niebo, sięgające gwiazd. Westchnąłem i pośpieszyłem w dół korytarza, pełen niepokoju, żeby nie być ostatnim wchodzącym do Świątyni i w ten sposób nie zasłużyć na gniew nadzorców.

- Wyglądasz na zamyślonego, Lobsang - powiedział mój Przewodnik, Lama Mingyar Dondup, kiedy zobaczyłem go tego samego dnia później, po południowych modłach. Dał znak, żebym usiadł. - Widziałeś japońskiego mnicha Kendzi Tekeuczi, kiedy wszedł do Świątyni. Chce opowiedzieć ci o nim, ponieważ później go spotkasz.

Usiadłem wygodniej, to nie miała być krótkie spotkanie. Zostałem "schwyty" na resztę dnia! Lama uśmiechnął się, kiedy zobaczył wyraz mojej twarzy.

- Być może powinniśmy mieć indyjską herbatę... i indyjskie słodkie ciastka... żeby osłodzić pigułkę, Lobsang, co?

- Usługujący mnich przeniesie je zaraz - powiedział. - Spodziewałem się ciebie!

- Tak - pomyślałem, gdy wszedł służący mnich. - Gdzie jeszcze mógłbym mieć takiego Nauczyciela?

Ciastka z Indii były moimi szczególnie ulubionymi, i nawet oczy Lamy niekiedy rozszerzały się ze zdziwienia na widok, ile mogłem ich "sprzątnąć"!

- Kendzi Tekeuczi - powiedział moi Przewodnik - był bardzo wszechstronnym człowiekiem. Dużo podróżował, Przez całe życie (teraz ma ponad siedemdziesiąt lat) wędrował po świecie w poszukiwaniu tego, co nazywał "Prawdą". Prawda jest w nim, ale on tego nie wie. Zamiast tego wędrował i wędrował. Wciąż studiował wierzenia religijne, wciąż czytał książki z wielu krajów w pogoni za tą obsesją. Teraz został w końcu przysłany do nas. Czytał tak dużo sprzecznych rzeczy, że jego aura została zanieczyszczona. Czytał tak dużo i zrozumiał tak mało, że teraz przez większość czasu jest obłąkany. Jest ludzką gąbką pochłaniającą całą wiedzę i trawiającą bardzo mało.

- W takim razie. Panie! - wykrzyknąłem - jesteś przeciwnikiem studiowania książek?
- Wcale nie, Lobsang - odpowiedział Lama. - Jestem przeciwnikiem, jak wszyscy myślący ludzie, tych, którzy nabywają broszury, pamflety i książki o obcych kultach, o tak zwanym okultyzmie. Ci ludzie *zatruwają* swoje dusze, czynią dalszy swój postęp niemożliwym, dopóki nie odrzucają całej fałszywej wiedzy i nie staną się jak małe dzieci.

- Dostojny Lamo - zapytałem - *jak* człowiek staje się obłąkany? *Jak* niewłaściwe czytanie czasami prowadzi do pomieszenia?

- To długa historia - odpowiedział Lama Mingyar Dondup. - Po pierwsze mamy do czynienia z pewnymi zasadami. Uzbrój się w cierpliwość i słuchaj! Na Ziemi jesteśmy jak lalki, lalki zrobione z wibrujących cząsteczek otoczonych ładunkiem elektrycznym. Nasza Nadświadomość wibruje z dużo większą szybkością i ma dużo większy ładunek elektryczny. Istnieje określona zależność pomiędzy naszą szybkością wibracji a szybkością wibracji naszego Wyższego Ja. Proces komunikacji pomiędzy każdym z nas na tej Ziemi i naszą Nadświadomością gdzieś indziej można porównać do nowego procesu w tym świecie, w którym fale radiowe są przesyłane przez kontynenty i morza, umożliwiając osobom w jednym kraju komunikowanie się z osobami w innym, odległym kraju. Nasze mózgi są podobne do odbiorników radiowych pod tym względem, że odbierają na "wysokiej częstotliwości" informacje, polecenia i instrukcje z Nadświadomości, i przetwarzają je na impulsy o niskiej częstotliwości, które kierują naszymi działaniami. Mózg jest urządzeniem elektro-mechaniczno-chemicznym, które czyni nas użytecznymi na Ziemi. Chemiczne reakcje powodują, że nasz mózg funkcjonuje nieprawidłowo, być może blokując część informacji, ponieważ na Ziemi rzadko otrzymujemy *dokładna* wiadomość "nadaną" przez Nadświadomość. Umysł bez kontaktu z Nadświadomością jest zdolny do ograniczonego działania. Umysł potrafi przyjąć na siebie pewną odpowiedzialność, formułować pewne opinie, i próbuje zapełnić lukę pomiędzy warunkami "idealnymi" Nadświadomości a trudnymi warunkami człowieka na Ziemi.

- Ale czy ludzie Zachodu uznają teorię elektryczności w mózgu? - zapytałem.

Tak - odpowiedział mój Przewodnik. - W pewnych szpitalach fale mózgowe pacjentów są rejestrowane i stwierdzono, że pewne zaburzenia umysłowe dają na wykresie charakterystyczne wzory **fal** mózgowych. Tak więc z fal mózgowych można ustalić, czy osoba cierpi, czy też nie cierpi na pewne umysłowe choroby lub dolegliwości. Często chore ciało będzie wysyłało pewne chemikalia do mózgu, zanieczyszczając wzór fal mózgowych, i w ten sposób zdradzając objawy obłąkania.

- Czy Japończyk jest bardzo szalony? - zapytałem.

- Chodź! Odwiedzimy go. Ma teraz jeden ze swoich okresów przytomności.

Lama Mingyar Dondup podniósł się i pospieszył z pokoju. Poderwałem się i popędziłem za nim. Poprowadził mnie drogą w dół korytarza, w dół, na inny poziom, do odległego skrzydła, gdzie przebywały osoby wymagające opieki lekarskiej. W małej niszy z widokiem na Khaki Linga siedział japoński mnich, markotnie wyglądając na zewnątrz. Na widok Lamy Mingyara Dondupa podniósł się, złożył dłonie i pokłonił się nisko.

- Siadaj — powiedział mój Przewodnik. - Przyprowadziłem do ciebie młodego człowieka, który chciałby wysłuchać twoich słów. Z nakazu Najdostojniejszego przechodzi specjalne szkolenie.

Lama pokłonił się i wyszedł. Przez chwilę japończyk patrzył na mnie, potem gestem wskazał, żebym usiadł. Usiadłem - w pewnej odległości, ponieważ nie wiedziałem, kiedy może stać się gwałtowny!

- Nie wpychaj sobie do głowy wszystkich okultystycznych śmieci, które możesz przeczytać, chłopcze! - powiedział japoński mnich. - Jest to niestrawny pokarm, który będzie hamował twój duchowy postęp. Studiowałem wszystkie religie. Studiowałem wszystkie metafizyczne kulty, na jakie mogłem trafić. To zatrulo mnie, zmąciło moje spojrzenie na świat, pozwoliło mi uwierzyć, że jestem jednostką specjalnie wybraną. Teraz mój mózg jest uszkodzony i czasami tracę nad sobą kontrolę - uciekam spod kontroli własnej Nadświadomości.

- Lecz, Panie! - wykrzyknąłem. - Jak można się uczyć, jeżeli się nie czyta? Jak może

zaszkodzić drukowane słowo?

- Chłopcze! - powiedział japoński mnich - z pewnością można czytać, lecz ostrożnie wybieraj to, co czytasz i upewnij się, że rozumiesz to, co czytasz. Niebezpieczeństwo nie tkwi w drukowanych słowach, niebezpieczeństwo *tkwi* w myślach, które te słowa mogą wywołać. Nie można jeść wszystkiego, mieszając właściwe z niewłaściwym. Nie powinno się też czytać rzeczy sprzecznych lub przeciwstawnych, ani nie powinno się czytać czegoś, co obiecuje okultystyczne moce. Łatwo można stworzyć formę myślową, której nie potrafi się kontrolować, ja tak uczyniłem. Wtedy taka forma wyrządzi krzywdę.

- Czy byłeś we wszystkich krajach świata? - zapytałem.

Japończyk popatrzył na mnie i drobne błyski pojawiły się w jego oczach.

- Urodziłem się w małej japońskiej wiosce - powiedział - i kiedy osiągnąłem odpowiedni wiek, wstąpiłem do Świętej Służby. Przez lata studiowałem religie i praktyki okultystyczne. Potem mój zwierzchnik polecił mi wyjechać i podróżować po krajach za oceanem. Przez pięćdziesiąt lat podróżowałem z kraju do kraju, z kontynentu na kontynent, stale studiując. Swoimi myślami wytworzyłem moce, którymi nie mogłem kierować. Moce, które żyją w planie astralnym i które czasami atakują mój Srebrny Sznur. Później może będzie mi wolno opowiedzieć ci więcej. Teraz jestem jeszcze słaby po ostatnim ataku i muszę odpoczywać. Za pozwoleniem twojego Przewodnika możesz odwiedzić mnie później.

Skloniłem się i pozostawiłem go samego w niszy. Widząc, że wychodzę, mnich medyk pośpieszył do niego. Ciekawie zerkalem dookoła na starych mnichów leżących w tej części Czakpori. Potem, w odpowiedzi na pilne telepatyczne wezwanie, pośpieszyłem do mojego Przewodnika, Lamy Mingyara Dondupa.

Rozdział V

Pędziłem wzdłuż korytarzy, a spiesząc się na zakrętach narażałem na niebezpieczeństwo tych, którzy znaleźli się na mojej drodze. Pewien stary mnich chwycił mnie, gdy przemykałem obok i potrząsnął.

- Nie należy tak nieprzyzwoicie się śpieszyć, chłopcze, tak nie postępuje prawdziwy buddysta! - powiedział.

Potem przyjrzał się mojej twarzy i rozpoznał we mnie podopiecznego Lamy Mingyara Dondupa. Z mrukliwym dźwiękiem podobnym do "ulp!" puścił mnie jak rozżarzony węgiel i *pośpieszył* swoją drogą. Spokojnie pokonałem dalszą drogę. Przed wejściem do pokoju mojego Przewodnika zatrzymałem się tak nagle, że prawie się przewróciłem. Razem z nim przebywało dwóch bardzo starych opatów. Moje sumienie przepowiadało mi ciężkie chwile. Co uczyniłem tym razem? Albo, co gorsza, który z moich licznych "grzechów" został odkryty? Starsi opaci nie czekają na małych chłopców, chyba że mają dla nich złe wiadomości. Nogi miałem jak z waty i przetrząsałem moją pamięć patrząc, czy zrobiłem coś, co mogłoby spowodować wydalenie mnie z Czakpori. Jeden z opatów popatrzył na mnie i uśmiechnął się z ciepłem starej góry lodowej. Drugi zwrócił do mnie twarz, która wydawała się wycięta z kawałka Himalajów. Mój Przewodnik uśmiechnął się.

- Z pewnością masz nieczyste sumienie, Lobsang. Aha! Ci Czcigodni Bracia Opaci są również telepatami - dodał chichocząc.

Bardziej srogi z dwóch opatów popatrzył twardo na mnie i głosem przypominającym spadającą skałę powiedział:

- Wtorku Lobsangu Rampo, Najdostojniejszy nakazał przeprowadzić badanie, które rozstrzygnęło, że zostałeś Rozpoznany jako obecna Inkarnacja...

Zakreśliło mi się w głowie, ledwo mogłem nadażyć za tym, co mówił i ledwo rozumiałem jego końcowe uwagi.

- ...na mocy tego zostaną ci nadane ranga i tytuł Opata podczas ceremonii, której czas i miejsce zostaną określone w późniejszym terminie.

Dwóch opatów pokłoniło się uroczyście Lamie Mingyarowi Dondupowi, a potem równie uroczyście mnie. Podnieśli księgę i wyszli. Stopniowo odgłos ich kroków ucichł. Stałem oszołomiony, patrząc na korytarz za nimi. Serdeczny śmiech i uścisk ręki na moim ramieniu przywróciły mnie do rzeczywistości.

- Teraz wiesz, po co było to wszystko. Próby jedynie potwierdziły to, co cały czas wiedzieliśmy. Musimy to uczcić. Mam też dla ciebie pewne interesujące wiadomości.

Zaprowadził mnie do drugiego pokoju, a tam czekał przygotowany prawdziwy hinduski posiłek. Nie potrzebując jakiegokolwiek zachęty zasiadłem do niego!

Później, kiedy nie mogłem już jeść, nawet kiedy widok pozostawionego jedzenia przyprawiał mnie o mdłości, mój Przewodnik

Uniósł się i poprowadził z powrotem do innego pokoju.

Najdostojniejszy dał mi pozwolenie opowiedzieć ci o Jaskini Starożytnych - powiedział i natychmiast dodał - właściwie Najdostojniejszy zasugerował, żebyś mi o tym opowiedział.

Spojrzał na mnie z ukosa, potem prawie szeptem dopowiedział:

- Wysyłamy tam za kilka dni ekspedycję.

Poczułem przepływającą przeze mnie falę podniecenia i miałem nieprawdopodobne wrażenie, że być może wracam do "domu", do miejsca, które znałem wcześniej. Mój Przewodnik obserwował mnie bardzo uważnie. Kiedy pod jego intensywnym spojrzeniem uniosłem wzrok, skinął głową.

- Podobnie jak ty, Lobsang, ja też przeszedłem specjalne szkolenie i miałem szczególne możliwości. Mój Nauczyciel dawno temu odszedł z tego życia. Jego pusta powłoka znajduje się teraz w Sali Złotych Posągów. Podróżowałem z nim wiele po świecie. Ty, Lobsang, będziesz musiał podróżować samotnie. Teraz siedź sporne, a ja opowiem ci o odkryciu Jaskini Starożytnych.

Oblizalem wargi. To było to, o czym już dawno chciałem usłyszeć. W klasztorze, jak w każdej wspólnocie, rozprzestrzeniały się często pogłoski. Pewne pogłoski były, co rozumiało się samo przez się, jedynie *pogłoskami* i niczym więcej. To jednak było coś innego, coś, w co uwierzyłem, kiedy usłyszałem.

- Byłem bardzo młodym lamą, Lobsang - zaczął mój Przewodnik. - Z moim Nauczycielem i trzema młodymi lamami badaliśmy pewne odległe pasma górskie. Kilka tygodni wcześniej słyszany był niezwykle głośny huk, któremu towarzyszyło duże osunięcie się skał. Wyruszyliśmy, żeby zbadać sprawę. Cztery dni krążyliśmy wokół podstawy potężnego szczytu. Piątego dnia wczesnym rankiem mój Nauczyciel wstał, jeszcze nie całkiem przebudzony. Wydawał się być oszołomiony. Mówiliśmy do niego i nie otrzymywaliśmy odpowiedzi. Zacząłem się martwić myśląc, że był chory i zastanawiając się, w jaki sposób zejść z nim wiele mil do bezpiecznego miejsca. Powoli, jakby był opanowany przez jakąś dziwną siłę, z wysiłkiem stanął na nogi, przewrócił się i w końcu stanął prosto. Potykając się, szarpiąc i poruszając jak człowiek w transie, ruszył naprzód. Niemal drżąc ze strachu podążyliśmy za nim. W górę, po stromej ścianie skalnej wspinaliśmy w deszczu spadających na nas małych kamieni. W końcu dotarliśmy do ostrej krawędzi szczytu pasma i stanęliśmy rozglądając się. Doznałem uczucia głębokiego rozczarowania. Przed nami rozpościerała się mała dolina prawie całkowicie wypełniona potężnymi głazami. Najwidoczniej tutaj osunęły się skały. Uskok skalny poszerzył się, albo to trzęsienie Ziemi przemieściło część zbocza góry. Wielkie słońcu. Mchy i porosty opadły posępnie pozbawione jakiegokolwiek podparcia. Odwróciłem się rozgoryczony. Nie było tam nic, co zwróciłoby moją uwagę, jedynie dość duże osunięcie skały. Chciałem już schodzić, lecz natychmiast zostałem zatrzyman przez szept: *Mingyar!* Jeden z moich kolegów pokazywał coś. Mój Nauczyciel, ciągle jeszcze pod jakimś dziwnym przymusem, schodził po zboczu góry.

Siedziałem oczarowany. Mój Przewodnik przerwał na chwile opowieść i wypił łyk wody, po czym kontynuował:

- Obserwowaliśmy go z rozpaczą. Powoli schodził w dół ściany, w kierunku zarzuconego skałami dna małej doliny. Niechętnie podążyliśmy za nim, spodziewając się w każdej chwili

poślizgnięcia na tym niebezpiecznym stoku. Na dole mój Nauczyciel bez wahania kontynuował wędrówkę, wybierając ostrożnie drogę przez potężne skały, aż w końcu dostał się na drugą stronę kamiennej doliny. Potem ku naszemu przerażeniu zaczął się wspinać, czepiając się rękoma i nogami występów niewidocznych dla nas z odległości kilku jardów za nim. Podążyliśmy za nim niechętnie. Nie mieliśmy innej możliwości, nie mogliśmy wrócić i powiedzieć, że najstarszy z nas wspiął się na górę, a my baliśmy się pójść za nim - chociaż wspinaczka była niebezpieczna. Ja wspaniałem się pierwszy, wybierając bardzo ostrożnie drogę. Skała była twarda, powietrze rozrzedzone. Wkrótce oddech drapał mnie w gardle, a płuca wypełnił ostry, suchy ból. Na wąskim występie, może pięćset stóp nad doliną, leżałem rozciągnięty, łapiąc powietrze. Gdy spojrzełem w górę, gotów do podjęcia wspinaczki, zobaczyłem żółtą szatę mojego Nauczyciela znikającą ponad występem wysoko w górze. Kurczowo wczepiałem się w ścianę skalną i wciąż posuwałem się w górę. Moi towarzysze, równie niechętnie jak ja, podążali z tyłu. Teraz byliśmy pozbawieni schronienia dawanego przez małą dolinę i przejmujący wiatr targał nasze szaty. Małe kamienie spadały w dół. Z trudnością mogliśmy się wspinać.

Mój Przewodnik przerwał na moment, wypił kolejny łyk wody i popatrzył, czy słucham. Słuchałem!

- W końcu - opowiadał dalej - moimi szukającymi palcami wyczułem poziom występu. Chwyliłem się mocno wołając do innych, że dotarłem do miejsca, gdzie można będzie odpocząć i podciągnąć się. Był tam występ, opadający łagodnie ku skale i całkowicie niewidoczny z innej strony pasma górskiego. Na pierwszy rzut oka występ zdawał się mieć szerokość około dziesięciu stóp. Nie zatrzymywałem się, żeby patrzeć dłużej, lecz uklękłem, żeby pomóc po kolei wejść innym. Wkrótce, po wyczerpanym wysiłku, staliśmy razem drżąc na wietrze. Było oczywiste, że osunięcie skały odkryło ten występ i - jak przyjrzałem się dokładniej, w ścianie góry była wąska szczelina. Czy była? Z miejsca, gdzie staliśmy mógł to być cień albo plama ciemnych porostów. ruszyliśmy naprzód jak jeden mąż. To *była* szczelina, miała około dwóch stóp sześciu cali szerokości i około pięciu stóp wysokości. Nie było śladu mojego Nauczyciela.

Mogłem łatwo wyobrazić sobie tę scenę, lecz nie było na to czasu. Nie chciałem stracić ani słowa!

- Cofnąłem się, żeby zobaczyć, czy mój Nauczyciel wspiął się wyżej - kontynuował mój Przewodnik - lecz nie było tam po nim śladu. Ze strachem patrzyłem w szczelinę. Było tam ciemno jak w grobie. Cał po cał, boleśnie zgięty, posuwałem się w głąb. Po około piętnastu stopach skręciłem za bardzo ostrą krawędź, potem za jeszcze jedną i jeszcze jedną. Gdybym nie był sparaliżowany strachem, krzyknąłbym z zaskoczenia. Tam było światło, łagodne srebrne światło, jaśniejsze od najjaśniejszego światła księżyca. Światło, jakiego nigdy przedtem nie widziałem, jaskinia, w której teraz się znajdowałem, była obszerna, ze sklepieniem niewidocznym w ciemnościach. Jeden z moich towarzyszy zepchnął mnie z drogi, a ten z kolei został zepchnięty przez następnego. Wkrótce we czterech staliśmy w milczeniu i strachu patrząc na fantastyczny widok przed nami. Każdy z nas, widząc samotnie ten widok, mógłby pomyśleć, że stracił zmysły. Jaskinia była bardziej podobna do ogromnej hali. Była tak przestronna, że wydawało się, że góra wewnątrz jest pusta. Światło było wszędzie, wylewało się na nas z wielu kuł, które zdawały się być zawieszane w ciemnościach stropu. Wszędzie stały dziwne maszyny, takie, jakich nawet nie moglibyśmy sobie wyobrazić. Nawet z wysokiego stropu zwisały aparaty i mechanizmy. Niektóre oglądałem z wielkim zdumieniem, były pokryte czymś, co wydawało się być najczystszy szkłem.

Moje oczy musiały być okrągłe ze zdumienia, ponieważ Lama, zanim zaczął opowiadać dalej, uśmiechnął się.

Do tej pory całkiem zapomnieliśmy o naszym Nauczycielu. Kiedy nagle pojawił się, podskoczyliśmy ze strachu! Śmiał się z naszych wytrzeszczonych oczu i zdumionych twarzy. Zauważyliśmy, że nie był już pod wpływem tej dziwnej, obezwładniającej siły. Chodziliśmy razem, oglądając nieznanne maszyny. Nie miały dla nas wartości, były stertami metalu i materiału o dziwnym, egzotycznym kształcie. Mój Nauczyciel podszedł w kierunku dość dużego, czarnego

panelu najwyraźniej wbudowanego w jedną ze ścian jaskini. Kiedy zamierzał dotknąć jego powierzchni, ten - otworzył się. Teraz prawie byliśmy gotowi uwierzyć, że całe miejsce zostało zaczarowane lub wszyscy padliśmy ofiarą jakiejś, wywołującej halucynacje, siły. Mój Nauczyciel odskoczył w trwodze. Czarny panel zamknął się. Jeden z moich towarzyszy bardzo odważnie wyciągnął rękę i panel otworzył się znowu. Siła, której nie mogliśmy się oprzeć, popchnęła nas do przodu. Bezszykownie walcząc przy każdym kroku, byliśmy - jakoś - zmuszeni do wejścia przez drzwi panelu. Wewnątrz było ciemno, tak ciemno jak w celi pustelnika. Wciąż pod nieodpartym przymusem, przebyliśmy wiele stóp, a potem usiedliśmy na podłodze. Kilka minut siedzieliśmy drżąc ze strachu. Gdy nic się nie wydarzyło, uspokoiiliśmy się trochę. Wtedy usłyszeliśmy serię trzasków, jak gdyby metal stukał i drapał o metal.

Mimowolnie zadrzałem. Pomyślałem, że prawdopodobnie umarłbym ze strachu! Mój Przewodnik opowiadał dalej.

- Powoli, prawie niezauważalnie, utworzyła się w ciemnościach przed nami mglista poświata. Najpierw była to odrobina niebiesko-różowego światła, jak gdyby na naszych oczach materializował się duch. Mgliste światło rozprzestrzeniło się, stając się tak jasne, że mogliśmy zobaczyć zarysy niewiarygodnych maszyn wypełniających całą ogromną halę z wyjątkiem środka podłogi, gdzie siedzieliśmy. Światło skupiało się, wirując, błędąc i rozjaśniając się, a potem uformowało się na kształt kuli i tak pozostało. Miałem dziwne i niewytłumaczalne wrażenie, że to po wielu wiekach starożytna maszyna ponownie została wprawiona w ruch. W pięciu tłoczyliśmy się na podłodze, dosłownie urzeczeni. Wtedy nastąpiło badanie mojego mózgu, jak gdyby bawił się jakiś szalony lama telepata. Potem uczucie zmieniło się i stało się wyraźne jak mowa.

Mój Przewodnik oczyścił gardło, sięgnął znowu po napój zatrzymując rękę w pół drogi.

- Napijmy się herbaty, Lobsang - powiedział, potrząsając srebrnym dzwonkiem.

Usługujący mnich oczywiście wiedział, czego oczekiwał mój Przewodnik, ponieważ przyszedł z herbatą - i ciasteczkami!

- W kuli światła widzieliśmy obrazy - powiedział Lama Mingyar Dondup - początkowo zamglone, prędko stały się czyste i przestały być obrazami. Zamiast tego rzeczywiście *widziałem* wydarzenia.

Nie mogłem już dłużej się powstrzymać.

- Ale Dostojny Lamo, *co* widziałeś? - zapytał drżąc z niecierpliwości.

Lama wyciągnął rękę i dołał sobie herbaty. Przyszło mi na myśl, że nigdy nie widziałem go, żeby jadł te hinduskie słodkie ciastka. Herbata - tak, pił dużo herbaty, ale nigdy nie widziałem, żeby jadł cokolwiek innego oprócz najbardziej skromnego i prostego pożywienia. Gongi wezwały na modły do świątyni, lecz Lama nie poruszył się. Kiedy przebiegł ostatni z mnichów, westchnął głęboko.

- Teraz powrócę do opowieści - powiedział.

- Widzieliśmy to i słyszeliśmy - wznowił opowiadanie - i ty to będziesz widział i słyszał w niezbyt odległej przyszłości. Wiele tysięcy lat temu na świecie istniała wysoko rozwinięta cywilizacja. Ludzie latali w powietrzu maszynami, które pokonywały siłę grawitacji. Tworzyli urządzenia przesyłające myśli do umysłów innych - myśli, które ukazywały się jako obrazy. Umieli rozszczepiać jądra atomów i w końcu zdetonowali bombę, która o mało nie zniszczyła świata powodując, że jedne kontynenty zanurzyły się w oceanach, a inne zostały wyniesione. Świat został zdziesiątkowany i tak w religiach na Ziemi mamy teraz opowieści o Potopie.

Ostatnia część opowiadania nie zrobiła na mnie wrażenia.

- Panie! - wykrzyknąłem. - Możemy widzieć takie obrazy w Kronice Akaszy. Po co z trudem wspinać się po niebezpiecznych górach, żeby zobaczyć to, o czym łatwiej możemy dowiedzieć się tutaj?

- Lobsang - powiedział poważnie mój Przewodnik. - Możemy zobaczyć wszystko w astralu i w Kronice Akaszy, bowiem ta ostatnia zawiera wiedzę o wszystkim, co się wydarzyło. Możemy *zobaczyć*, ale nie możemy *dotknąć*. W podróży astralnej możemy wybrać się w jakieś miejsce i wrócić, ale nie możemy niczego dotknąć. Nie możemy - uśmiechnął się nieznacznie - wziąć nawet

zapasowej szaty, ani przynieść stamtąd kwiatka. Tak więc w Kronikach Akaszy możemy widzieć wszystko, lecz nie możemy szczegółowo zbadać tych dziwnych maszyn zmagazynowanych w górskich jaskiniach. Dlatego pójdziemy w góry, żeby zbadać te maszyny.

- Jakie to dziwne - powiedziałem - że te maszyny z całego świata są tylko w naszym kraju!

- Och! Mylisz się! - wyjaśnił mój Przewodnik. - Jest podobna komora w pewnym miejscu w Egipcie. Inna komora z identycznymi maszynami znajduje się w Południowej Ameryce. Widziałem je, wiem, gdzie one są. Te tajne komory zostały ukryte przez ludzi starożytnych, żeby, kiedy nadejdzie czas, ich wyroby mogły zostać znalezione przez późniejsze pokolenia. To nagłe osunięcie skały przypadkowo odsłoniło wejście do komory w Tybecie i kiedy dostaliśmy się do środka, dowiedzieliśmy się o innych komorach. Lecz dzień jest już w pełni. Wkrótce w siedmiu - i to łącznie z tobą - wyruszymy ponownie w podróż do Jaskini Starożytnych.

Przez kilka dni byłem gorączkowo podniecony. Musiałem zachować swoją wiedzę dla siebie. Inni zostali poinformowani, że idziemy w góry zbierać zioła. Nawet w tak odosobnionym miejscu jak Lhasa, zawsze znajdowali się ludzie stale szukający finansowych korzyści. Przedstawiciele innych krajów, takich jak Chiny, Rosja i Anglia, niektórzy misjonarze i kupcy, którzy przybyli z Indii - wszyscy oni byli gotowi słuchać, gdzie trzymamy nasze złoto i klejnoty, zawsze byli gotowi wykorzystać wszystko, co przyniosłoby im zysk. A więc - utrzymywaliśmy prawdziwy charakter naszej ekspedycji w wielkiej tajemnicy.

Około dwóch tygodni po rozmowie z Lamą Mingyarem Dondupem mogliśmy wyruszyć, przygotowani do długiej, długiej wspinaczki po górach, przez mało znane wąwozy i skaliste ścieżki. Teraz w Tybecie są komuniści, więc położenie Jaskini Starożytnych jest celowo ukrywane. Jaskinia naprawdę jest rzeczywistym miejscem i posiadanie znajdujących się w niej przedmiotów mogłoby pozwolić komunistom podbić świat. Wszystko, co piszę jest prawdą, prócz dokładnej drogi do tej Jaskini. Droga ta jest zapisana na papierze złożonym w ukrytym miejscu w ściśle określonym rejonie i uzupełniona notatkami i szkicami, tak więc - kiedy nadejdzie czas - siły *wolności* będą mogły odnaleźć to miejsce.

Powoli zeszedliśmy ścieżką z Klasztoru Czakpori i posuwaliśmy się drogą wzdłuż Kashya Linga, mijając ten Park. Podążaliśmy drogą w dół, do rzeki, gdzie czekał na nas przewoźnik ze swoją wyciągniętą na brzeg, nadmuchiwaną łodzią wykonaną ze skór jaków. Było nas siedmiu, razem z mną, i przekraczanie rzeki - Kyi Czu - zajęło nam trochę czasu. W końcu stanęliśmy znowu razem na drugim brzegu. Założyliśmy na plecy nasze ładunki - żywność, liny, zapasową szatę dla każdego z nas oraz kilka metalowych narzędzi - i wyruszyliśmy na południowy zachód. Szliśmy, dopóki zachodzące słońce i wydłużające się cienie nie przeszkodziły nam we wspinaczkę kamienistą ścieżką. Potem, w gęstniejących ciemnościach, zjedliśmy skromny posiłek z tsampy i ułożyliśmy się do spania po zawiętej stronie wielkich głazów. Zasnąłem, gdy tylko moja głowa spoczęła na zapasowej szacie. Wielu tybetańskich mnichów w stopniu lamy spało - jak nakazują przepisy - na siedząco. Ja i większość innych spaliśmy leżąc, lecz musieliśmy przestrzegać reguły spania spoczywając tylko na prawym boku. Moim ostatnim widokiem przed zapadnięciem w sen był Lama Mingyar Dondup siedzący jak wyrzeźbiony posąg na tle ciemnego nocnego nieba.

Obudziliśmy się z pierwszym światłem rozpoczynającego się dnia. Spożyliśmy bardzo skromny posiłek, potem zabraliśmy nasze ładunki i pomaszerowaliśmy. Szliśmy przez cały dzień i jeszcze następny. Minęliśmy podgórze i weszliśmy na prawdziwe górskie tereny. Wkrótce byliśmy zmuszeni powiązać się razem i wysłać przez niebezpieczne rozpadliny najlżejszego człowieka - mnie! - jako pierwszego, abym zamocowywał liny o skalne występy, zapewniając w ten sposób bezpieczne przejście dla cięższych mężczyzn. Tak posuwając się naprzód wspinaliśmy się do góry. Wreszcie stanęliśmy u stóp potężnej ściany skalnej, prawie pozbawionej punktów oparcia dla rąk i nóg.

- Po tej płycie - powiedział mój Przewodnik - i w dół po jej drugiej stronie, przez małą dolinę, którą tam znajdziemy, dotrzemy do stóp Jaskini.

Poszukiwaliśmy wokół podstawy płyty punktów zaczepienia dla rąk. Najwidoczniej inne kamienne lawiny starty przez lata małe występy i szczeliny. Po zmarnowaniu prawie całego dnia znaleźliśmy "komin" skalny, którym wspięliśmy się na górę używając rąk i nóg i zapierając się

plecami o ściany "komina". Dysząc i sapiąc w rozrzedzonym powietrzu wspieliśmy się na szczyt i rozejrzeliśmy. W końcu ukazała się przed nami dolina. Patrząc uważnie na odległą ścianę nie mogliśmy spoznać żadnej jaskini, żadnej szczeliny na gładkiej skalnej powierzchni. Dolina poniżej nas była usiana wielkimi głazami - i co gorsze - jej środkiem płynął rwący, górski strumień.

Ostrożnie zeszliliśmy w dolinę i skierowaliśmy się na brzeg tego szybko płynącego potoku, aż dotarliśmy do miejsca, gdzie wielkie głazy wytyczały niebezpieczne przejście dla tych, którzy mogli przeskakiwać ze skały na skałę. Ja, będąc najmniejszy, nie miałem wystarczająco długich nóg do skoków, i tak byłem haniebnie przeciągany przez lodowaty potok na końcu liny. Inny pechowiec, mały, nieco okrągły lama skoczył za blisko i również trzeba było go holować na końcu liny. Na przeciwległym brzegu wykręciliśmy nasze przemoczone szaty i założyliśmy je znowu. Rozbryzgi wody zmoczyły nas do suchej nitki. Wybierając ostrożnie drogę po głazach, przeszliśmy dolinę i doszliśmy do końcowej przeszkody, skalnej płyty. Mój Przewodnik, Lama Mingyar Dondup, wskazał na świeżą powierzchnię skalną.

- Patrzcie! - powiedział. - Kolejne osunięcie skał strąciło pierwszy występ, po którym wspinaliśmy się.

Cofnęliśmy się, próbując ocenić czekającą nas wspinaczkę. Pierwszy występ znajdował się około dwanaście stóp ponad ziemią i nie było innej drogi. Najwyższy i najsilniejszy lama stanął z wyciągniętymi rękami, opierając się o skałę, potem najlżejszy z lamów wspiął się na jego ramiona i oparł się podobnie. W końcu zostałem podniesiony tak, że mogłem stanąć na ramionach mężczyzny na szczycie. Z liną wokół pasa, wdrapałem się łatwo na występ.

Pode mną mnisi wykrzykiwali, co mam robić, podczas gdy ja, powoli, prawie umierając ze strachu, wspaniałem się wyżej, aż mogłem zawiązać koniec liny wokół wystającego odłamu skalnego. Przywarłem na brzegu występu, gdy sześciu lamów, jeden po drugim, wspięło się po linie, minęło mnie i poszło wyżej. Ostatni odwiązał linę, owinał ją sobie wokół pasa, i podążył za innymi. Wkrótce koniec liny zwiślał przede mną i krzyk wezwał mnie, abym się przywiązał tak, żebym mógł zostać wciągnięty na górę. Mój wzrost nie był wystarczający, by dosięgnąć, bez pomocy, wszystkich występów. Odpoczywałem znowu na dużo wyższym występie, a lina była przenoszona wyżej. W końcu zostałem wciągnięty na najwyższy występ, gdzie zatrzymała się reszta grupy. Będąc dobrymi i delikatnymi ludźmi poczekali na mnie, żebyśmy mogli wejść do Jaskini razem. Przynam, że moje serce uradowało się z powodu ich troskliwości.

- Teraz, kiedy wciągnęliśmy maskotkę, możemy kontynuować! - mruknął jeden.

- Tak - odpowiedziałem. - Lecz gdyby najmniejszy nie wyruszył pierwszy, wy nie byłibyście tutaj!

Roześmiali się i odwrócili w kierunku dobrze ukrytej szczeliny. Patrzyłem zdziwiony. Na początku nie widziałem wejścia, widziałem jedynie ciemny cień przypominający bardziej wyschniętą płamę po wodzie, czy nalot drobnego porostu. Potem, kiedy przeszliśmy występ, zobaczyłem, że rzeczywiście było tam pęknięcie w skalnej ścianie. Duży lama porwał mnie za ramiona i popchnął w skalną szczelinę mówiąc dobrodusznie:

- Ty idź pierwszy, wypędzisz wszystkie skalne diabły i w ten sposób ochronisz nas!

Tak więc ja, najmniejszy i najmniej ważny w grupie, miałem pierwszy wejść do Jaskini Starożytnych. Wślizgnąłem się do środka i czołgałem się wokół narożników skalnych. Za sobą słyszałem szuranie i drapanie, kiedy masywniejsi ludzie szli po omacku. Nagle zalało mnie światło, na moment prawie paraliżując strachem. Stałem bez ruchu pod kamienną ścianą, oglądając fantastyczny widok wewnątrz. Jaskinia zdawała się być około dwa razy większa niż wnętrze Wielkiej Katedry w Lhasie. W odróżnieniu od Katedry, zawsze pogrążonej w półmroku, który maślane lampy na próżno próbowały rozproszyć, tu panowała jasność bardziej intensywna niż w bezchmurną noc przy pełni księżyca. Nie, tutaj było dużo jaśniej. To charakter światła musiał wywołać wrażenie księżycowego światła. Patrzyłem w górę na rzucające na nas światło kule. Lamowie stłoczyli się obok mnie, i jak ja spojrzeli najpierw na źródło światła.

- Stare zapisy mówią - powiedział mój Przewodnik - że oświetlenie to było pierwotnie dużo

jaśniejsze. Z upływem setek stuleci lampy te świecą coraz słabiej.

Przez dłuższą chwilę staliśmy nieruchomo, w milczeniu, jak gdyby obawiając się obudzić tych, którzy spali przez nieskończone lata. Potem, poruszeni wspólnym impulsem, podszliśmy po litej kamiennej podłodze do pierwszej maszyny zastygłej przed nami. Stłoczyliśmy się wokół niej, bojąc się jej dotknąć, chociaż byliśmy bardzo ciekawi, co to mogło być. Zmatowiała ze starości, jednak zdawała się być gotowa do natychmiastowego użycia – gdyby ktoś wiedział, do czego służyła i jak ją obsługiwać. Inne urządzenia również zajmowały naszą uwagę, jednak ich także nie potrafiliśmy uruchomić. Maszyny te były dla nas zbyt skomplikowane. Poszedłem dalej, do miejsca gdzie spoczywała na ziemi mała, kwadratowa platforma o szerokości około trzech stóp, z ochronnymi barierkami. Była ona przymocowana do końca długiej, składanej, metalowej rury wystającej z pobliskiej maszyny. Leniwie wszedłem na ogrodzony kwadrat, zaciekawiony, co to może być. W następnej chwili prawie umarłem z przerażenia. Platforma zadrżała i uniosła się wysoko w powietrze. Byłem tak przestraszony, że w rozpaczy chwyciłem się kurczowo barierek.

Pode mną sześciu lamów z przerażeniem spoglądało do góry. Rura rozkładała się, przysuwając platformę prosto do jednej ze świetlnych kul. Z rozpaczą patrzyłem na boki. Byłem już około trzydziestu stóp w górę i podnosiłem się. Bałem się, że źródło światła przypali mnie jak frytkę, jak ćmę w płomieniu maślanej lampy. Dało się słyszeć "klik" i platforma zatrzymała się. Całe od mojej twarzy jarzyło się światło. Nieśmiało wyciągnąłem rękę - cała kula była zimna jak lód. Już odzyskałem spokój i rozejrzałem się wokół. Wtedy poraziła mnie lodowata myśl: *jak dostana się na dół?* Skakałem z boku na bok, próbując ustalić drogę ucieczki, lecz zdawało się, że jej nie ma. Próbowałem dosięgnąć długą rurę, mając nadzieję zejść po niej, lecz była za daleko. Kiedy wpadałem już w rozpacz, platforma zadrżała i zaczęła opadać. Nie mogąc doczekać się, aż dotknie gruntu, zeskoczyłem! Nie chciałem ryzykować, że może podnieść się znowu.

Pod przeciwległą ścianą przysiadł wielki posąg, którego widok przyprawiał mnie o drżenie. Było to przykucnięte ciało kota, ale z głową i ramionami kobiety. Oczy wydawały się żywe. Twarz miała wyraz ni to drwiący, ni to żartobliwy, którego trochę się bałem. Jeden z lamów kłęczał na podłodze, uważnie oglądając pewne dziwne znaki.

- Patrzcie! - zawołał. - To pismo obrazkowe pokazuje koty rozmawiające z ludźmi, pokazuje, co jest oczywiste, duszę opuszczającą ciało i wędrującą do innego świata.

Ogarnął go naukowy zapał. Ślęczał nad rysunkami na podłodze- nazywał je "hieroglifami" - i spodziewał się, że jeszcze ktoś podzieli jego entuzjazm. Ten lama był bardzo wykształconym człowiekiem, kimś, kto bez żadnych trudności uczył się starożytnych języków. Inni tłoczyli się przy dziwnych maszynach, próbując określić ich przeznaczenie. Nagły krzyk trwogi zmusił nas do obrotu. Wysoki, chudy lama stał przy ścianie i zdawał się mieć twarz utkwioną w matowym, metalowym pudełku. Stał tam ze schyloną głową i ukrytą całą twarzą. Dwóch ludzi pośpieszyło do niego i odciągnęło od niebezpieczeństwa. Wydał ryk gniewu i rzucił się z powrotem!

- Dziwne! - pomyślałem. - Nawet spokojni, wykształceni lamowie szaleją w tym miejscu!

Potem wysoki i chudy lama usunął się na bok, a inny zajął jego miejsce. O ile mogłem wywnioskować, oglądali w tym pudełku poruszające się maszyny. W końcu mój Przewodnik zlitował się nade mną i podniósł mnie w górę do czegoś, co najwidoczniej było "okularami". Kiedy podniesiono mnie i położyłem ręce na uchwytach tak, jak mnie pouczono, zobaczyłem w pudełku ludzi i maszyny, które znajdowały się w tej hali. Maszyny te były obsługiwane przez znajdujących się tam ludzi. Zobaczyłem też, że platforma, na której zostałem podniesiony do kuli świetlnej, mogła być sterowana. Była typem przenośnej "drabiny" czy raczej urządzenia, które mogło zastąpić drabinę. Większość maszyn, które tam widziałem, było działającymi modelami, takimi, jakie w późniejszych latach widziałem w naukowych muzeach na całym świecie.

Ruszyliśmy do panelu, o którym Lama Mingyar Dondup opowiedział mi wcześniej. Gdy zbliżyliśmy się, otworzył się z nieprzyjemnym zgrzytem, tak głośnym w ciszy tego miejsca, że chyba wszyscy podskoczyliśmy z trwogą. Wewnątrz panowała całkowita ciemność, prawie taka, jakby chmury mroku wirowały wokół nas. Płytkie rowki w podłodze prowadziły nasze stopy.

Posuwaliśmy się szurając nogami i kiedy rowki skończyły się, usiedliśmy. Gdy tylko to uczyniliśmy, nastąpiła seria trasków, jak gdyby metal rysował metal, a w ciemność prawie niedostrzegalnie wkradło się światło i wyparło ją. Rozejrzeliśmy się dookoła i zobaczyliśmy inne, nieznanne maszyny. Były tu posągi i rysunki wyrzeźbione w metalu. Zanim zdążyliśmy ogarnąć wzrokiem przestrzeń, światło skupiło się i utworzyło w środku hali jarzącą się kulę. Kolory migotały bezładnie, pasma światła bez wyraźnego kierunku wirowały wokół kuli. Stopniowo tworzyły się obrazy, najpierw zamazane i niewyraźne, potem coraz żywsze, realistyczne, trójwymiarowe. Obserwowaliśmy uważnie...

Był to świat zamierzchłej przeszłości. Świat z czasów swojej młodości. Góry wznosiły się tam, gdzie dziś są morza. Przyjemne kąpieliska nadmorskie były tam, gdzie teraz są górskie szczyty. Klimat był cieplejszy i dziwne stworzenia wędrowały po łąkach. Był to świat naukowego postępu. Dziwne maszyny jeździły kilka cali nad powierzchnią Ziemi, lub latały w powietrzu na wysokości wielu mil. Wielkie świątynie wznosiły szczyty ku niebu, rzucając wyzwanie chmurom. Ludzie rozmawiali telepatycznie ze zwierzętami. Lecz nie było powszechnej szczęśliwości. Politycy walczyli z politykami. Świat był podzielony na obozy, a każdy z nich pożywał ziemi drugiego. Podejrzanie i strach były chmurami, pod którymi żył zwykły człowiek. Kapłani *obu* stron głosili, że jedynie oni są wybrańcami bogów. Na obrazach przed nami widzieliśmy wygłaszających tyrady kapłanów - tak jak teraz - propagujących swoją własną drogę zbawienia. Za jaką cenę! Kapłani każdej sekty nauczali, że "świętym obowiązkiem" jest zabić wroga. Niemal tym samym tchem głosili, że wszyscy ludzie na świecie są braćmi. Nie przejmowali się sprzecznością, że brat zabijał brata.

Widzieliśmy wielkie wojny, w których większość ofiar stanowili cywile. Wojsko, za osłoną swojego uzbrojenia, było bardziej bezpieczne. Starcy, kobiety i dzieci - ci którzy nie *walczyli* - byli tymi, którzy cierpieli. Widzieliśmy migawki z laboratoriów, w których pracowali naukowcy obmyślający jeszcze bardziej mordercze bronie, większe i lepsze bomby do rażenia wroga. Na obrazach pojawiła się grupa zamyślonych ludzi planujących coś, co nazywali "Kapsułą Czasu" (co *my* nazywamy "Jaskinią Starożytnych"), w której mogliby przechować dla przyszłych pokoleń pracujące modele swoich maszyn i kompletny ilustrowany zapis o swojej kulturze i o jej braku. Potężne maszyny drażyły żywą skałę. Hordy ludzi instalowały modele i aparaturę. Widzieliśmy, w jaki sposób były zawieszane kule zimnego światła wypełnione bierną radioaktywną substancją, dającą światło przez miliony lat. Bierną w tym sensie, że była nieszkodliwa dla ludzi, aktywną, bo mogła świecić prawie do końca Czasu.

Odkryliśmy, że mogliśmy rozumieć język tych ludzi, potem wyjaśniło się, że opanowaliśmy ich "mowę" telepatycznie. Komory czy "Kapsuły Czasu" takie jak ta, były ukryte pod piaskami Egiptu, pod piramidami w Ameryce Południowej i w pewnym miejscu na Syberii. Każde miejsce było oznakowane symbolem czasów - Sfinksem. Widzieliśmy wielkie posągi Sfinksa, które *nie* pochodziły z Egiptu, otrzymaliśmy też wyjaśnienie symboliki tej postaci. W tamtych odległych czasach człowiek i zwierzę rozmawiały i pracowały razem. Kot był najdoskonalszym zwierzęciem zważywszy na jego siłę i inteligencję. Człowiek sam jest zwierzęciem, tak więc starożytni uformowali kształt dużego kociego ciała, żeby oddać jego moc i wytrzymałość, a nad tym ciałem umieścili piersi i głowę kobiety. Głowa miała wskazywać ludzką inteligencję i rozum, podczas gdy piersi wskazywały, że Człowiek i Zwierzę mogły pobierać duchowy i mentalny pokarm od siebie nawzajem. Ten Symbol był wtedy tak pospolity, jak teraz jest posąg Buddy, Gwiazda Dawida czy Krzyż.

Widzieliśmy oceany z wielkimi pływającymi miastami, które przemieszczały się od łądu do łądu. Po niebie latały bezgłośnie równie wielkie statki, które mogły wisieć w powietrzu i prawie natychmiast pomknąć z ogromną szybkością. Pojazdy poruszały się kilka cali ponad ziemią, utrzymywane w powietrzu sposobem, którego nie mogliśmy wytłumaczyć. Mosty rozciągały się nad miastami przenosząc smukłe kable, które zdawały się być drogami. Gdy tak obserwowaliśmy, zobaczyliśmy oślepiający wybuch na niebie i jeden z największych mostów runął w płataninie dźwigarów i kabli. Jeszcze jeden wybuch i większa część miasta zniknęła w rozrzuconym gazie. Ponad ruinami utworzyła się dziwna, groźnie wyglądająca

czerwona chmura o kształcie wysokiego na mile grzyba.

Obrazy zbladły i znowu zobaczyliśmy grupę ludzi, którzy zaprojektowali "Kapsuły Czasu". Zdecydowali, że już nadszedł czas, by je zapieczętować. Widzieliśmy ceremonie, widzieliśmy wprowadzane do maszyny "zgrupowane wspomnienia". Usłyszeliśmy mowę pożegnalną, w której powiedziano nam:

- Ludzie przyszłości, jeżeli tam jesteście! - ludzkość właśnie zamierza się zniszczyć lub wydaje się to być prawdopodobne – w tych podziemiach są zmagazynowane zapisy naszych osiągnięć i szaleństw, które mogą przynieść pożytek przyszłej rasie, która będzie miała tyle rozumu, by je odkryć, a po odkryciu zdolna będzie je zrozumieć.

Telepatyczny głos zamilkł, ekran z obrazami stał się czarny. Siedzieliśmy w milczeniu, oszołomieni tym, co widzieliśmy. Potem, gdy tak trwaliśmy w ciszy, światło pojawiło się znowu i zauważyliśmy, że teraz wydobywało się ze ścian tego pomieszczenia.

Podnieśliśmy się i rozejrzeliśmy dookoła. Ta hala była również zastawiona maszynami i było tam wiele modeli miast i mostów, wszystkie zrobione z pewnego rodzaju kamienia lub pewnego metalu, którego cech nie umieliśmy określić. Pewne eksponaty były chronione przez pewien zupełnie przezroczysty materiał, który nie dopuszczał nas do nich. To nie było szkło. Właściwie nie wiedzieliśmy, czym był materiał - ale skutecznie uniemożliwiał nam dotknięcie pewnych modeli. Nagle wszyscy podskoczyliśmy. Byliśmy obserwowani przez ogromne czerwone oko, mrugające do nas. Byłem gotowy do ucieczki, kiedy mój Przewodnik, Lama Mingyar Dondup, podszedł do maszyny z czerwonym okiem. Popatrzył z góry i dotknął jej przycisków. Czerwone oko zniknęło. Zamiast niego na małym ekranie zobaczyliśmy obraz innego pomieszczenia sąsiadującego z główną halą. Do naszych mózgów dotarła wiadomość:

- Kiedy wyjdziecie, idźcie do pomieszczenia (???), gdzie znajdziecie materiały, którymi będziecie mogli zapieczętować każdy twór, przez który tu weszliście. Jeżeli nie osiągnęliście stadium rozwoju umożliwiającego wam pracę z naszymi maszynami, zamurujcie to miejsce i pozostawcie je nietknięte dla tych, którzy odejdą później.

W milczeniu przeszliśmy do trzeciego pomieszczenia, którego drzwi otworzyły się, gdy się zbliżyliśmy. Zawierało ono wiele starannie zamkniętych pojemników i maszynę "myślącą obrazami", która opisała nam, w jaki sposób powinniśmy otworzyć pojemniki zamurować wejście do jaskini. Siedzieliśmy na podłodze i omawialiśmy to, co widzieliśmy i czego doświadczyliśmy.

- Cudowne! Cudowne! - powiedział lama.

- Nie widzę w tym nic cudownego - powiedziałem zuchwale. - Moglibyśmy to wszystko zobaczyć zaglądając do Kroniki Akaszy. Dlaczego nie mielibyśmy popatrzeć na te zmieniające się w czasie obrazki i zobaczyć, co stało się po zamurowaniu tego miejsca?

Inni obrócili się pytająco do najstarszego z grupy. Lamy Mingara Dondupa. Ten skinął nieznacznie i zauważył:

- Czasami nasz Lobsang wykazuje przebliski inteligencji! Przygotujmy się i zobaczymy, co się zdarzyło, ponieważ sam jestem, równie ciekawy jak wy.

Usiedliśmy w ciasnym kręgu, każdy twarzą do środka i z palmi ułożonymi w odpowiedni wzór. Mój Przewodnik rozpoczął wymagany rytm oddychania i podążyliśmy za nim. Powoli straciliśmy naszą ziemską tożsamość i staliśmy się jak okręt pływający Morzu Czasu. Wszystko, co kiedykolwiek zdarzyło się, może być widziane przez tych, którzy posiadają umiejętność świadomego przejścia w astral i powrotu - świadomie - z uzyskaną wiedzą. Każda scena z historii, z dowolnego wieku, nieważne jak odległego, może być widziana, jakby było się tam rzeczywiście.

Pamiętam, kiedy pierwszy raz eksperymentowałem z "Kroniką Akaszy". Mój Przewodnik opowiadał mi o takich rzeczach, a ja pytałem:

- Tak, ale co to jest? Jak to działa? Jak człowiek może zetknąć się z czymś, co minęło, co jest skończone i przeszło?

- Lobsang! - odpowiedział. - Zgodzisz się z tym, że masz pamięć. Możesz przypomnieć sobie, co zdarzyło się wczoraj i przedwczoraj i jeszcze dzień wcześniej. Przy odrobinie treningu możesz przypomnieć sobie wszystko, co zdarzyło się w twoim życiu, możesz nawet przypomnieć sobie, jak się rodziłeś. Możesz wykorzystać to, co nazywamy "całkowitym przypomnieniem" i to

cofnie swoją pamięć do czasów, *zanim* się urodziłeś. Kronika Akaszy jest po prostu "pamięcią" całego świata. Wszystko, co kiedykolwiek zdarzyło się na tej Ziemi, może zostać "przypomniane" w ten sam sposób, jak *ty* możesz przypomnieć sobie przeszłe wydarzenia w twoim życiu. Nie ma w tym magii, ale zajmijmy się tym i hipnozą - tematem ściśle związanym - w późniejszym czasie.

Przy naszym doświadczeniu było rzeczywiście łatwo określić punkt, w którym maszyna skończyła pokazywać swoje obrazy. Widzieliśmy procesję mężczyzn i kobiet, bez wątpienia dostojników tamtych czasów, opuszczających Jaskinię. Maszyny z ogromnymi ramionami zaważyły wejście czymś, co wydawało się być połową góry. Pęknięcia i szczeliny w miejscach, gdzie stykały się powierzchnie, zostały starannie zalepione, a grupa ludzi i robotników wyszła. Maszyny odjechały i przez kilka miesięcy na scenie panował spokój. Widzieliśmy wysokiego kapłana stojącego na stopniach ogromnej piramidy, nawołującego swych słuchaczy do wojny. Obrazy odcisnięte na Zwojach Czasu przesuwały się dalej, zmieniały, i zobaczyliśmy przeciwny obóz. Widzieliśmy przywódców mówiących z patosem i wykrzykujących w szale. Czas biegł naprzód. Widzieliśmy smugi białej pary na błękitnym niebie, a potem niebo stało się czerwone. Cały świat drżał i trząsł się. Obserwując, odczuliśmy zawroty głowy. Ciemność nocy opadła na świat. Czarne chmury, przesywane ostrymi płomieniami, otoczyły cały świat. Miasta szybko płonęły i ginęły.

Przez łąd przelały się szalejące morza. Zmiatające wszystko po drodze gigantyczne fale, wyższe niż najwyższy budynek, rycząc przelewały się przez łąd, a ich grzbiety unosiły w górę szczątki umierającej cywilizacji. Ziemia trzęsła się i drżała w agonii. Wielkie przepaście otwierały się i zamykały jak ziewające usta olbrzyma. Góry kołysały się jak gałązki wierzbowe w czasie burzy, kołysały się i pogrążały w morzach. Masy łądu podnosiły się z wód i stawały się górami. Cała powierzchnia świata była w stadium zmian, w ciągłym ruchu. Nieliczni pozostali przy życiu z milionów, uciekali z krzykiem w nowo wyniesione góry. Inni, na pokładach statków, które jakoś przetrwały te wstrząsy, dotarli do wysoko położonych ziem i ukryli się w miejscach, jakie mogli znaleźć. Sama Ziemia zatrzymała się, przestała obracać się, a potem ruszyła w przeciwnym kierunku. Lasy w mgnieniu oka zamieniły się w rozspany popiół. Powierzchnia Ziemi została spustoszona, zniszczona, zwęglona na czarną frytkę. Głęboko w norach, lub w tunelach lawy wygasłych wulkanów, rozproszona garstka ziemskiej ludności wpędzona w obłąd przez katastrofę, kuliła się i mamrotała w przerażeniu. Z czarnego nieba padała biaława substancja, słodka w smaku, podtrzymująca życie.

Z upływem wieków Ziemia zmieniała się znowu. Morza stawały się łądami, a łądy były teraz morzami. Pękły i rozłączyły się skalne ściany nisko położonej doliny, a wody wtargnęły tworząc morze znane teraz jako Śródziemne. Inne morze w pobliżu spłynęło przez wyrwę w dnie. Kiedy wody opadły i dno wyschło, utworzyła się pustynia Sahara. Po powierzchni Ziemi wędrowały dzikie plemiona, które przy świetle obozowych ognisk opowiadały stare legendy, opowiadały o Potopie, o Lemurii i Atlantydzie. Opowiadały także o Dniu, w którym zatrzymało się Słońce.

Jaskinia Starożytnych leżała zagrzebana w mule półzatopionego świata. Bezpieczna, niedostępna dla intruzów, spoczywała głęboko pod powierzchnią łądu. Z upływem czasu szybko płynące strumienie zmyły muł i gruz, i pozwoliły skalom ponownie ujrzeć słońce. Wreszcie powierzchnia skał ogrzana przez słońce i ochłodzona przez nagły, lodowaty deszcz, rozszczepiła się z ogłuszającym hałasem, dzięki czemu mogliśmy do niej wejść *my*.

Otrząsnęliśmy się, wyciągnęliśmy nasze zdrętwiałe kończyny i podnieśliśmy się znużeni. Doświadczenie było wstrząsające. Teraz musieliśmy zjeść, wyspać się, żeby nazajutrz ponownie rozejrzeć i być może dowiedzieć się czegoś więcej. Po wypełnieniu naszej misji zamurowalibyśmy wejście, jak polecono. Jaskinia mogła znowu pogrążyć się w spokoju, aż przyjdą tutaj ludzie dobrej woli i wysokiej inteligencji. Podeszedłem do wylotu Jaskini i popatrzyłem w dół na ruiny, na rozłupane skały i byłem ciekaw, co starożytny człowiek pomyślałby, gdyby mógł wstać z grobu i stanąć tutaj obok mnie.

Kiedy wróciłem do wnętrza, zdumiał mnie kontrast. Lama rozniecał ogień krzesiwem i hubką, zapalając trochę wysuszonego nawozu jaków, jaki przynieśliśmy w tym celu. Wokół nas były

maszyny i wyroby minionej epoki. My - ludzie współcześni - grzaliśmy wodę na ogniu z nawozu, otoczeni przez tak cudowne urządzenia, które pozostawały poza zasięgiem naszej wiedzy. Westchnąłem i skierowałem myśli na mieszanie herbaty i tsampy.

Rozdział VI

Poranne modły skończyły się. My, chłopcy, pognaliśmy do naszej klasy tłocząc się i przepychając, aby nie być tam ostatnimi. Wcale nie z powodu naszego zainteresowania nauką, lecz dlatego, że Nauczyciel w tej klasie miał okropny zwyczaj bicia trzcina ostatniego wchodzącego! Zdołałem, o wielka radości, być *pierwszy* i pławiłem się w blasku uśmiechu uznania Nauczyciela. Niecierpliwie dał znak innym, by się śpieszyli, a sam stanął w drzwiach i rozdawał razy tym, którzy akurat wydawali się być zbyt powolni. W końcu wszyscy siedzieliśmy ze skrzyżowanymi nogami na matach rozłożonych na podłodze. Jak nakazywał zwyczaj, siedzieliśmy tyłem do Nauczyciela, który ciągle chodził za naszymi plecami tak, że nigdy nie wiedzieliśmy, gdzie był i dlatego *musieliśmy* pilnie pracować.

- Dziś będziemy omawiać podobieństwa wszystkich religii - zaczął. - Zauważyliśmy, jak powszechna jest historia Potopu w wierzeniach świata. Teraz zwrócimy naszą uwagę na temat Matki Boskiej. Nawet najmniej inteligentny wie - powiedział patrząc surowo na mnie - że nasza Matka Boska, Błogosławiona Dolina, Matka Miłosierdzia, odpowiada Matce Boskiej pewnych wyznań chrześcijańskich.

Pospieszne kroki zatrzymały się przed wejściem do klasy. Mnich posłaniec wszedł i skłonił się nisko Nauczycielowi.

- Pozdrawiam cię. Dostojny Nauczycielu - wymamrotał. - Lama Mingyar Dondup przesyła swoje pozdrowienia i prosi, żeby chłopiec Wtorek Lobsang Rampa został *natychmiast* zwolniony z klasy - sprawa jest pilna.

Nauczyciel rzucił groźne spojrzenie.

- *Chłopcze!* - zagrmiał. - Jesteś niezdolny i przeszkadzasz w klasie, *wyjdź!*

Szybko poderwałem się, ukloniłem Nauczycielowi i popędziłem za idącym prędko posłańcem.

- O co chodzi? - wysapałem.

- Nie wiem - odpowiedział. - Sam jestem ciekaw. Święty Lama Dondup ma przygotowane narzędzia chirurgiczne, konie też są gotowe.

Pospieszyliśmy.

- Ach! Lobsang! Więc ty *potrafisz* się spieszyć! - roześmiał się mój Przewodnik, kiedy przyszedliśmy. - Pojedziemy w dół do wioski Szó, gdzie potrzebne są nasze usługi chirurgiczne.

Dosiadł konia i dał znak, bym dosiadł mojego. To była zawsze trudna operacja. Konie i ja nigdy nie byliśmy jednomyślni, jeśli chodziło o dosiadanie. Podchodziłem w kierunku konia, a to stworzenie odchodziło bokiem ode mnie. Podkrałem się z drugiej strony i wskoczyłem z rozbiegu, zanim koń zorientował się, co się stało. Potem próbowałem gorliwie naśladować, w uporczywości chwytu, górski porost. Parskając z rozdrażnioną rezygnacją koń odwrócił się bez mojego udziału i podążył za koniem mojego Przewodnika ścieżką w dół. Mój koń miał okropny zwyczaj zatrzymywania się w najbardziej stromych miejscach i spoglądania przez krawędź, nachylając głowę i trzęsąc się. Jestem całkowicie przekonany, że miał (źle ulokowane!) poczucie humoru i był w pełni świadomy efektu, jaki we mnie to wywoływało. Schodziliśmy w dół ścieżki i wkrótce minęliśmy Pargo Kaling, czyli Zachodnią Bramę i doszliśmy do wsi Szó. Mój Przewodnik prowadził ulicami, aż doszliśmy do dużego budynku, który rozpoznałem - było to więzienie. Strażnicy wyszli pospiesznie do nas i przejęli nasze konie. Wziąłem dwie skrzynki mojego Przewodnika, Lamy Mingyara Dondupa i zaniósłem je do tego

ponurego miejsca. Było to naprawdę nieprzyjemne, straszne miejsce. Mogłem *czuć* zapach strachu, *widzieć* złe formy myślowe złoczyńców. Było to rzeczywiście miejsce, którego atmosfera sprawiała że żyły mi się włosy na karku.

Podążyłem za moim Przewodnikiem do dość dużego pokoju. Przez okna wpadało światło słoneczne. W pobliżu stali liczni strażnicy i czekał Sędzia Szó, żeby powitać Lamę Mingyara Dondupa. Podczas gdy oni rozmawiali, rozejrzałem się dookoła i doszedłem do wniosku, że przestępcy byli tu sądzeni i skazywani. Wzdłuż ścian stały akta i książki. Na podłodze, z boku, leżał jęczący pakunek. Popatrzyłem w tym kierunku i w tym samym momencie usłyszałem Sędziego mówiącego do mojego Przewodnika:

- Chińczyk, myślimy, że to szpieg. Dostojny Lamo. Próbował wspiąć się na Świętą Górę i najwidoczniej wkraść się do Potali. Poślizgnął się i spadł. Jak daleko? Być może sto stóp. Jest w złym stanie.

Mój Przewodnik ruszył naprzód, a ja u jego boku. Odsunięto przykrycie i przed sobą zobaczyliśmy Chińczyka w średnim wieku. Był dość niski i wyglądał, jakby był nadzwyczajnie zwinny jak akrobata - pomyślałem. Teraz jęczał z bólu, jego twarz była mokra od potu, a cera miała brudny zielonkawy odcień.

Mężczyzna był w złym stanie, drżał i zgrzytał zębami w agonii. Lama Mingyar Dondup popatrzył na niego ze współczuciem.

- Szpieg, niedoszły morderca, czy kimkolwiek on jest, musimy coś dla niego zrobić - powiedział.

Mój Przewodnik uklęknął przy tym człowieku, położył ręce na toniach cierpiącego nieszczęśnika i wpatrywał się mu w oczy. W ciągu paru sekund ranny człowiek rozluźnił się, uchylił powieki niewyraźny uśmiech pojawił się na jego ustach. Mój Przewodnik odsunął dalej na bok przykrycie i nachylił się nad nogami Chińczyka. Poczulem mdłości, kiedy to zobaczyłem. Przez spodnie stawały kości nóg mężczyzny. Nogi wydawały się być kompletnie pogruchotane. Oстрыm nożem mój Przewodnik rozciął ubranie rannego. Wszyscy westchnęli, kiedy zobaczyli nogi z kośćmi kompletnie pogruchotanymi od stóp do ud. Lama delikatnie zbadał je palcami. Ranny mężczyzna nie poruszył się, ani nie cofnął, był głęboko zahipnotyzowany. Kości nóg zgrzytały i wydawały dźwięki jak wypełnione do połowy worki z piaskiem.

- Kości są zbyt pogruchotane, aby je złożyć - powiedział mój Przewodnik - jego nogi są jak sproszkowane. Musimy je amputować.

- Dostojny Lamo - powiedział Sędzia - czy możesz sprawić, by powiedział nam, co robił? Obawiamy się, że był mordercą.

- Najpierw usuniemy mu nogi - odpowiedział Lama - *potem* będziemy go pytać.

Nachylił się ponownie nad mężczyzną i jeszcze raz popatrzył mu *w* oczy. Chińczyk rozluźnił się jeszcze bardziej i zdawało się, że zapadł w głęboki sen.

Torby miałem już rozwinięte, a w misce przygotowany sterylizujący, ziołowy płyn. Mój Przewodnik zanurzył w nim ręce, żeby mogły nasiąknąć płynem. Jego instrumenty miałem już w innej misce. Pod jego kierunkiem umyłem ciało i nogi mężczyzny. Dotykając tych nóg miałem szczególne wrażenie. Czułem, jak gdyby *wszystko* zostało pogruchotane. Nogi teraz były sine, w plamki koloru skóry, a żyły nabrzmiały jak czarne sznury. Pod kierunkiem mojego Przewodnika, który ciągle moczył ręce, umieściłem na nogach Chińczyka sterylizowane opaski tak wysoko, jak mogłem, tam, gdzie nogi łączyły się z ciałem. Wcisnąłem kij w pętlę i obracałem, aż ucisk zatrzymał krążenie. Bardzo szybko Lama Mingyar Dondup chwycił nóż i przeciął ciało w kształt litery "V". W punkcie podstawy "V" przepiłował kość nogi - to, co z niej zostało - a potem podwinął brzegi "V" tak, że koniec kości był chroniony podwójną warstwą ciała. Podałem mu nitkę zrobioną ze sterylizowanych wnętrzności jaka, a on szybko zszył ciasno brzegi razem. Wolno i ostrożnie rozluźniłem ucisk opaski wokół nogi mężczyzny, gotów zacisnąć znowu, gdyby kikut krwawił. Szwy trzymały, krew nie płynęła. Za nami strażnik dostał gwałtownych nudności, zbladł jak kreda i padł zemdłony na podłogę!

Mój Przewodnik ostrożnie zabandażował kikut i znowu umył ręce w roztworze. Skierowałem uwagę na drugą nogę, lewą, i wsunąłem kij w pętlę opaski. Lama skinął, a ja obróciłem kij jeszcze

raz, żeby odciąć dopływ krwi do nogi. Wkrótce noga ta leżała obok pierwszej. Mój Przewodnik odwrócił się do przyglądającego się strażnika i powiedział mu, żeby wzięł nogi i zawiązał je w materiał.

- Musimy zwrócić te nogi do Chińskiej Misji - powiedział Lama. - Inaczej powiedzą, że ich człowiek był torturowany. Poproszę Najdostojniejszego, żeby człowiek ten został odesłany do swoich ludzi. Jego misja nie ma znaczenia. Nie powiodła się, tak jak stanie się to ze wszystkimi takimi próbami.

- Ale Dostojny Lamo! - powiedział Sędzia. - ten człowiek powinien być *zmuszony do* opowiedzenia, co robił i dlaczego.

Mój Przewodnik nic nie odpowiedział, lecz ponownie odwrócił się do zahipnotyzowanego człowieka i popatrzył mu głęboko w otwarte teraz oczy.

- Co robisz? - zapytał.

Mężczyzna zajęczał i potoczył wokół oczyma. Mój Przewodnik zapytał go znowu:

- Co zamierzałeś zrobić? Czy zamierzałeś zamordować Wysoką Osobę w Potali?

Wokół ust Chińczyka pojawiła się piana, potem opornie skinął głową w potwierdzeniu.

- *Mów* - rozkazał Lama. - Skinienie nie wystarcza.

- Tak, powoli, boleśnie, rozpoczęło się opowiadanie. Zabójca został opłacony za popełnienie morderstwa, opłacony, by wznieść zamęt w pokojowym kraju. Morderca zawiódł, jak wszyscy zawiadliby, ponieważ nie znali *naszych* zabezpieczeń! Kiedy myślałem o tym. Lama Mingyar Dondup podniósł się.

- Pójdę zobaczyć się z Najdostojniejszym, Lobsang, ty zostań tutaj i pilnuj tego człowieka - powiedział.

Mężczyzna jęknął.

- Zabijecie mnie? - zapytał słabo.

- Nie! - odpowiedziałem. - My nie zabijamy nikogo.

Zwilżyłem jego wargi i wytarłem czoło. Wkrótce znowu się uspokoił. Pomyślałem, że zasnął po wyczerpującym przejściu. Sędzia przyglądał się gorzko, myśląc że kapłani są szaleni, chcąc ocalić niedoszłego mordercę. Dzień włókł się. Strażnicy odeszli i przyszli inni. Poczułem, że w brzuchu burczy mi z głodu. W końcu usłyszałem znajome kroki i Lama Mingyar Dondup wkroczył do pokoju. Najpierw podszedł i spojrzał na pacjenta, upewniając się, że człowiek ten leży tak wygodnie, jak na to pozwalają warunki i że kikuty nie krwawią. Podnosząc się popatrzył na starszego świeckiego urzędnika i powiedział:

- Na mocy upoważnienia przekazanego mi przez Najdostojniejszego polecam ci natychmiast wziąć dwoje noszy i zabrać tego człowieka i jego nogi do Chińskiej Misji.

- Ty - zwrócił się do mnie - będziesz towarzyszył tym ludziom i zameldujesz mi, gdyby byli niepotrzebnie brutalni w obchodzeniu się z ludzkimi odpadami.

Poczułem się wyraźnie przygnębiony. Tu leżał morderca z odciętymi nogami - a mój żołądek, tak pusty jak świątynny bęben, burczał z braku pożywienia. W czasie gdy ludzie wyszli i szukali noszy, pognałem na zewnątrz do miejsca, gdzie widziałem urzędników popijających herbatę! Hardo zażądałem - i dostałem - hojny poczęstunek. Pośpiesznie wpychając tsampę do gardła, pobiegłem z powrotem.

W milczeniu, ponuro, mężczyźni weszli za mną do pokoju niosąc dwoje prymitywnych noszy z materiału rozciągniętego pomiędzy drążkami. Zręcząc podnieśli dwie nogi i położyli je na pierwsze nosze. Delikatnie, pod czujnym wzrokiem Lamy Mingyara Dondupa, umieścili Chińczyka na drugich noszach. Jego ciało nakryto przykryciem, które związane pod noszami, żeby rannego nie trzęsło. Mój Przewodnik zwrócił się do starszego świeckiego urzędnika.

- Będziesz towarzyszył tym ludziom - powiedział - i przekażesz moje pozdrowienia Chińskiemu Ambasadorowi i powiesz mu, że zwracamy jednego z jego ludzi. Ty, Lobsang - zwrócił się do mnie - będziesz towarzyszył im i po powrocie zgłosisz się do mnie.

Odwrócił się, a my wyszliśmy z pokoju. Na zewnątrz powietrze było chłodne i drżałem w mojej lekkiej szacie. Podążaliśmy w dół Mani Lhakang, najpierw ludzie niosący nogi, potem dwóch ludzi niosących nosze z Chińczykiem. Ja szedłem z jednej strony, a starszy świecki

urzędnik z drugiej. Skręciliśmy w prawo, przeszliśmy przez dwa parki i skierowaliśmy się do Chińskiej Misji.

Za Szczęśliwą Rzeką migoczącą przed nami, rzucającą błyski jasnego światła przez prześwity między drzewami, podeszliśmy do najdalszej ściany Misji. Chrzękając ludzie położyli na pewien czas swoje ładunki, aby dać odpocząć swoim bolącym mięśniom i patrzyli ciekawie na ścianę Misji. Chińczycy byli *bardzo* agresywni w stosunku do tych, którzy próbowali wejść na ich teren. Były wypadki, że "przez przypadek" zostawali zastrzeleni mali chłopcy, kiedy zabłąkali się tam, jak to zdarza się małym chłopcom. Teraz my mieliśmy wejść do środka! Spluwając w dłonie mężczyźni ponownie podnieśli nosze. Maszerując dalej skręciliśmy w lewo na drogę Lingkor i weszliśmy na teren Misji. Gburowaci ludzie podeszli do drzwi.

- Mam honor zwrócić wam jednego z waszych ludzi - powiedział starszy urzędnik - który próbował wkroczyć na Świętą Ziemię. Spadł i jego nogi musiały być amputowane. Tu są nogi, byście mogli to sprawdzić.

Groźni strażnicy schwycili nosze i oddalili się z człowiekiem i jego nogami do budynku. Inni, w punkcie kontrolnym, pomachali, byśmy odeszli. Wycofaliśmy się ścieżką w dół. Wślizgnąłem się niezauważony za drzewo. Inni pomaszerowali dalej. Powietrze rozdarły wrzaski i krzyki. Rozglądając się dookoła zobaczyłem, że nie było strażników. Wszyscy weszli do Misji. Pod wpływem głupiego impulsu, opuściłem niezbyt bezpieczną kryjówkę i bezgłośnie podbiegłem do okna. Ranny mężczyzna leżał na podłodze, jeden strażnik siedział mu na piersi, podczas gdy dwaj inni na ramionach rannego. Czwarty człowiek przykładał płonące papierosy do jego amputowanych kikutów. Nagle czwarty oprawca podskoczył, wyciągnął rewolwer i strzelił rannemu mężczyźnie między oczy.

Trzasnęła pode mną gałązka. Błyskawicznie opadłem na kolana i odwróciłem się. Pojawił się inny chiński strażnik i mierzył z karabinu w miejsce, gdzie była moja głowa. Skoczyłem mu między nogi, podcinając go i powodując, że upuścił karabin. Pospieszenie biegłem od drzewa do drzewa. Przez niskie gałęzie przelatywały kule i słychać było głuchy odgłos biegnących za mną stóp. Dawało mi to przewagę. Ja biegłem szybko, a Chińczycy często zatrzymywali się, żeby do mnie strzelić. Pognałem na tył ogrodu - brama była teraz strzeżona - wspiąłem się na drzewo i przesunąłem się po gałęzi tak, że mogłem zsunąć się na szczyt ściany. Kilka sekund później byłem na drodze *przed* moimi rodakami, którzy przedtem wnieśli rannego. Jak tylko usłyszeli moją opowieść, przyspieszyli kroku. Nie ociągali się już, żeby zobaczyć coś ciekawego, teraz chcieli uniknąć niebezpieczeństwa. Chiński strażnik zeskoczył ze szczytu ściany na drogę i popatrzył na mnie bardzo podejrzliwie. Ja w odpowiedzi łagodnie spojrzałem na niego. Patrząc wilkiem i mrużąc przekleństwa, klnąc moje pochodzenie, i odszedł. Przyśpieszyliśmy!

Za wsią Szó ludzie zostawili mnie. Patrząc nieco lękliwie przez umie wydłużyłem krok i wkrótce mknąłem ścieżką do Czakupori. Stary mnich odpoczywający przy drodze zawołał do mnie.

- Co się z tobą dzieje Lobsang? Wyglądasz, jakby ściagały cię wszystkie Demony!

Popędziłem dalej i bez tchu wbiegłem do pokoju mojego Przewodnika Lamy Mingyara Dondupa. Przez moment stałem sapiąc, próbując złapać oddech.

- Och! - wydyszałem w końcu. - Chińczycy zamordowali tego człowieka. *Zastrzelili go!*

Wyrzucając z siebie słowa opowiedziałem wszystko, co się wydarzyło. Mój Przewodnik przez chwilę milczał. Potem powiedział:

- W swoim życiu będziesz widział dużo przemocy, Lobsang, nie bądź zbyt zmartwiony tym wydarzeniem. Jest to normalny sposób postępowania w dyplomacji. Zabić tych, którzy zawiedli i wyprzeć się szpiegów, którzy zostali schwytani. Tak dzieje się na całym świecie, we wszystkich krajach świata.

Siedząc przed moim Przewodnikiem, dochodząc do siebie w łagodnej atmosferze jego obecności pomyślałem o innej sprawie, która mnie dręczyła.

- Panie! - zawołałem. - Jak działa hipnoza? Popatrzył na mnie z uśmiechem na ustach.

- Kiedy jądeś ostatni raz? - zapytał. Nagle powrócił cały mój głód.

- Och, około dwanaście godzin temu - odpowiedziałem smutno.

- To zjedźmy teraz, tutaj, a kiedy się nieco posilimy, pomówimy o hipnozie.

Skinął do mnie w milczeniu i usiadł w- pozycji medytacyjnej. Przejąłem jego telepatyczne polecenie dla jego służących – *jedzenie* i herbata. Złapałem też telepatyczną wiadomość do kogoś w Potali, kto miał szybko pójść do Najdostojniejszego, by złożyć mu szczegółowy raport. Moje "przejmowanie" telepatycznych informacji zostało przerwane przez służącego wnoszącego jedzenie i herbatę...!

Wyprostowałem się, przejeżdżony, czując się nawet gorzej niż przedtem. *Miałem* ciężki dzień, *byłem* głodny przez wiele godzin, lecz (myśl ta zaniepokoiła mnie) czy teraz nie zjadłem niemądrze zbyt dużo? Nagle podejrzliwie spojrzałem w górę. Mój Przewodnik patrzył na mnie z widocznym rozbawieniem na twarzy.

- Tak, Lobsang - zauważył. - *Zjadłeś* za dużo. Mam nadzieję, że będziesz nadażał za moją opowieścią o hipnozie.

Popatrzył na moją zarumienioną twarz i jego spojrzenie zmiękło.

- Biedny Lobsang, miałeś ciężki dzień. Idź, odpocznij sobie teraz, będziemy kontynuować naszą rozmowę nazajutrz.

Podniósł się i opuścił pokój. Z trudem wstałem i chwiejnym krokiem ruszyłem korytarzem. Spać! To było wszystko, czego pragnąłem. Jedzenie? Co tam! Miałem go za dużo. Dotarłem do swojego miejsca spania i zawiąłem się w szaty. Sny były naprawdę męczące. Śniły mi się koszmary, w których beznogi Chińczyk gonił mnie przez leśne gaje, a inny Chińczyk uzbrojony w pistolety skakał na moje ramiona, próbując mnie przewrócić.

- *Bum!* - uderzyłem głową w ziemię.

Jeden z chińskich strażników kopał mnie.

- *Bum!* - uderzyłem głową ponownie.

Z trudem otworzyłem oczy i zobaczyłem pomocnika energicznie potrząsającego moją głową i kopiącego mnie, rozpaczliwie usiłując obudzić.

- Lobsang! - wykrzyknął, kiedy zobaczył, że otworzyłem oczy. - Lobsang, myślałem, że zmarłeś. Spałeś całą noc, opuściłeś modły i tylko interwencja twojego Mistrza, Lamy Mingyara Dondupa, ocaliła cię przed nadzorcami. *Obudź się!* - krzyknął, kiedy znowu prawie zapadłem w sen.

Stopniowo wracała do mnie świadomość. Przez okna widziałem wczesne poranne promienie słońca prześwitujące ponad wysokimi Himalajami, oświetlające najwyższe budynki w dolinie, uwydatniające złote dachy odległej Sery, iskrzące się wokół szczytu Pargo Kaling. Wczoraj szedłem do wsi Szó - ach! *to* nie był sen. Dziś, dziś *miałem nadzieję* opuścić kilka lekcji i uczyć się bezpośrednio mojego ukochanego Mingyara Dondupa. Uczyć się o hipnozie! Prędko skończyłem śniadanie i wybrałem się w drogę do klasy, po to, żeby zostać tam i odpowiadać ze stu ośmiu Świętych Ksiąg, lecz żeby wyjaśnić dlaczego byłem nieobecny!

- Panie! - powiedziałem, kiedy zobaczyłem Nauczyciela idącego do klasy. - Panie! Muszę dziś towarzyszyć Lamie Mingyarowi Dondupowi. Proszę o zwolnienie z klasy.

- Ach, tak! Mój chłopcze - powiedział Nauczyciel zdumiewająco wesołym tonem - rozmawiałem ze Świętobliwym Lamą, twoim Przewodnikiem. Był łaskaw korzystnie ocenić twoje postępy pod moją opieką. Przyznaję, że jestem bardzo zadowolony, *bardzo* zadowolony.

Zadziwiająco. Zanim wszedł do klasy, wyciągnął rękę i poklepał mnie po ramieniu. Oszołomiony i ciekawy, jaki rodzaj magii na niego zadziałał, powędrowałem w kierunku kwater lamów.

Dalej wędrowałem beztrudnie. Minąłem pół otwarte drzwi.

- *Och!* - wykrzyknąłem nagle, natychmiast zatrzymując się - *marynowane orzechy włoskie!!*

Ich zapach był silny. Wróciłem bezgłośnie i zajrzałem przez drzwi. Stary mnich patrzył w dół na kamienną podłogę, mamrocząc coś, co nie było modlitwą, żałując straty całego słoika marynowanych orzechów włoskich, które w jakiś sposób otrzymał z Indii.

- Czy mogę ci pomóc, Dostojny Lamo? - zapytałem grzecznie.

Stary człowiek zwrócił do mnie gniewną twarz i udzielił takiej odpowiedzi, że popędziłem korytarzem, ile sił w nogach.

- Wszystkie te słowa z powodu paru orzechów! - powiedziałem oburzony do siebie.

- Wejdz! - powiedział mój Przewodnik, kiedy zbliżyłem się do jego drzwi. - Myślałem, że poszedłeś znowu spać.

- Panie! - powiedziałem. - Przyszedłem do ciebie się uczyć. Pragnę poznać naturę hipnozy.

- Lobsang - odpowiedział mój Przewodnik. - Musisz nauczyć się dużo więcej. Najpierw musisz poznać podstawy hipnozy. W przeciwnym razie nie będziesz wiedział dokładnie, co robisz. Siadaj.

Usiadłem, oczywiście ze skrzyżowanymi nogami, na podłodze. Mój Przewodnik usiadł naprzeciwko mnie. Przez pewien czas zdawał się być zatopiony w myślach, a potem powiedział:

- Powinieneś już wiedzieć, że wszystko jest wibracją, elektrycznością. Ciało składa się z wielu różnych związków chemicznych. Niektóre z tych związków są przenoszone do mózgu przez strumień krwi. Mózg, jak wiesz, jest najlepiej zaopatrzony w krew i zawarte w niej substancje chemiczne. Te składniki, potas, mangan, węgiel i wiele innych, tworzą tkankę mózgu. Oddziaływanie pomiędzy nimi tworzy szczególne oscylacje cząsteczek, które my nazywamy "prądem elektrycznym". Kiedy ktoś *myśli*, wprawia w ruch łańcuch procesów, w wyniku których powstaje prąd elektryczny, i "fale mózgowie".

Zastanawiałem się nad całą tą sprawą. Nie mogłem zrozumieć tego wszystkiego. Jeżeli w moim mózgu były "prądy elektryczne", dlaczego ich nie odczuwałem? Przypomniałem sobie chłopca, który puszczał latawiec w czasie burzy z piorunami. Pamiętam oślepiającą niebieską błyskawicę, która świecąc płynęła po mokrym sznurku latawca. Przypomniałem sobie z dreszczem, jak chłopiec padł na ziemię przypominając wysuszony, usmażony kawałek mięsa. Ja też doznałem raz porażenia z tego samego źródła, parę ciarek w porównaniu do tamtego, lecz te "ciarki" wystarczały, by rzuciło mną na kilkanaście stóp.

- Dostojny Lamo! - zaprotestowałem. - Jak *może* być elektryczność w mózgu? Człowiek mógłby oszaleć z bólu!

Mój Przewodnik usiadł i uśmiechnął się do mnie.

- Lobsang! - zachichotał. - Porażenie, którego kiedyś doznałeś dało ci całkowicie niewłaściwe wyobrażenie o elektryczności. Ilość elektryczności w mózgu jest bardzo mała. Czułe instrumenty mogą ją zmierzyć i mogą nawet wykreślić zmiany, kiedy ktoś myśli, czy podejmuje jakieś fizyczne działanie.

Myśl o człowieku mierzącym napięcie innego człowieka, to było dla mnie zbyt dużo, zacząłem się śmiać. Mój Przewodnik jedynie się uśmiechnął i dodał:

- Chodźmy po południu do Potali. Najdostojniejszy ma tam urządzenie, które umożliwi nam łatwiejszą rozmowę na temat elektryczności. Idź teraz i rozerwij się - zjedz posiłek, załóż najlepszą szatę. Spotkamy się tutaj, kiedy słońce będzie w zenicie.

Podniosłem się, pokłoniłem i wyszedłem.

Przez dwie godziny włóczyłem się wkoło. Wspiąwszy się na dach leniwie zrzucałem małe kamyczki na głowy nie spodziewających się niczego mnichów przechodzących niżej. Zmęczony tą zabawą, opuściłem się głową na dół przez klapę prowadzącą do ciemnego korytarza. Kiedy tak zaczepiony nogami wisiłem głową w dół, usłyszałem zbliżające się kroki. Nie mogłem widzieć, ponieważ kłapa włazu była za zakrętem. Wysunąłem język i robiąc dziką minę czekałem. Stary człowiek wyszedł zza rogu i nie widząc mnie, uderzył we mnie. Mój mokry język dotknął jego policzka. Mężczyzna wrzasnął i upuszczając z *hukiem* niesioną tacę, zniknął z szybkością zadziwiającą, jak na tak sędziwego człowieka. Ja też byłem zaskoczony. Gdy stary mnich uderzył we mnie, uwolniło to moje nogi z niepewnego uchwytu. Spadłem na plecy na korytarz. Kłapa włazu opadła z odbijającym się echem *hukiem* i cały ładunek duszącego kurzu spadł na mnie z góry! Oszolomiony, z trudem podniosłem się i uciekłem najszybciej, jak tylko mogłem w przeciwnym kierunku.

Wciąż cierpiąc, czując skutki uderzenia zmieniłem szatę i zjadłem posiłek, żeby *o tym* zapomnieć nie byłem wystarczająco wstrząśnięty! Punktualnie w samo południe, kiedy cienie zniknęły, stawilem się u mojego Przewodnika. Gdy mnie zobaczył, z pewnym wysiłkiem przybrał opanowany wyraz twarzy.

- Pewien starszy mnich, Lobsang, przysięga, że był napastowany przez diabła w północnym

korytarzu. Grupa trzech lamów poszła tam, by dokonać egzorcyzmów. Bez wątpienia pomogę im, jeżeli zabiorę tego diabła - ciebie - do Potali, tak jak umówiliśmy się. Chodź!

Odwrócił się i wyszedł z pokoju. Podążałem z tyłu rzucając dookoła lekkie spojrzenia. Ostatecznie człowiek nigdy nie wie na pewno, co może się zdarzyć, kiedy lamowie dokonują egzorcyzmów. Miałem niejasne wyobrażenia, że lecę w powietrzu do jakiegoś nieznanego, prawdopodobnie nieprzyjemnego miejsca przeznaczenia.

Wyszliśmy na zewnątrz. Dwa kuce stały trzymane przez stajennych. Lama Mingyar Dondup wszedł i powoli pojechał w dół zbocza. Udzielono mi pomocy przy wsiadaniu, a jeden ze stajennych żartobliwie klepnął kuca. Kuc również nabrał ochoty na żarty. Opuścił głowę, a jego zad poszedł do góry. Łukiem poleciałem z jego grzbietu. Stajenny przytrzymał zwierzę, podczas gdy ja podnosiłem się z ziemi i oczyściłem się z kurzu. Potem znowu dosiadłem kuca obserwując uważnie, czy stajenny nie próbuje czegoś jeszcze.

Kuc *wiedział*, że ma niezdarę na grzbiecie. Głupie zwierzę podchodziło do najbardziej niebezpiecznych miejsc i zatrzymywało się na samej krawędzi. Tam opuszczało głowę i wpatrywało się gorliwie w skalisty grunt znajdujący się tak daleko poniżej. W końcu zsiadłem i powlokłem kuca za sobą. Tak było szybciej. U podnóża Żelaznej Góry znowu wsiadłem i podążyłem za moim Przewodnikiem do wsi Szó. Miał on tam jakąś sprawę, która zatrzymała nas na parę chwil. Starczyło mi czasu, aby złapać oddech i odzyskać stracony spokój. Potem dosiedliśmy ponownie koni i wspinaliśmy się szeroką Drogą Stopni do Pętali. Z radością oddałem mego kuca czekającym stajennym. Z jeszcze większą radością podążyłem za Lamą Mingyarem Dondupem do jego apartamentu. Moją przyjemność zwiększała świadomość, że miałem tu pozostać co najmniej przez jeden dzień.

Wkrótce nadeszła pora pójścia na modły do Świątyni poniżej. Tutaj, w Potali, modły były - pomyślałem - nadmiernie formalne dyscyplina zbyt surowa. Mając, jak na jeden dzień, głowę zbyt pełną wrażeń, jak również cierpiąc z powodu wielu małych stłuczeń zachowywałem się najlepiej, jak umiałem i modły zakończył się bez incydentów. Stało się teraz regułą, że kiedy mój Przewodnik był w Potali, ja mogłem zajmować mały pokój przylegający do jego pokoju. Poszedłem tam i usiadłem czekając na nowe wydarzenia. Wiedziałem, że Lama Mingyar Dondup wraz z bardzo wysokim urzędnikiem, który ostatnio wrócił z Indii, zajmowali sprawami wagi państwowej. Fascynowało mnie oglądanie z okna położonej w dole Lhasy. Widok był niezrównanie piękny - wierzby zdobiące frędzlami jeziora, złote błyski z Jo Kang, drepczące tłumy pielgrzymów, którzy krzyczyli u stóp Świętej Góry w nadziei ujrzenia Najdostojniejszego (który był w rezydencji) lub przynajmniej jakiegoś wyższego urzędnika. Nie kończący się sznur kupców ze swoimi zwierzętami mijał powoli Pargo Kaling. Rozmyślałem przez chwilę o ich egzotycznych ładunkach, lecz zostało to przerwane przez ciche kroki za moimi plecami.

- Napijemy się herbaty, Lobsang, a potem wrócimy do naszej rozmowy - powiedział mój Przewodnik wchodząc.

Poszedłem za nim do jego pokoju, gdzie zostało rozłożone jedzenie całkiem inne niż zazwyczaj podawane biednemu mnichowi. Oczywiście herbata, lecz również słodycze z Indii. *Bardzo* mi to wszystko smakowało. Normalnie mnisi nigdy nie rozmawiali przy jedzeniu. Uznawano to za brak szacunku dla jedzenia. Jednak tym razem mój Przewodnik powiedział mi, że Rosjanie próbowali sprawić Tybetowi kłopoty i zaczęli wysyłać szpiegów. Wkrótce skończyliśmy posiłek i poszliśmy do pomieszczeń, gdzie Dalaj Lama zgromadził wiele różnych dziwnych urządzeń z dalekich krajów. Przez pewien czas tylko rozglądaliśmy się. Lama Mingyar Dondup pokazywał dziwne przedmioty i objaśniał ich przeznaczenie. Wreszcie zatrzymał się w kącie jednego z pomieszczeń.

- Popatrz na to, Lobsang! - powiedział.

Podszedłem do niego, ale to, co zobaczyłem, nie sprawiło na mnie żadnego wrażenia.

Przed mną na małym stoliku stał szklany słoik. Wewnątrz zwisały dwie cienkie nitki, na końcu każdej była zawieszona mała kulka czegoś, co przypominało rdzeń wierzby.

- *To jest rdzeń!* - skomentował mój Przewodnik oschle, kiedy powiedziałem swoje uwagi o przedmiocie. - Ty, Lobsang - powiedział Lama - myślisz o elektryczności jak o czymś, co powozie

u ciebie porażenie. Jest inny jej rodzaj albo przejaw, który nazywamy elektrycznością statyczną. Teraz patrz!

Ze stołu Lama Mingyar Dondup wziął wypolerowany pręt o długości może dwunastu do czternastu cali. Energicznie potarł go swoją szatę i zbliżył do szklanego słoika. Ku mojemu ogromnemu zdziwieniu dwie kulki odskoczyły od siebie gwałtownie – i *pozostały* oddalone nawet wtedy, kiedy pręt został cofnięty.

- Patrz uważnie! - zachęcił mój Przewodnik.

Właśnie to robiłem. Po kilku minutach kulki wolno opadły pod wpływem siły ciężkości. Wkrótce zwiślały pionowo w dół, tak jak przed eksperymentem.

- Spróbuj ty - polecił Lama wyciągając do mnie czarny pręt.

- Na Błogosławioną Dolmę! - wykrzyknąłem - *Nic dotknę tego!*

Mój Przewodnik śmiał się serdecznie z mojego bardziej niż strapionego wyrazu twarzy.

- Spróbuj, Lobsang - powiedział łagodnie. - Nigdy nie robiłem ci kawałów.

- Tak - mruknąłem - zawsze jest ten pierwszy raz. Weisnął mi pręt. Ostrożnie wziąłem ten straszny przedmiot. Niechętnie, bez przekonania (spodziewając się w każdej chwili porażenia) potarłem go o moją szatę. Nie odczułem żadnych wrażeń, ani porażenia, ani mrowienia. W końcu podniosłem pręt w kierunku szklanego słoika i - *dziw nad dziwy!* - *kulki odskoczyły znowu.*

- Jak widzisz, Lobsang - zauważył mój Przewodnik – prąd przepływa, nawet jeśli nie odczuwasz porażenia. Taka jest elektryczność w mózgu. Chodź ze mną.

Podprowadził mnie do innego stołu, na którym spoczywało niezwykle urządzenie. Zdawało się być kołem, na którego powierzchni były niezliczone metalowe blaszki. Dwa pręty były umocowane w taki sposób, że szczotki z drutu, odchodzące od każdego z nich, lekko dotykały dwóch metalowych blaszek. Druty prowadziły od prętów do dwóch metalowych kul oddalonych od siebie o około stopę. Nie widziałem w tym żadnego sensu.

- Diabelski mechanizm - pomyślałem.

Mój Przewodnik potwierdził to wrażenie swoim następnym ruchem. Chwytając rączkę, która wystawała z tyłu koła, mocno nim zakręcił. Z wściekłym warkotem koło ożyło błyskając i migocząc. Między metalowymi kulami przeskoczył wielki jęzor niebieskiej błyskawicy, sycząc i trzeszcząc. W powietrzu poczułem dziwny zapach, jakby powietrze się paliło. Nie czekałem dłużej. To miejsce było stanowczo *nic* dla mnie. Dałem nura pod największy stół i próbowałem prześlizgnąć się do odległych drzwi.

Syczenie i trzaski ustały zastąpione przez inny dźwięk. Zatrzymałem się i słuchałem w zdumieniu, czy to był *śmiech*? Niemożliwe! Nerwowo wyjrzałem z mojej kryjówki. Lama Mingyar Dondup prawie zgiał się wpół ze śmiechu. Łzy wesołości ciekły mu z oczu, a twarz była czerwona z rozbawienia. Nie mógł złapać oddechu.

- Och, Lobsang! - powiedział wreszcie. - Po raz pierwszy widzę kogoś przestraszonego przez maszynę Wimshursta. Urządzenia te są używane w wielu obcych krajach, żeby można było zademonstrować właściwości elektryczności.

Wyczołgałem się czując się nieco głupio i przyjrzałem się dokładniej dziwnej maszynie.

- Przytrzymam te dwa druty, Lobsang - powiedział Lama – a ty obracaj rączką tak szybko, jak potrafisz. Będziesz widział świecące błyskawice na mnie, lecz to nie będzie mnie ranić ani sprawiać mi bólu. Spróbujmy. Kto wie? Być może *ty* będziesz miał okazję śmiać się ze *mnie!*

Wziął dwa druty, każdy w inną rękę i kiwnął, bym zaczął. Ponuro uchwyciłem rączkę i zakręciłem tak szybko, jak mogłem. Krzyknąłem w zdumieniu, gdy wielkie purpurowe i fioletowe pasma błyskawic przepłynęły przez ręce i twarz mojego Przewodnika. On był zupełnie spokojny. Tymczasem zapach pojawił się znowu.

- Ozon, zupełnie nieszkodliwy - powiedział mój Przewodnik.

W końcu nakłonił mnie, bym trzymał druty, kiedy on kręcił kołem. Syczenie i trzaski były szalenie przerażające, ale odczucie - to podobne bardziej do chłodnego wietrzyku, niż do czegokolwiek innego! Lama wyjął różne szklane przedmioty z pudełka i kolei przyłączał je do

maszyny drutami. Gdy zakręcił kołem, baczyłem w szklanej butelce jasny płomień, a w innych butelkach krzyż i inne metalowe kształty otoczone żywym ogniem. Jednak ani razu nie poczułem porażenia elektrycznego. Za pomocą maszyny Wimshursta mój Przewodnik demonstrował, jak osoba będąca jasnowidzem mogła widzieć ludzką aurę, lecz o tym później.

W końcu zmierzch zakończył nasze eksperymenty i nakłonił do powrotu do pokoju Lamy. Najpierw poszliśmy na wieczorne modły. Nasze życie w Tybecie zdawało się być całkowicie ograniczone potrzebami obrzędów religijnych. Po modłach wróciliśmy do aparatu mojego Przewodnika, Lamy Mingyara Dondupa. Usiedliśmy na podłodze w naszej zwykłej pozycji ze skrzyżowanymi nogami za małym stolikiem o wysokości około czternastu cali między nami.

- Teraz, Lobsang - powiedział mój Przewodnik - możemy zająć się sprawą hipnozy, lecz najpierw musimy omówić funkcjonowanie ludzkiego mózgu. Pokazałem ci - mam nadzieję! - że prąd elektryczny może przepływać przez ciało człowieka bez bólu czy nieprzyjemnych odczuć. Teraz chcę zwrócić twoją uwagę, że kiedy ktoś myśli, wytwarza prąd elektryczny. Nie musimy się zajmować tym, w jaki sposób prąd elektryczny stymuluje włókna mięśniowe i powoduje reakcje. W tej chwili zajmujemy się tylko prądem elektrycznym - falami mózgowymi, które zostały tak dokładnie zmierzone i opisane przez zachodnie nauki medyczne.

Przyznam, że było to dla mnie interesujące, ponieważ w małym i skromnym zakresie doświadczyłem już tego, że myśl miała siłę. Pamiętałem ten pergaminowy, grubo perforowany cylinder, który używałem czasami w Klasztorze i który obracałem mocą myśli.

- Nie uważasz, Lobsang! - powiedział mój Przewodnik.

- Przepraszam, Dostojny Mistrzu - odpowiedziałem. - Zastanawiałem się jedynie nad naturą fal myślowych i przypomniałem sobie, ile przyjemności dał mi ten cylinder, który mi pokazałeś kilka miesięcy temu.

Mój Przewodnik popatrzył na mnie.

- Ty jesteś istotą, indywidualnością i masz swoje własne myśli - powiedział. - Możesz zastanawiać się nad wykonaniem pewnego zadania, takiego jak podniesienie tego różańca. Już podczas planowania działania twój mózg wytwarza prąd elektryczny ze swoich składników chemicznych i fale elektryczne przygotowują twoje mięśnie do zbliżającej się czynności. Gdyby większa siła elektryczna pojawiła się w twoim mózgu, wtedy twój pierwotny zamiar podniesienia tego różańca zostałby udaremniony. Łatwo zauważyć, że jeżeli mógłbym przekonać cię, że nie możesz podnieść tego różańca, wtedy twój mózg - znajdujący się poza twoją bezpośrednią kontrolą - wytworzy i wyśle falę przeciwną. Będziesz wtedy niezdolny do podniesienia różańca lub wykonania zamierzonego działania.

Patrzyłem na niego i myślałem o tym. Rzeczywiście nie rozumiałem, jak mógł wpływać na to, ile elektryczności wytwarzał mój mózg? Myślałem o tym i patrzyłem na niego zastanawiając się, czy powinienem wyrazić głośno swoje wątpliwości. Nie było jednak potrzeby, ponieważ domyślił się ich i pośpiesznie mnie uspokoił.

- Mogę cię zapewnić, Lobsang, że to, co mówię, jest dającym się udowodnić faktem, i że w krajach Zachodu moglibyśmy sprawdzić to wszystko przy pomocy przyrządu, który wykreślałby trzy podstawowe fale mózgu. Tutaj jednak nie mamy takich udogodnień i możemy jedynie rzecz omówić. Mózg generuje elektryczność, generuje fale. Jeżeli zdecydujesz się podnieść rękę, wtedy twój mózg wytworzy fale odpowiadające twojej decyzji. Jeżeli mógłbym - wyrażając to technicznym językiem - wprowadzić ujemny ładunek do twojego mózgu, wtedy twój pierwotny zamiar zostałby udaremniony. Innymi słowy, zostałbyś zahipnotyzowany!

To rzeczywiście zaczynało mieć sens. Widziałem maszynę Wimsnursta, różne doświadczenia przeprowadzone przy jej pomocy i widziałem, jak można było zmienić biegunowość prądu i spowodować w ten sposób jego przepływ w przeciwnym kierunku.

- Dostojny Lamo! - wykrzyknąłem. - W jaki sposób możesz prowadzić prąd do mojego mózgu? Nie możesz otworzyć mi głowy i włożyć do niej trochę elektryczności. Wobec tego, w jaki sposób można to zrobić?

- Mój drogi Lobsangu - powiedział mój Przewodnik - nie jest konieczne dostawać się do twojej głowy, nie muszę wytwarzać elektryczności i przekazywać jej tobie. Mogę przekazać ci

odpowiednie sugestie, po których będziesz przekonany o dokładności moich stwierdzeń czy sugestii. Będziesz wtedy - bez jakiegokolwiek kontroli z mojej strony — sam wytwarzał ten ujemny prąd.

Popatrzył na mnie i dodał:

- Unikam hipnotyzowania kogoś wbrew jego woli, z wyjątkiem przypadków medycznej lub chirurgicznej konieczności, ale myślę, że będzie dobrym pomysłem zademonstrować z twoją pomocą prostą, drobną rzecz dotyczącą hipnozy.

- Och tak, bardzo chciałbym doświadczyć hipnozy! - wykrzyknęłam pośpiesznie.

Uśmiechnął się lekko widząc moją porywczosć.

- Właściwie, Lobsang, czego zazwyczaj nie chciałbyś robić? - pytał. - Pytam cię, ponieważ chcę cię zahipnotyzować, żebyś zrobił coś, czego z dobrej woli nie chciałbyś zrobić. W ten sposób mógłbyś osobiście przekonać się, że robiąc to, działasz pod mimowolnym wpływem.

Myślałem przez chwilę i nie wiedziałem, co odpowiedzieć, było tak dużo rzeczy, których nie chciałem robić! Zostałem wybawiony od dalszych rozmyślań na ten temat przez mojego Przewodnika, który wykrzyknął:

- Wiem! Ani trochę nie pragniesz czytać tego dość powikłanego fragmentu z piątej księgi Kangyur. Bałbyś się, przypuszczam, że pewne terminy tam użyte mogłyby zdradzić fakt, że tego szczególnego tematu nie studiowałeś tak wytrwale, jak życzył sobie tego twój nauczyciel!

Sposępniałem i przyznam, że poczułem jak moje policzki zaczerwieńnięły się z zakłopotania. To była najszczerza prawda, był to szczególnie trudny fragment w Księdze, który sprawiał mi najwięcej kłopotu, jednak w interesie nauki byłem gotowy, by mnie przekonano do przeczytania go. Faktycznie miałem niemal fobię przed czytaniem tego szczególnego fragmentu!

- Księga jest tam, koło okna - powiedział mój Przewodnik z uśmiechem. - Przynies ją, otwórz na tym fragmencie i czytaj go głośno, a jeżeli spróbujesz jej nie czytać - jeżeli będziesz próbował zagmatwać całą rzecz - wtedy doświadczenie wyjdzie dużo lepiej.

Niechętnie poszedłem, wziąłem Księgę. Z oporem przewracałem kartki. Nasze tybetańskie strony są dużo większe - i dużo cięższe - niż w zachodnich książkach. Gmerałem i gmerałem, i przeciągałem wszystko tak długo, jak się dało. W końcu jednak obróciłem na właściwą stronę. Przyznam, że ten szczególny fragment, z powodu pewnego wcześniejszego incydentu z nauczycielem, naprawdę sprawiał, że czułem się prawie fizycznie chory.

Stałem tam z Księgą przede mną, próbowałem jak umiałem i nie mogłem wymówić tych słów. Może wydawać się to dziwne, lecz było to faktem, ponieważ zostałem tak źle potraktowany przez nie rozumiejącego mnie nauczyciela, że rozwinęła się we mnie prawdziwa nienawiść do tych świętych zdań. Mój Przewodnik popatrzył na mnie - nic więcej - tylko popatrzył na mnie, a wtedy coś jakby przełączyło się w mojej głowie i stwierdziłem z niemałym zdziwieniem, że czytam, nie po prostu "czytam", lecz czytam płynnie, z łatwością, bez śladu wahania. Kiedy dotarłem do końca akapitu, miałem najbardziej niewytłumaczalne doznanie. Położyłem Księgę, poszedłem na środek pokoju i stanąłem na głowie!

- Jestem szalony! - pomyślałem. - Co pomyśli o moim kompletnie głupim zachowaniu mój Przewodnik?

Wtedy przyszło mi do głowy, że mój Przewodnik nakłonił mnie - wywierając na mnie wpływ - do takiego zachowania. Szybko skoczyłem na nogi i zobaczyłem, że uśmiechał się do mnie bardzo życzliwie.

- Naprawdę łatwo jest, Lobsang, wpłynąć na kogoś. Nie ma w tym nic trudnego, jeżeli się opanuje podstawowe zasady. Jedyne myślałem o pewnych rzeczach, a ty przejmowałeś moje myśli telepatycznie. To spowodowało, że twój mózg zareagował w przewidziany przeze mnie sposób. W twoim normalnym wzorze fal mózgowych zostały wywołane pewne fluktuacje, które wytworzyły ten całkiem interesujący efekt!

- Dostojny Lamo! - powiedziałem. - Czy to znaczy, że jeżeli możemy wywołać w czyimś mózgu prąd elektryczny, to możemy nakłonić tę osobę, by zrobiła wszystko, co zechcemy?

- Nie, to tego nie oznacza - odpowiedział mój Przewodnik. - Znaczy to natomiast, że jeżeli możemy przekonać jakąś osobę, by podjęła pewne działanie, i kiedy działanie, do którego

pragniemy namówić, nie jest sprzeczne z przekonaniem tej osoby, wtedy ona niewątpliwie to zrobi, po prostu dlatego, że jej fale mózgowy zostały zmienione. Nie ma znaczenia jej pierwotny zamiar, będzie ona reagować, jak zasugerował hipnozyter. W większości przypadków, kiedy osoba otrzymuje sugestię od hipnotyzera, nie jest to rzeczywisty wpływ wywierany przez hipnotyzera, tylko wpływ sugestii. Hipnotyzer, stosując pewne małe triki, może nakłonić ofiarę do działania przeciwnego do pierwotnie zamierzonego.

Popatrzył na mnie poważnie przez moment i dodał:

- Oczywiście ty i ja mamy jeszcze inne zdolności. Będziesz mógł hipnotyzować ludzi natychmiast, nawet wbrew ich woli. Ten dar został ci dany z powodu szczególnego charakteru twojego życia, z powodu ogromnych trudów, z powodu wyjątkowej pracy, którą będziesz musiał wykonać.

Usiadł i popatrzył na mnie, aby określić, czy przyswoilem informację, jaką mi podał. Usatysfakcjonowany mówił dalej:

- Później - jeszcze nie teraz - dowiesz się dużo więcej o hipnozie i jaki sposób hipnotyzować szybko. Chcę ci też powiedzieć, że twoje zdolności telepatyczne zostaną zwiększone, ponieważ kiedy będziesz podróżować daleko stąd, do innych krajów, będziesz musiał utrzymywać z nami kontakt przez cały czas, a najszybszym i najdokładniejszym sposobem jest telepatia.

Przygębilo mnie to wszystko. Wydawało mi się, że cały czas uczę się czegoś nowego, a im więcej się nauczyłem, tym mniej czasu zostawało dla mnie samego. Wydawało mi się, że przybывало mi coraz więcej pracy, a nic nie ubywało!

- Ale Dostojny Lamo! - powiedziałem. - Jak działa telepatia? Wydaje się, że nic się między nami nie dzieje, a jednak ty wiesz prawie wszystko, co ja myślę, zwłaszcza wtedy, kiedy tego nie chcę!

Mój Przewodnik popatrzył na mnie, roześmiał się i powiedział:

- Telepatia to naprawdę całkiem prosta sprawa. Ktoś jedynie musi kontrolować fale mózgowy. Popatrz na to w ten sposób: myślisz, twój mózg wytwarza prądy elektryczne, które zmieniają się zgodnie ze zmianami twojej myśli. Normalnie twoje myśli powodują taką aktywację mięśni, że kończyna może zostać podniesiona lub opuszczona. Możesz myśleć o pewnym oddalonym przedmiocie, bez względu na odległość twoja energia mentalna będzie transmitowana - to znaczy, że energia z twojego mózgu będzie emitowana na oślep we wszystkich kierunkach. Gdyby była jakaś metoda, za pomocą której mógłbyś skupić swoją myśl, wtedy mogłaby być dużo bardziej intensywna w miejscu, w którym zostałaby skupiona.

Popatrzyłem na niego i przypomniałem sobie mały eksperyment, który pokazał mi jakiś czas wcześniej. Byliśmy w tym samym miejscu co teraz, to znaczy wysoko na Szczycie (jak my, Tybetańczycy, nazywamy Potale). Lama, mój Przewodnik, zapalił w ciemnościach nocy małą świeczkę i jej światło słabo migotało wokoło. Potem umieścił przed świeczką szkło powiększające i, regulując jego odległość od płomienia, mógł wyświetlić na ścianie dużo jaśniejszy obraz płomienia świecy. Aby zwiększyć efekt, umieścił błyszczącą powierzchnię za świeczką i ta z kolei skupiała światło jeszcze bardziej, tak że obraz na ścianie był jeszcze większy. Wspomniałem mu o tym.

- Tak! - powiedział. - Masz rację. Przez różne sztuczki możliwe jest skoncentrowanie myśli i wysłanie jej w pewnym, z góry określonym, kierunku. Rzeczywiście każda osoba ma coś, co możemy określić jako indywidualną długość fali. To znaczy, że emitowanej z mózgu każdej osoby energii na podstawowej fali odpowiada ściśle określony szereg oscylacji. Jeśli moglibyśmy określić szybkość oscylacji podstawowej fali mózgowy innej osoby i dostroić się do tej podstawowej oscylacji, nie mielibyśmy żadnych trudności w przenoszeniu naszej informacji za pomocą tak zwanej telepatii, niezależnie od odległości.

Patrzył na mnie stanowczo i dodał:

- Musisz sobie jasno uświadomić, Lobsang, że odległość nie znaczy nic, jeżeli chodzi o telepatię, telepatia może przekraczać oceany, a nawet światy!

Przyznam, że bardzo pragnąłem osiągnąć więcej w dziedzinie telepatii, mogłem sobie wyobrazić siebie rozmawiającego z ludźmi będącymi w innych klasztorach, takich jak Sera, czy

nawet dalekich okręgach. Zdawało mi się jednak, że wszystkie moje wysiłki muszą zostać poświęcone rzeczom, które mogły pomóc mi w przyszłości, przyszłości - która zgodnie ze wszystkimi przepowiedniami miała być naprawdę ponura.

Mój Przewodnik przerwał znowu moje myśli.

- Sprawami telepatii zajmiemy się później. Zajmiemy się również sprawami jasnowidzenia, ponieważ będziesz miał niezwykłą zdolność jasnowidzenia i będzie ci łatwiej, jeżeli będziesz świadom mechanizmu tego procesu. Wszystko obraca się wokół fal mózgowych i wchodzenia w Kronikę Akaszy. Ale zapadła już noc, musimy za chwilę przerwać naszą dyskusję i przygotować do snu, żebyśmy mogli w godzinach nocy wypocząć do czasu pierwszych modłów.

Wstaliśmy. Pokłoniłem się mu z szacunkiem. Pragnąłem móc leniej okazać głęboki szacunek, jaki czułem dla tego wielkiego człowieka, tak przyjaznego dla mnie.

Krótki, przelotny uśmiech pojawił się na jego ustach. Podeszedł i poczułem jego ciepłe klepięcie po ramieniu. Delikatne klepięcie.

- Dobranoc, Lobsang - powiedział. - Nie możemy zwlekać dłużej, bo znowu będziemy śpiochami niezdolnymi do obudzenia się, kiedy przyjdzie czas, by pójść na modły.

W swoim pokoju stałem przez kilka chwil przy oknie. Wpadało przez nie zimne, nocne powietrze. Patrzyłem na światła Lhasy i rozmyślałem nad tym wszystkim, co mi powiedziano i nad tym, czego jeszcze miałem się nauczyć. Było dla mnie oczywiste, że im więcej się uczyłem - tym więcej było do nauczenia i byłem ciekawy, gdzie może być tego koniec. Z westchnieniem, być może z rozpaczy, zawiązałem się ciałniej w moją szatę i ułożyłem na podłodze do snu.

Rozdział VII

Z gór wiał bardzo zimny wiatr. Kurz i małe kamyczki mknęły w powietrzu i większość z nich zdawała się celować prosto w nasze skurczone ciała. Stare, mądre zwierzęta stały z głowami nachylonymi do wiatru tak, żeby ich sierść nie była mierzwiiona i nie powodowało to strat ciepła ciała. Skręciliśmy na zakręcie z Mundu Ling i zwróciliśmy się do Mani Lhakhang. Nagły podmuch wiatru, jeszcze silniejszy niż inne, wpadł pod szatę jednego z moich towarzyszy i został on porwany, z okrzykiem przerażenia, w powietrze jak latawiec. Patrzyliśmy do góry, przejęci grozą, z otwartymi ustami. Zdawał się lecieć do Miasta - ręce miał rozłożone, szaty rozwiane, czyniące go olbrzymem. Potem nastąpiła cisza i spadł jak kamień do Kaling Czu! Na ten widok pogналиśmy jak szaleni obawiając się, że może utonąć. Kiedy dotarliśmy na brzeg, on - Yułgye - zdawał się stać po kolana w wodzie. Wichura zerwała się z nową siłą, obracając Yułgye dookoła i rzucając go z powrotem w nasze ramiona. Dziw nad dziwy, był całkiem mokry, tylko od kolan w dół. Pośpieszyliśmy dalej, trzymając szaty ciasno wokół nas, żeby nie zostać porwanymi w powietrze.

Maszerowaliśmy wzdłuż Mani Lhakhang, i był to łatwy marsz! Porywy wichury wiały nam w plecy. Naszym jedynym problemem było utrzymanie pionowej pozycji! We wsi Szó grupa dam z wyższej sfery szukała schronienia. Zawsze lubiłem odgadywać tożsamość osób za skórzany maskami na twarzach. Im "młodsza" twarz namalowana była na skórze, tym starsza kobieta ją nosiła. Tybet jest okrutnym i surowym krajem, z wyjątkami wiatrami niosącymi z gór strumienie piasku i kamieni. Mężczyźni i kobiety często noszą skórzane maski jako ochronę przed nawałnicami. Te maski, z wycięciami na oczy i innym wycięciem do oddychania, niezmiennie przedstawiały namalowane wyobrażenia o sobie osób je noszących!

- Chodźmy na ulicę sklepów! - wrzasnął Timon usiłując być słyszany przez wichurę.

- Strata czasu! - krzyknął Yułgye. - Podczas takiej wichury sprzedawcy zakładają okiennice. W przeciwnym razie, cały ich towar zostałby zdmuchnięty.

Przyspieszyliśmy idąc co najmniej dwa razy szybciej niż zwykle. Przechodząc przez Turkusowy Most musieliśmy trzymać się nawzajem, siła wiatru była tak duża. Patrząc do tyłu widzieliśmy, Potala i Żelazna Góra były zakryte czarną ponurą chmurą. Chmura składała się z cząstek kurzu i małych kamieni porywach i niesionych z wiecznych Himalajów. Przyspieszyliśmy

wiedząc, że czarna chmura dogoniłaby nas, gdybyśmy byli opieszali. Minęliśmy dom Doring, znajdujący się tuż za Wewnętrznym Kręgiem wokół ogromnego Jo Kang. Z rykiem nawałnica uderzyła w nas, bijąc po niechronionych głowach i twarzach. Timon instynktownie podniósł ręce, żeby chronić oczy. Wiatr chwycił szatę i porwał ją wysoko ponad jego głowę, pozostawiając go nagim jak obrany banan, akurat przed katedrą Lhasy.

Kamienie i gałazki kręcąc się nadleciały w dół ulicy w naszym kierunku, tłukąc w nasze nogi i czasami kalecząc do krwi. Niebo czerniało, stało się ciemniejsze niż w nocy. Popychając przed sobą Timona zmagającego się z trzepoczącą szatą, która wirowała kół jego głowy, weszliśmy do Sanktuarium Świętego Miejsca. wewnątrz panował *spokój*, doskonały spokój, kojący spokój. Tu od około tysiąca trzystu lat przychodzili pobożni, by się modlić. Nawet ściany budowli promieniowały świętością. Kamienna podłoga została pozebrowana i wyżłobiona stopami pokoleń pielgrzymów. Nawet powietrze wydawało się być żywe. Tak dużo kadzidła spalono tu przez wieki, że zdawało się ono obdarzać to miejsce własnym duchowym życiem.

Poczerniałe od wieku kolumny i belki wylańczały się z wiecznego mroku. Słabo połyskujące złoto odbijające światło maślanych lampek i świec mało przyczyniało się do rozświetlenia mroku. Drobnie migoczące płomyki zmuszały cienie Świętych Figur do groteskowego tańca na ścianach Świątyni. Bóg tańczył z Boginią w nie kończącej się grze światła i cienia, gdy nie kończący się pochód pobożnych pielgrzymów przechodził obok lamp.

Wielkie stopy klejnotów migotały różnokolorowymi punktami światła. Diamenty, topazy, beryl, rubiny i jadeity błyskały właściwym sobie światłem, tworząc wciąż zmieniający się wzór, kalejdoskop kolorów. Wielka, azurowa, żelazna sieć z oczkami na tyle małymi, by nie mogła przez nie przejść ręka, chroniła klejnoty i złoto przed tymi, których chciwość przewyższała ich uczciwość. Tu i tam w połyskującym mroku za żelaznymi zasłonami błyszczały pary czerwonych oczu jako dowód tego, że świątynne koty były zawsze w pogotowiu. Nieprzekupne, nie biorące łapówek, nie bojące się ani człowieka ani zwierzęcia, wędrowały bezgłośnie na aksamitnych łapach. Lecz te miękkie stopy miały ukryte, a wystawiane w gniewie, ostre jak brzytwa pazury. Były to koty o niezrównanej mądrości. Wystarczyło im, że popatrzyły na kogoś i znały już jego zamiary. Podejrzany ruch w kierunku klejnotów, których strzegły, i stawały się wcieleniem diabła. Działając parami, jeden rzuciłby się do gardła niedoszłego złodzieja, podczas gdy drugi wczepiłby się w prawe ramię. Tylko śmierć mogła rozluźnić ich chwyt, chyba że szybko przyszlby towarzyszący mnisi...! Do mnie i do innych, którzy jak ja kochali je, koty mogły łąsić się i mrużyć, i pozwalały nam bawić się bezcennymi klejnotami. Bawić się, lecz nie zabrać. Wszystkie czarne, z jaskrawo niebieskimi oczami, które płonęły krwawą czerwienią w odbitym świetle, znane były w innych krajach jako koty "syjamskie". Tu, w zimnym Tybecie, *wszystkie* były czarne. Słyszałem, że w krajach tropikalnych wszystkie one są białe.

Wędrowaliśmy dookoła, okazując nasz szacunek dla złotych posągów. Na zewnątrz nawałnica ryczała i kurzyła, porywając wszystkie nie przymocowane przedmioty i stwarzając niebezpieczeństwo dla nieostrożnych podróżników, zmuszonych przez pilne sprawy do przebywania na wystawionych na wiatr drogach. Tu jednak, w Świątyni, wszystko było ciche, poza przytłumionym "szur-szur" wielu stóp pielgrzymów odbywających swoje procesje i nieprzerwanym "klak-czak" wiecznie obracających się młynków modlitewnych. Lecz my nie słyszeliśmy ich. Dzień za dniem, noc za nocą, młynki obracały się i obracały ze swoim "klak-czak, klak-czak, klak-czak", aż stały się częścią naszej egzystencji - nie słyszeliśmy ich bardziej, niż słyszymy bicie naszych serc lub nasz oddech.

Lecz tam *był* inny dźwięk. Chrapliwe, zgrzytliwe *mru-mru* i pobrząkiwanie metalowej zasłony, kiedy stary kocur uderzał w nią głową, żeby przypomnieć mi, że on i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi. Leniwie przepchnąłem palce przez oczka i podrapałem mu głowę. Delikatnie "ugryzł" moje palce na powitanie, a potem jego szorstki stary język prawie zdrapał mi skórę w ferworze lizania! Podejrzany ruch w głębi Świątyni - i pomknął jak błyskawica, aby chronić "swoją" własność.

- Chciałbym żebyśmy pooglądali sklepy! - wyszeptał Timon.
- Głupi! - wyszeptał Yulgye. - *Wiesz*, że są zamknięte w czasie zawieruchy.

- *Cicho, chłopcy!!* - powiedział srogi Nadzorca wychodząc z półmroku i wymierzając cios, który wytrącił biednego Timona z równowagi i powalił go na podłogę.

Stojący w pobliżu mnich popatrzył z niesmakiem na tę scenę i furią zakręcił swoim młynkiem modlitewnym. Wielki Nadzorca, prawie siedem stóp wzrostu, stał ponad nami jak ludzka góra i syczał:

- Jeśli chłopcy wydadcie jeszcze jakiś pisk... własnymi rękami podrywam was na kawałki i wyrzucę na zewnątrz psom. Teraz bądźcie *cicho!*

Na koniec rzucił w naszą stronę groźne spojrzenie, odwrócił się zniknął w półmroku. Ostrożnie, obawiając się nawet szelestu swojej szaty, Timon podniósł się na nogi. Zdjęliśmy sandały i na palcach poszliśmy do drzwi. Na zewnątrz ciągle szalała wichura. Górskich szczytów spływały nieprzerwanym potokiem proporce oślepiająco białego śniegu. Z niższych obszarów, z Potali i Czakpori płynęły *czarne* strumienie kurzu i kamieni. Świętą Drogą wielkie kolumny kurzu pędziły do Miasta. Wiatr wył i piszczął, jak gdyby diabły oszalały i grały wściekłą kakofonię bez sensu i rozum.

Trzymając się nawzajem, z trudem posuwaliśmy się na południe wokół Jo Kang, szukając schronienia w niszy za budynkiem Rady. Potoki burzliwego powietrza groziły uniesieniem nas z ziemi i uderzeniem o ścianę Klasztoru Tsang Kung. Drżeliśmy na tę myśl szyliśmy do naszego schronienia. Dotarliśmy do celu, odchyliliśmy się do tyłu, a nasze oddechy wpadły w wielki szloch z wysiłku, który uczyniliśmy.

- ***** - powiedział Timon. - Chciałbym rzucić urok na tego nadzorcę! Twój Dostojny Przewodnik mógłby to uczynić, Lobsang. Być może mógłbyś go przekonać, żeby zamienił tego ***** w świnię - dodał z nadzieją.

Potrząsnąłem głową.

- Jestem pewien, że nie zrobiłby tego - odpowiedziałem - ponieważ Lama Mingyar Dondup nigdy nie wyrządza krzywdy człowiekowi czy zwierzęciu. Mimo to *byłoby* miło zamienić Nadzorcę w coś innego. *Był* tchórzem znęcającym się nad słabszymi!

Wichura uspokajała się. Mniej przenikliwy był chłód wiatru wokół okapów. Porwane przedtem przez wiatr kamyki spadały teraz na drogi i stukotały o dachy. Kurz nie wdierał się już tak bardzo do naszych szat. Tybet jest krajem wysoko położonym i wystawionym na wiatr. Wiatry gromadzą się za pasmami gór i ruszają z furią przez przełęcze, często strącając wędrowców w wąwozy na pewną śmierć. Porywy wiatru ryczały w klasztornych korytarzach, wymiatając je do czysta, wywiewając kurz i śmieci, a potem wyły w dolinach i otwartych przestrzeniach rozciągających się dalej.

Wrzawa i tumult zamarły. Ostatnia z burzowych chmur przepłynęła przez niebo, pozostawiając purpurowe i czyste sklepienie niebieskie. Bił w nas ostry blask słońca, oślepiając nas swoją jasnością po ciemności i mroku burzy. Ze zgrzytliwym skrzypieniem ostrożnie otwierano drzwi, wystawiano głowy i oceniano szkody. Biedna stara pani Raks, przy której domu staliśmy, miała frontowe okna swego domu wwiane do środka, a tylne - wywiane. W Tybecie okna są robione z grubego, naoliwionego papieru, natłuszczonego tak mocno, że można przez nie widzieć jedynie przy pewnym wysiłku wzroku. Szyby w Lhasie są rzeczywiście rzadkością, a papier zrobiony z często występującej tutaj wierzby i sitowia jest tani. Wyszliśmy przed dom - Czakpori - zatrzymując się przy wszystkim, co przyciągało nasze spojrzenia.

- Lobsang! - powiedział Timon - *sklepy będą teraz otwarte!* Chodź, to nie potrwa długo!

Mówiąc to obrócił się w prawo i przyspieszył kroku. Yulgye i ja ruszyliśmy za nim bez najmniejszej oznaki oporu. Przybywszy na Ulicę Sklepów rozglądaliśmy się ciekawie dookoła. Jakie cuda tam były! Wszystko przenikała woń herbaty i różnorodnych kadzideł z Indii i Chin. Biżuteria i rzeczy nawet z Niemiec, tak dla nas dziwne, bo o nieznanym przeznaczeniu. Dalej doszliśmy do sklepu, gdzie sprzedawano słodczyce. Lizaki na patykach, ciastka pokryte białym cukrem lub kolorowym lukrem. Patrzyliśmy na nie z ochotą. Jako biedni czele nie mieliśmy pieniędzy i nie mogliśmy niczego kupić, ale patrzeć można było za darmo.

Yulgye trącił mnie łokciem i wyszeptał:

- Lobsang, ten duży mężczyzna, czy nie jest to Tzu, który opiekował się tobą?

Odwróciłem się i spojrzałem w kierunku, który wskazał. Tak! To był Tzu. Tzu, który nauczył mnie tak wiele i który był dla mnie tak bardzo surowy. Instynktownie podszedłem do niego i uśmiechnąłem się do niego.

- Tzu! - powiedziałem. - ja jestem...

Spojrzał na mnie groźnie i warknął.

- Odejdźcie, chłopcy, nie przeszkadzajcie uczciwemu obywatelowi zajmować się swoimi sprawami. Nie możecie żebrać *u mnie*. Odwrócił się nagle i odszedł. Poczułem, że moje oczy wilgotnieją i przestraszyłem się, że mogę ośmieszyć się przed moimi przyjaciółmi. Nie, nie mogłem pozwolić sobie na łyzy, ale Tzu zignorował mnie, udał, że mnie nie zna. Tzu, który nauczał mnie od urodzenia. Przypominałem sobie, nauczył mnie jeździć na moim kucu Nakkim, jak uczył mnie zapasów. A teraz wyparł się mnie - odtrącił mnie. Zwiesiłem głowę ponuro rozcierałem kurz nogą. Moi dwaj towarzysze stali przy mnie w milczeniu, zakłopotani, czując to samo, czując, że również zostali zlekceważeni. Nagły ruch zwrócił moją uwagę - starszy, brodaty Hindus noszący turban szedł powoli w moją stronę.

- Młody panie! - powiedział swoim dziwnie akcentowanym tybetańskim - widziałem wszystko, lecz nie myślę źle o tym człowieku. Niektórzy z nas zapomnieli o swoim dzieciństwie, ja nie. Chodźcie ze mną.

Poprowadził nas do sklepu, w który niedawno tak się wpatrywaliśmy.

- Pozwól tym młodym ludziom coś sobie wybrać - powiedział sklepikarza.

Nieśmiało każdy z nas wziął po jednej z tych wspaniałych lepkich rzeczy i uklonił się z wdzięcznością Hindusowi.

- *Nie! Nie!* - zawołał. - Jedna nie wystarczy, weźcie jeszcze po jednej.

Zrobiliśmy tak, a on zapłacił uśmiechającemu się sklepikarzowi. Panie - powiedziałem żarliwie - niech błogosławieństwo Buddy będzie z tobą i cię chroni. Niech twoich radości będzie wiele!

Uśmiechnął się życzliwie do nas, nieznacznie uklonił i wrócił do swoich spraw.

Powoli podążyliśmy do domu, powoli jedząc nasze słodycze, żeby pozostały nam tak długo, jak to tylko możliwe. Prawie zapomnieliśmy, jak takie rzeczy smakują. A te smakowały lepiej niż inne, ponieważ zostały nam ofiarowane z takimi dobrymi uczuciami. Gdy tak szliśmy, pomyślałem, że najpierw mój ojciec zignorował mnie na stopniach Potali, a teraz zignorował mnie Tzu. Yulgye przerwał milczenie.

- Co za zabawny świat, Lobsang. Teraz, będąc chłopcami, jesteśmy lekceważeni i strofowani. Kiedy będziemy lamami, Czarnogłowi sami przyjdą zabiegać o naszą łaskę!

W Tybecie laicy są określanii jako "Czarnogłowi", gdyż mają włosy na głowie - mnisi oczywiście mają głowy ogolone.

Tego wieczora podczas modłów byłem bardzo uważny. Postanowiłem ciężko pracować, żeby jak najszybciej zostać lamą - wtedy i ja mógłbym kroczyć wśród tych "Czarnogłowych" i pomiać nimi, gdy będą zabiegali o moje usługi. Byłem rzeczywiście tak uważny, że zauważył to Nadzorca. Spojrzał na mnie z dużą podejrzliwością myśląc, że taka pobożność jest u mnie czymś całkowicie nienaturalnym! Gdy tylko modły dobiegły końca, pośpieszyłem do mojego pokoju wiedząc, że nazajutrz czeka mnie pracowity dzień z Lamą Mingyarem Dondupem. Przez pewien czas nie mogłem zasnąć. Miotalem się i przewracałem z boku na bok, myśląc o przeszłości i o trudach, jakich doznawałem.

Rano wstałem, zjadłem śniadanie i postanowiłem wybrać się do kwater lamów. Gdy opuszczałem pokój, jakiś niezdarne mnich w obszarpanej szacie rzucił się na mnie.

- Hej, ty! - powiedział. - Ty pracujesz dziś w kuchni i czyścisz kamienie młyńskie!

- Ależ Panie! - odpowiedziałem - mój Przewodnik Lama Mingyar Dondup mnie potrzebuje.

Próbowałem precyzyjnie się obok niego.

- Nie, idziesz ze mną. Wszystko jedno, *kto* cię potrzebuje, ja ci powiadam, że idziesz pracować do kuchni.

Chwyił moją rękę i wykręcił ją tak, że nie mogłem uciec. Poszedłem z nim niechętnie, nie było wyboru.

W Tybecie wszyscy po kolei wykonujemy *slużebne* prace fizyczne.

- To uczycie pokory! - mówią jedni.

- Chroni chłopca przed zarozumiałością! - mówią inni.

- Likwiduje podziały klasowe! - mówią jeszcze inni. Chłopcy - i mnisi - pracują przy każdym wyznaczonym zadaniu wyłącznie dla dyscypliny. Oczywiście, istniała grupa mnichów niższego stopnia zajmujących się pracami gospodarskimi, lecz chłopcy i mnisi *wszystkich* stopni musieli po kolei wykonywać najprymitywniejsze i najmniej przyjemne czynności jako trening. Nienawidziliśmy tego, ponieważ wszyscy późniejsi ludzie zazwyczaj wykonujący te prace traktowali nas jak niewolników, dobrze wiedząc, że nie możemy się poskarżyć. Poskarżyć się? To *znaczyło* być opornym!

Kamiennym korytarzem poszliśmy w dół. Po stopniach zrobionych z dwóch drewnianych podestów z poprzecznie umocowanymi belkami, do wielkiej kuchni, gdzie tak dotkliwie poparzyłem sobie nogę.

- Tam! - powiedział mnich, który mnie przyciągnął. - Właż tam i wyczyść rowki w kamieniach.

Podnosząc ostry metalowy szpikulec wdrapałem się na jedno z wielkich kół mielących jęczmień i pracowicie wydłubywałem zmiążdżone szczątki zalegające w rowkach. Kamień był zaniedbany i zamiast mleć jęczmień, niszczył go. Moim zadaniem było "oporządzić" jego powierzchnię tak, żeby była znowu ostra i czysta. Mnich stał obok, leniwie dłubiąc w zębach.

- Hej! - wrzasnął czyjś głos przy wejściu. - Wtorek Lobsang Rampa. Jest tutaj Wtorek Lobsang Rampa? Dostojny Lama Mingyr Dondup wzywa go natychmiast.

Instynktownie wstałem i zeskoczyłem z kamienia.

- Tu jestem! - zawołałem.

Mnich zwinęta w pięść ręką dzielił mnie mocno w głowę, zwalając na ziemię.

Powiadam ci, że masz tu zostać i skończyć swoją robotę - ryknął. - Jeśli ktoś cię wzywa, niech sam tutaj przyjdzie. Złapał mnie za kark, podniósł i wrzucił na kamień. Uderzyłem głową o narożnik i wszystkie gwiazdy na niebie zapłonęły w mojej świadomości, a potem zniknęły pozostawiając pusty i ciemny świat.

Dziwne, miałem wrażenie, że się unoszę - unoszę poziomo - a potem stanąłem na nogach. Gdzieś jakiś wielki gong o głębokich tonach zdawał się wybijać sekundy życia. Rozbrzmiewało "bong-bong-bong" i z końcowym uderzeniem poczułem, że zostałem rażony błękitną błyskawicą. Na chwilę świat rozjaśnił się, oświetlony rodzajem żółtawego światła, światła, w którym mogłem widzieć wyraźniej niż zwykle.

- Ooo - powiedziałem do siebie - więc ja jestem poza ciałem! Och! Jak dziwnie wyglądam!

Miałem duże doświadczenie w astralnych wędrówkach. Wędrowałem daleko poza krańce naszej starej Ziemi i wędrowałem także do wielu największych miast na tym globie. Teraz jednak pierwszy raz doświadczyłem "wyskoczenia z ciała". Stałem przy wielkim kamieniu młyńskim patrząc z niesmakiem w dół na leżącą na kamieniu parszywie małą postać w bardzo postrzępionej szacie. Spojrzałem uważniej i dostrzegłem, jak moje ciało astralne jest połączone z tą sponiewieraną postacią niebieskobiałym sznurem, który falował i pulsował, to rozjaśniając się, to przygasając. Potem przyjrzałem się dokładniej mojemu ciału na kamiennej płycie i przeraziło mnie wielkie rozcięcie nad lewą skronią, skąd sączyła się ciemnoczerwona krew. Kapała ona na rowki w kamieniu i mieszała się trwale z nie wydłubanymi stamtąd szczątkami.

Nagle poruszenie zwróciło moją uwagę. Gdy obróciłem się, ujrzałem mojego Przewodnika, Lamę Mingyara Dondupa, jak wchodził do kuchni z twarzą pobladłą od gniewu. Wkroczył i zatrzymał się dokładnie przed mnichem przełożonym kuchni - mnichem, który tak źle mnie potraktował. Nie padło ani jedno słowo, żadne słowo, panowała śmiertelna cisza. Wydawało się, że przenikliwe oczy mojego Przewodnika wysyłają błyskawice przeszywające mnicha kucharza, który przypominając przebitą balon osunął się w bezwładną masę na kamienną podłogę. Bez rzucenia nań drugiego spojrzenia mój Przewodnik odwrócił się do mojej ziemskiej postaci, rozciągniętej i oddychającej chrapliwie na tym kamiennym kręgu.

Rozejrzałem się. Urzekła mnie myśl, że mogłem teraz wychodzić z ciała na małe odległości. Chodzenie na "dalekie podróże" w astralu było niczym. Zawsze potrafiłem to robić, lecz wrażenie

opuszczenia siebie i patrzenia na swoją ziemską cielesną powłokę było nowym, fascynującym doznaniem.

Nie troszcząc się przez chwilę o zdarzenia wokół mnie, pozwoliłem sobie unosić się - unosić się w górę przez strop kuchni.

- Och! – powiedziałem mimo woli, kiedy przeniknąłem przez kamienny strop do pokoju wyżej. Siedziała tam grupa lamów pogrążonych w głębokiej kontemplacji. Patrzyłem z zaciekawionym na rodzaj modelu świata, jaki mieli przed sobą. Była to okrągła kula z naniesionymi kontynentami, lądami, oceanami i morzami. Kula była nachylona pod kątem odpowiadającym kątowni nachylenia Ziemi w przestrzeni. Nie zabawiłem tam długo, zbyt dobrze przypominało mi to jakąś szkolną lekcję, powędrowałem wyżej. Przez inny sufit, przez następny i jeszcze inny i wtedy dotarłem do Komnaty Grobów! Wspaniałe złote ściany wokół mnie dźwigały groby Inkarnacji Dalaj Lamy z minionych stuleci. Pozostałem tam przez kilka chwil w pełnej szacunku kontemplacji, a potem znowu pozwoliłem sobie wędrować wyżej, wyżej, aż wreszcie ujrzałem pod sobą wspaniałą Potalę z całym jej lśniącym złotem, z jej szkarłatem i purpurą, i cudownie białymi murami, które zdawały się wtapiać w żywą skałę góry.

Kierując spojrzenie nieznacznie w prawo mogłem zobaczyć wieś Shö, a za nią Lahsę na tle błękitnych gór. Gdy tak unosiłem się mogłem widzieć bezgraniczne przestrzenie naszego pięknego i kochanego kraju, kraju, który mógł być okrutny i srogi z powodu kapryśnych nieprzewidywalnej pogody, lecz który dla mnie – był *domem!*

Bardzo ostre szarpnięcie zwróciło moją uwagę i poczułem się ściągany, podobnie jak ja często ściągałem latawiec szybujący na niebie. Opadałem niżej, coraz niżej do Pętali, przez podłogi stojące się sufitami i znowu przez podłogi, aż wreszcie dotarłem do celu stałem znowu przy moim cielesnym ciele w kuchni.

Lama Mingyar Dondup delikatnie przemywał moją lewą skroń usuwając z niej odłamki.

- Wielki Boże - powiedziałem do siebie głęboko zdumiony - czy moja głowa jest tak twarda, że rozbiła lub ukruszyła kamień?

Potem zobaczyłem, że mam małe pęknięcie, widziałem również, że większość usuwanych z mojej głowy drobin stanowiły zanieczyszczenia - okruchy kamienia i resztki osadzonego w nim jęczmienia. Przyglądałem się temu z zainteresowaniem i - przyznaję - pewną przyjemnością, że stałem obok ciała w swoim cielesnym astralnym i nie czułem ani bólu, ani niewygod, tylko spokój.

Wreszcie Lama Mingyar Dondup zakończył swoje czynności i mi na głowę opatrunek, ziołowy kompres, który obwiązał jedwabnymi tasiemkami. Potem skinął na dwóch mnichów stojących z noszami i nakazał im ostrożnie mnie podnieść.

Ludzie ci, mnisi z mojego własnego Zakonu, delikatnie unieśli mnie i umieścili na noszach. Zostałem wyniesiony. Lama Mingyar Dondup siedział obok.

Rozglądałem się wokół z niemałym zdziwieniem. Światło zanikało, czy też trwało to tak długo, że dzień się już kończył? Zanim znalazłem odpowiedź, stwierdziłem, że ja też zaczynam zanikać. Żółty i błękitny odcień duchowego światła traciły intensywność i poczułem się całkowicie przytłoczony, całkowicie opanowany pragnieniem odpoczynku - spać i nie przejmować się niczym.

Przez pewien czas nie czułem nic więcej, a potem moją głowę poraziły rozdzierające bóle, bóle, które spowodowały, że zobaczyłem czerwienie i błękity, zielenie i żółcienie, bóle, które wywoływały myśl, że zwariuję z tej ogromnej udreki. Spoczęła na mnie czyjaś chłodna ręka, a miękki głos powiedział:

- Wszystko w porządku, Lobsang. Wszystko w porządku. Odpoczywaj, odpoczywaj, śpij!

Świat zdawał się stawać ciemną, puszystą poduszką; poduszką miękką jak łabędzi puch, w którą zanurzyłem się przyjemnie i spokojnie. Poduszka zdawała się mnie otulać tak, że nie odczuwałem nic więcej, a moja dusza znowu wzniosła się w przestrzeń, podczas gdy moje udrecone ciało odpoczywało na Ziemi.

Musiało upłynąć wiele godzin, zanim ponownie odzyskałem przytomność. Obudziłem się i zobaczyłem mojego Przewodnika siedzącego koło mnie i trzymającego moje ręce w swoich. Gdy moje powieki uniosły się i wpuściły wieczorne światło, uśmiechnąłem się słabo, a on uśmiechnął

się do mnie. Puścił moje ręce i wziął z małego stolika obok filiżankę z jakimś słodko pachnącym wywarem. Delikatnie dotykając nią moich ust powiedział:

- Wypij, to ci dobrze zrobi!

Wypiłem, a życie przyplęnęło do mnie znowu, i to tak bardzo, że aż spróbowałem usiąść. Wysilek był jednak zbyt duży. Poczulem, jakby jakaś wielka maczuga spadła jeszcze raz na moją głowę. Zobaczyłem żywe światła, konstelacje światła i szybko zaniechałem wszelkich wysiłków.

Wieczne cienie wydłużyły się, dotarły do mnie przytłumione dźwięki konch i zrozumiałem, że wkrótce zaczną się modły.

- Muszę wyjść na pół godziny, Lobsang - powiedział mój Przewodnik, Lama Mingyar Dondup. - Wzywa mnie Najdostojniejszy, lecz są tu twoi przyjaciele Timon i Yulgye, by czuwać nad tobą podczas mojej nieobecności i zawołać mnie, gdyby pojawiła się taka potrzeba.

Uścisnął moje ręce, wstał i wyszedł z pokoju.

Pojawiły się dwie znajome twarze, na pół przestraszone i bardzo podniecone. Moi przyjaciele usiedli przy mnie.

- Och, Lobsang! - powiedział Timon. - Ilu wymówek nasłuchał się szef kuchni z powodu tego wszystkiego!

- Tak - powiedział drugi. - I został usunięty z Klasztoru za niesłychaną, zbędną brutalność. Właśnie wyprowadzają go pod eskortą!

Obaj drżeli z podniecenia.

- Myślałem, że nie żyjesz, Lobsang - powiedział znowu Timon. - Naprawdę, krwawiłeś jak patroszony jak!

Naprawdę musiałem się uśmiechnąć, kiedy patrzyłem na nich. Ich głosy zdradzały, jakim poruszeniem reagowali na każde wydarzenie ożywiające nudną monotonię klasztornego życia. Nie miałem im za złe tego podniecenia. Wiedziałem, że też byłbym podniecony, gdyby ofiarą padł ktoś inny niż ja. Uśmiechałem się do nich i znowu ogarnęło mnie przytłaczające zmęczenie. Zamknąłem oczy, by dać im przez chwilę wypocząć i ponownie nic więcej już do mnie nie dotarło.

Przez kilka dni, może siedem lub osiem, leżałem na plecach, a mój Przewodnik, Lama Mingyar Dondup, był moją niańką. Bez niego bym nie przeżył, ponieważ życie w klasztorze wcale nie jest łaskawe i łagodne, tutaj rzeczywiście mogą przetrwać tylko najlepiej przystosowani. Lama był dobrym, kochającym człowiekiem, lecz nawet on nie był najważniejszym powodem, dla którego chciałem utrzymać się przy życiu. Jak powiedziałem wcześniej, miałem specjalne zadanie do wypełnienia w życiu i przypuszczałem, że wszystkie trudności, jakich doznawałem jako chłopiec, miały w pewien sposób mnie zahartować, uczynić mnie odpornym na trudy i cierpienie, bowiem wszystkie przepowiednie, jakie słyszałem - a słyszałem ich sporo! - głosiły, że moje życie będzie pełne smutku, pełne cierpienia.

Lecz nie wszystko było cierpieniem, skoro mój stan przysporzył więcej sposobności do rozmów z moim Przewodnikiem. Rozmawialiśmy o wielu rzeczach, omawialiśmy sprawy zwykłe i te najbardziej niezwykłe. Rozmawialiśmy dużo o różnych okultystycznych sprawach. Pamiętam, jak któregoś razu mówiłem:

- Dostojny Lamo, to wspaniale być bibliotekarzem i posiadać całą wiedzę świata. Sam chciałbym być bibliotekarzem, gdyby nie te wszystkie okropne prorocтва o mojej przyszłości.

Mój Przewodnik uśmiechnął się do mnie.

- Lobsang, Chińczycy powiadają: *Obraz jest wart tysiąca słów*, lecz ja mówię, że żadna ilość czytania i patrzenia na obrazki nie zastąpi praktycznego doświadczenia i wiedzy.

Spojrzałem na niego, by zobaczyć, czy mówił to poważnie, a potem pomyślałem o japońskim mnichu, Kendzi Tekeuczi, który przez blisko siedemdziesiąt lat studiował drukowane słowo i zaniedbał praktykę lub przyswajanie tego, co przeczytał.

Mój Przewodnik czytał w moich myślach.

- Tak! - powiedział. - Stary człowiek nie jest sprawny umysłowo. Nabawił się umysłowej niestrawności czytając wszystko i nie przyjmując niczego. Wyobrażał sobie, że jest wielkim

człowiekiem, człowiekiem wybitnej duchowości. Ale w istocie jest biednym, starym, zagubionym człowiekiem, który nie oszukuje nikogo tak bardzo jak samego siebie.

Lama popatrzył smutno i powiedział:

- Jest duchowym bankrutem, wie wszystko, lecz niczego nie rozumie. Czytanie bez wycucia, bez wyboru i bez rozważenia wszystkiego, co komuś wpadnie w ręce, jest niebezpieczne. Ten człowiek stosował się do wskazań wszystkich wielkich religii, nie rozumiejąc żadnej z nich. Na dodatek uznał siebie za najbardziej uduchowionego człowieka spośród wszystkich,

- Dostojny Lamo! - powiedziałem. - jeżeli książki są tak szkodliwe, to dlaczego istnieją?

Mój Przewodnik patrzył na mnie przez chwilę obojętnie.

- *Ha!* - pomyślałem - nie zna odpowiedzi na to pytanie!

Lecz on uśmiechnął się znowu.

- Ależ drogi Lobsangu - powiedział. - Odpowiedź jest tak oczywista! Czytaj, czytaj i jeszcze raz czytaj, ale nigdy nie pozwól *żadnej* książce zawładnąć twoim wyborem ani twoją zdolnością rozróżniania. Książka ma uczyć, doradzać lub nawet bawić. Ale książka *nie* jest mistrzem, za którym należy podążać ślepo i bezrozumnie. Żadna osoba posiadająca inteligencję nie powinna być zniewolona przez książkę czy słowa innych.

Odchyliłem się do tyłu i skinąłem głową. Tak, to miało sens. Ale w takim razie *po co zawracać sobie głowę książkami?*

- Po co, Lobsang? - odpowiedział mój Przewodnik na to pytanie. - Oczywiście, że książki muszą istnieć! Biblioteki świata zawierają większość wiedzy świata, lecz nikt prócz idioty nie powiedziałby, że ludzkość jest niewolnikiem książek. Książki istnieją jedynie po to, by być doradcami ludzkości, by służyć informacją, żeby ludzie mogli z nich korzystać. Niestety to prawda, że książki niewłaściwie używane stają się przekleństwem, ponieważ prowadzą do poczucia, że jest się kimś ważniejszym, niż jest się naprawdę. W ten sposób sprowadzają człowieka na manowce życia, na drogi, których nie zna lub nie wie, jak nimi dojść do końca.

- Dostojny Lamo - zapytałem znowu - jak używać książek?

Mój Przewodnik popatrzył na mnie surowo.

- Nie możesz dotrzeć do wszystkich miejsc na świecie i studiować u największych Mistrzów świata - powiedział - lecz drukowane słowo, książki, mogą dostarczyć ci ich nauki. Nie musisz wierzyć we wszystko, co czytasz, ani czynić tego, co najwięksi mistrzowie pióra kiedykolwiek powiedzieli ci, że masz czynić. Powinieneś używać własnego osądu i ich słów mądrości jako wskazówek, co powinno być słowami twojej mądrości. Mogę cię zapewnić, że osoba, która nie jest gotowa do studiowania jakiegoś tematu, może niezmiernie sobie zaszkodzić właśnie przez podporządkowaniem się książce i - jak to bywa - przez próbę wyniesienia się ponad swoją karmę za pomocą studiowania słów i dzieł innych. Może się zdarzyć, że czytelnik będzie człowiekiem o niskim stopniu rozwoju ewolucyjnego i wówczas studiowanie czegoś, co jeszcze nie jest dla niego, może raczej ograniczyć, niż przyspieszyć jego rozwój duchowy. Znam wiele takich przypadków, a nasz japoński przyjaciel jest właśnie jednym z nich.

- Mój Przewodnik zadzwonił po herbatę, najbardziej niezbędny dodatek do wszystkich naszych rozmów! Kiedy służący mnich przyniósł herbatę, powróciliśmy do naszej dyskusji.

- Lobsang! - powiedział mój Przewodnik. - Czeka ciebie najbardziej niezwykle życie i dlatego twój rozwój zostanie przyspieszony, twoje zdolności telepatyczne będą zwiększane każdą metodą, jaką tylko dysponujemy. Zamierzam ci teraz powiedzieć, że w najbliższych miesiącach przy pomocy telepatii połączonej z jasnowiedzeniem zapoznasz się z najwspanialszymi książkami świata - kilkoma arcydziełami światowej literatury, i będziesz je poznawał mimo nieznaności języka, w którym zostały napisane.

Obawiam się, że patrzyłem wtedy na niego z prawdziwym zdumieniem, bo jak mógłbym zapoznać się z książką napisaną w języku, którego nie znam? To mnie zaintrygowało, lecz wkrótce uzyskałem odpowiedź.

- Kiedy twoje zdolności telepatii i jasnowiedzenia staną się nieco większe - a takie będą - będziesz potrafił przyswoić wszystkie myśli zawarte w książce od ludzi, którzy ostatnio ją czytali lub właśnie ją czytają. To jedno z mniej znanych zastosowań telepatii, któremu oczywiście w

takich przypadkach musi towarzyszyć jasnowidzenie. Ludzie w innych częściach świata nie zawsze mogą pójść do publicznej biblioteki lub do jednego z większych księgozbiorów w ich kraju. Mogą wejść przez drzwi, ale zanim nie udowodnią, że są prawdziwymi badaczami poszukującymi wiedzy, nie zostaną tam wpuszczeni. Dla ciebie taka przeszkoda nie będzie istniała. Będziesz mógł podróżować w astralu i badać wszystko. To ci będzie pomagać przez wszystkie dni twojego życia i kiedy przejdziesz poza to życie.

Opowiedział mi o użyciu okultyzmu. Niewłaściwe użycie siły okultystycznej albo posłuszenie się nią dla uzyskania władzy nad inną osobą sprowadzało naprawdę okropną karę. Moce ezoteryczne, metafizyczne i postrzeganie pozazmysłowe powinny być używane wyłącznie dla dobra, tylko do służenia innym, tylko do pomnażania całkowitej wiedzy zawartej w świecie.

- Ale Dostojny Lamo! - powiedziałem szybko - co z ludźmi, którzy opuszczają swoje ciała dla samego wrażenia lub z ciekawości? Co się z nimi dzieje, kiedy wypadają z ciał i prawie umierają ze strachu? Czy nic nie można zrobić, by ich ostrzec?

Na to mój Przewodnik uśmiechnął się smutno.

- To prawda, Lobsang - powiedział. - Wiele osób czyta książki i próbuje eksperymentować bez odpowiedniego Mistrza przy boku. Wielu ludzi opuszcza swoje ciała poprzez picie, poprzez nadmierne pobudzenie, czy poprzez nadużywanie czegoś, co nie jest dobre dla ducha. Wtedy wpadają w panikę. Jest jeden sposób, w jaki możesz im pomóc. Przez całe życie powinieneś ostrzegać tych, którzy pytają, że jedyną rzeczą/ jakiej należy się bać w okultyzmie jest strach. To strach pozwala niepożądanym myślom, niepożądanym istotom pojawiać się, a nawet kontrolować kogoś i zawładnąć nim. Ty, Lobsang, powinieneś ciągle powtarzać, że jest niczym bać się czegoś innego niż samego strachu. Wyzbywając się strachu wzmacniasz i oczyszczasz ludzkość. To strach jest przyczyną wojen, niezgody na świecie, strach kieruje rękę człowieka przeciw drugiemu człowiekowi. Strach i tylko strach jest wrogiem jeżeli pozbedziemy się naszego strachu raz na zawsze, to - uwierz mi - nie trzeba będzie się już niczego obawiać.

Strach. Czemu służyła ta rozmowa o strachu? Patrzyłem na mojego Przewodnika i przypuszczam, że on widział niewypowiedziane pytanie w moich oczach. Być może jednak czytał telepatycznie moich myślach, bo nagle odezwał się:

- Co, dziwisz się, że to strach? Cóż, jesteś młody i niewinny!

- Och! Nie tak niewinny, jak *on* myśli! - pomyślałem.

Lama uśmiechnął się, jakby spodobał mu się ten mój ukryty żart - chociaż oczywiście nie wypowiedziałem ani jednego słowa.

- Strach jest czymś bardzo realnym, namacalnym - powiedział. - Usłyszysz jeszcze opowiadania tych, którzy uzależnili się od alkoholu - którzy są często nietrzeźwi. Tacy ludzie widzą bardzo dziwne twory. Niektórzy z tych pijaków twierdzą, że widzą zielone słonie w różowe paski lub jeszcze bardziej dziwaczne stworzenia. Powiadają ci, Lobsang, że stworzenia, które oni widzą - tak zwane wytwory ich wyobraźni - tak naprawdę są rzeczywistymi stworzeniami.

Ciągle niejasna była dla mnie kwestia strachu. Oczywiście wiedziałem, czym był strach w sensie fizycznym. Przypomniałem sobie, jak musiałem trwać bez ruchu przed Klasztorem Czakpori, żeby przejść próbę wytrzymałości, zanim pozwolono mi wejść i przyjęto mnie jako najpokorniejszego z pokornych czeli. Zwróciłem się do mojego Przewodnika:

- Dostojny Lamo, czym *jest* ten cały strach? W rozmowach słyszałem o stworzeniach niższego astralu, jednak sam we wszystkich moich astralnych podróżach nigdy nie natknąłem się na cokolwiek, co mogłoby wzbudzić we mnie choćby odrobinę strachu. Czym *jest* ten cały strach?

Mój Przewodnik siedział przez chwilę nieruchomo, a potem, jak gdyby podjął nagłą decyzję, zerwał się szybko na nogi.

- Chodź! - powiedział.

Wstałem i ruszyliśmy kamiennym korytarzem, skręcając w prawo, w lewo i jeszcze raz w prawo. Idąc dalej dotarliśmy w końcu do pokoju, gdzie nie było światła. Było to jak wejście do morza ciemności. Mój Przewodnik wszedł pierwszy i zapalił maślaną lampę, która stała przygotowana przy drzwiach. Potem kazał mi się położyć.

- Jesteś już wystarczająco duży, żeby spotkać istoty niższego astralu - powiedział. - Gotów jestem pomóc ci zobaczyć te stworzenia i zapewnić ci bezpieczeństwo, ponieważ nie należy ich spotykać, dopóki nie jest się należycie przygotowanym i zabezpieczonym. Zgaszę światło, a ty leż spokojnie i pozwól sobie unieść się z ciała - unieś się dokąd zechcesz, bez celu, bez intencji – jedynie unos się i płyn jak na wietrze.

To mówiąc zgasił lampę i kiedy zamknął drzwi, już ani jeden promień światła nie pozostał w tym miejscu. Nie mogłem wykryć nawet jego oddechu, lecz mogłem czuć blisko siebie jego ciepłą, dodającą otuchy obecność.

Podróż astralna nie była dla mnie nowym doświadczeniem. Urodziłem się ze zdolnością wędrowania w ten sposób i zapamiętywania wszystkiego. Teraz, wyciągnięty na ziemi, z głową spoczywającą na części mojej zwiniętej szaty, **skrzyżowałem ręce i złożyłem stopy razem**, i oddałem się procesowi opuszczania ciała, procesowi, który jest tak prosty dla tych, którzy to potrafią. Wkrótce poczułem delikatne drgnięcie, które jest objawem oddzielania się ciała astralnego od fizycznego. Wraz z tym drgnięciem zalał mnie potok światła. Zdawałem się unosić na końcu mojego Srebrnego Sznura. Poda mną zalegała całkowita czerń, czerń pokoju, który właśnie opuszczałem i w którym nie było ani jednego promienia światła. Rozglądałem się wokół, lecz niczym nie różniło się to od normalnych podróży, jakie wykonywałem już wcześniej. Pomyślałem sobie o unoszeniu się nad Żelazną Górą, i gdy tylko to pomyślałem, nie byłem już w pokoju, lecz unosiłem się nad Górą, na wysokości dwustu, może trzystu stóp. Nagle nie byłem już świadomy Potali, nie byłem świadomy Żelaznej Góry, nie byłem świadomy Tybetu ani Doliny Lhasy. Czuję się chory z niepokoju. Mój Srebrny Sznur zadrżał gwałtownie i z przerażeniem ujrzałem, że część "srebro—niebieskiej" poświaty zawsze emanującej ze Sznura zmieniła się w chorobliwy żółto-zielony odcień.

Bez ostrzeżenia nastąpiło okropne szarpnięcie, okropne pociągnięcie, wrażenie, jakby szalone diabły próbowały nawinąć mnie na szpulkę. Instynktownie spojrzałem w dół i omal nie straciłem przytomności na widok tego, co zobaczyłem. Wokół mnie, a raczej poniżej mnie, były najdziwniejsze i najbardziej odrażające stworzenia, jakie tylko mogą ujrzeć pijacy. Najbardziej okropne, jakie kiedykolwiek widziałem w życiu, podchodziło do mnie falując. Wyglądało jak jakiś ogromny ślimak ze szpetną ludzką twarzą, lecz o takich barwach, jakich człowiek nigdy nie przybiera. Twarz była czerwona, a nos i uszy zielone. Oczy zdawały się obracać w oczodołach. Były tam też inne stwory, każdy jeszcze bardziej okropny i bardziej obrzydliwy od poprzedniego. Zobaczyłem stwory, których nie da się opisać żadnymi słowami. Jednak wszystkie zdawały się posiadać powszechną ludzką cechę - okrucieństwo. Zbliżyły się, próbowały mnie szarpać - próbowały mnie oderwać od mojego Sznura. Inne kierowały się w dół i próbowały oderwać sznur, pociągając nim. Oglądałem to i nagle wzdrygnąłem się.

- Strach! A więc to jest strach! - pomyślałem, - Dobrze! Te twory nie mogą mnie zranić, jestem odporny na ich przejawy, odporny na ich ataki!;

I gdy tak pomyślałem, istoty zniknęły i więcej się nie pojawiły. Eteryiczny Sznur łączący mnie z moim fizycznym ciałem pojaśniał przybrał swoje zwykłe barwy. Poczuję się uradowany, wolny. Zrozumiałem, że przebywszy tę próbę nie będę obawiał się już niczego, co mogłoby przydarzyć mi się w astralu. Przekonałem się ostatecznie, że to, czego się obawiamy, nie może nas zranić, dopóki nie pozwolimy mu na to swoim strachem.

Nagle szarpnięcie mojego Srebrnego Sznura zwróciło ponownie moją uwagę. Spojrzałem w dół bez najmniejszego wahania, bez najmniejszego wrażenia czy poczucia strachu. Dostrzegłem mały płomyk światła i zobaczyłem mojego Przewodnika, Lamę Mingyara Dondupa, jak zapalał małą migoczącą maślaną lampę. Moje ciało ściągało na dół moje ciało astralne. Łagodnie spłynąłem na dół przez dach Czakpori. Spłynąłem na dół, ułożyłem się poziomo ponad moim fizycznym ciałem i delikatnie, bardzo delikatnie, opadłem, a astral i ciało fizyczne połączyły się i stały się jednym. Ciało które teraz było "mną", drgnęło nieznacznie. Usiadłem. Mój Przewodnik patrzył na mnie z miłym uśmiechem na twarzy.

- Dobrze zrobione, Lobsang! - powiedział. - Zdradzę ci wielką tajemnicę. Twoja pierwsza próba wypadła lepiej niż kiedyś moja. Jestem z ciebie dumny!

Ciągle jeszcze byłem zaintrygowany sprawą strachu.

- Dostojny Lamo - zapytałem - czego tak naprawdę należy się obawiać?

Mój Przewodnik spojrział na mnie całkiem poważnie.

- Prowadziłeś dobre życie, Lobsang - odpowiedział - i nie masz powodów do obaw, dlatego się nie boisz. Lecz są tacy, którzy popełnili zbrodnie, którzy wyrządzali innym zło i kiedy są sami, sumienie niepokoi ich. Stworzenia niższego astralu żywią się strachem. Są karmione przez tych, którzy mają nieczyste sumienia. Ludzie tworzą formy myślowe zła. Może kiedyś w przyszłości wejdiesz do jakiejś starej katedry lub świątyni wznoszącej się przez niezliczone lata. Ze ścian takiej budowli (jak na przykład nasza Jo Kang) poczujesz dobro zawarte w jej wnętrzu. Ale gdybyś nagle odwiedził stare więzienie, gdzie miało miejsce wiele cierpienia, wiele prześladowań, poczujesz coś przeciwnego. Wynika to z tego, że mieszkańcy budynków tworzą formy myślowe, które zamieszkują w ścianach budynków. Stąd jest zrozumiałe, że dobry budynek ma dobre formy myślowe, które emanują dobrem, a miejsca złe zawierają złe myśli, dlatego jest znowu jasne, że jedynie złe myśli mogą pochodzić ze złych budynków. Człowiek, który jest jasnowidzem, może będąc w astralu zobaczyć i odczuć wszystkie te myśli i formy myślowe.

Mój Przewodnik zamyślił się na chwilę i powiedział:

- Są przypadki, jak sam się przekonasz, kiedy mnisi i inni ludzie wyobrażają sobie, że są ważniejsi, niż są w rzeczywistości. Wówczas tworzą oni formę myślową, która z czasem całkowicie zmienia ich spojrzenie na świat. Przypominam sobie przypadek starego mnicha z Birmy - wielce nieświadomego człowieka. Muszę powiedzieć, że na początku był prostym mnichem, który niczego nie rozumiał, ale ponieważ był naszym bratem i należał do naszego Zakonu, musieliśmy go tolerować. Mnich ten żył samotnie jak wielu z nas, lecz zamiast poświęcać swój czas na medytację, kontemplację i inne dobre praktyki, wyobrażał sobie, że jest potężnym człowiekiem z Birmy. Wyobrażał sobie, że nie jest zwykłym mnichem, który ciężko kroczy Drogą Oświecenia. Zamiast tego, w samotności celi, wyobrażał sobie, że jest wielkim Księciem, Księciem z ogromnymi posiadłościami i wielkimi bogactwami. Na początku była to nieszkodliwa, choć bezużyteczna rozrywka. Z pewnością nikt nie potępiłby go za tych kilka próżnych wyobrażeń i tęsknot, gdyż - jak powiedziałem - mnich ten nie miał ani rozumu ani wykształcenia, aby naprawdę poświęcić się duchowym zadaniom. Człowiek ten przez lata, ilekroć był sam, stawał się wielkim Księciem. Zmieniło to jego spojrzenie na świat, spłynęło na jego postępowanie i z upływem czasu skromny mnich zdawał się zanikać, a jego miejsce zajmował arogancki Książę. W końcu ten biedny, nieszczęsny człowiek rzeczywiście szczerze uwierzył, że jest Księciem Birmy. Pewnego dnia przemówił do Opaty tak, jakby Opat był poddany w posiadłości księcia. Opat nie był takim pokojowo nastawionym Opatem jak niektórzy z nas. Z przykrością muszę powiedzieć, że wstrząs, jaki przeżył biedny mnich zamieniony w księcia, wytrącił go z równowagi i doprowadził go do stanu psychicznej chwiejności. Ale ty, Lobsang, nie musisz się tym przejmować. Jesteś stały, dobrze zrównoważony i bez strachu. Zapamiętaj tylko te słowa jako ostrzeżenie: strach zatruwa duszę. Próżne i bezużyteczne wyobrażenia sprowadzają człowieka na złą drogę i z upływem lat stają rzeczywistością, a rzeczywistość znika z widoku i nie wychodzi na światło przez wiele inkarnacji. Trzymaj się Ścieżki, nie pozwól żadnym szalonym tęsknotom czy wyobrażeniom zabarwić lub zniekształcić twojego spojrzenia na świat. To jest Świat Iluzji, ale tylko dla tych z nas, którzy potrafią stawić czoła tej wiedzy. Wówczas iluzja może stać się rzeczywistością, gdy jesteśmy poza tym światem.

Myślałem o tym wszystkim i muszę przyznać, że słyszałem już tym mnichu zamienionym duchowo w księcia. Czytałem o nim jakiejś książce w Bibliotece Lamów.

- Dostojny Przewodniku! - powiedziałem. - Jaki jest zatem pożytek z okultystycznych mocy?

Lama złożył ręce i spojrział prosto na mnie. Zastosowanie wiedzy okultystycznej? To jest dość proste, Lobsang! Mamy prawo pomagać tym, którzy są godni naszej pomocy. **Nie mamy prawa pomagać tym, którzy nie chcą naszej pomocy i nie są gotowi do jej przyjęcia. Nie używamy zdolności i mocy okultystycznych dla własnych korzyści, ani dla nagrody. Jedynym celem mocy**

okultystycznych jest przyśpieszenie czyjegoś rozwoju, przyśpieszenie ewolucji i pomoc światu jako całości. Nie tylko światu ludzi, ale też światu przyrody, zwierząt - wszystkiego.

Znowu przerwały nam modły zaczynające się w Świątyni blisko. Ponieważ prowadzenie rozmowy w czasie modłów byłoby lekceważeniem Bogów, zakończyliśmy ją i siedzieliśmy w ciszy przy migotliwym płomieniu maślanej lampy, teraz już przygasającej.

Rozdział VIII

Naprawdę przyjemnie było leżeć w chłodnej, wysokiej trawie u podnóża Pargo Kaling. Z tyłu, nade mną, wznosiły się ku niebu starożytne kamienie. Ich wierzchołek, oglądany z dołu, zdawał się dotykać chmur. Przy odrobinie wyobraźni "pączek lotosu" tworzył punkt symbolizujący Ducha, kiedy "liście" wspierające "pączek" przedstawiały Powietrze. Ja odpoczywałem wygodnie u podstawy naprzeciwko reprezentacji "Życia na Ziemi". Poza zasięgiem mojego wzroku - dopóki nie wstałem - pozostawały "Stopnie Osiągnięć". Wszak, próbowałem teraz "osiągnąć"!

Przyjemnie było tu leżeć i oglądać utrudzonych handlarzy przybyłych z Indii, Chin i Birmy. Niektórzy z nich podążali pieszo prowadząc długie korowody zwierząt dźwigających egzotyczne towary z odległych miejsc. Inni, może bardziej wytworni albo po prostu bardziej zmęczeni, jechali wierzchem i rozglądali się wokół. Rozmyślałem leniwie, co zawierały ich juki, aż poderwałem się z dreszczem; *odkryłem przyczynę, dla której tu byłem!* A byłem tu, aby oglądać aury jak największej liczby różnych ludzi. Byłem tu, żeby "wróżyć" z aury i za pomocą telepatii, co ci ludzie robią, co myślą i jakie są ich zamiary.

Na przeciwległej stronie drogi siedział właśnie biedny ślepy żebrak. Pokrywał go brud. Obszarpany, cały czas siedział i jęczał do przechodzących podróżnych. Zdziwiająco wielu z nich rzucało mu monety napawając się widokiem, gdy ślepy szukał padających monet i odnajdywał je po dźwięku, jaki wydawały padając i mięk lub odbijając się o kamień. Rzadko, naprawdę bardzo rzadko, przegapiał jakąś małą monetę i wtedy podróżny podnosił ją i rzucał znowu. Myśląc o nim leniwie obróciłem głowę w jego ku i zdumiony podniosłem się. Jego aura! Przedtem nie zwróciłem na nią uwagi. Teraz, patrząc uważnie, dostrzegłem, że nie był ślepy. Zobaczyłem że był bogaty, miał zgromadzone pieniądze i dobra, i tylko udawał biednego ślepego żebraka, bo był to najłatwiejszy sposób zarabiania na życie, jaki znał. Nie! Nie mogło tak być, musiałem się mylić. Chyba byłem zbyt pewny siebie. Może zawiodły mnie moje zdolności. Zmartwiony tą myślą, niechętnie wstałem i w poszukiwaniu wyjaśnienia udałem się do mojego Przewodnika, Lamy Mingyara Dondupa, który przebywał naprzeciwko w Kundu Ling.

Parę tygodni wcześniej przeszedłem operację mającą na celu szersze otwarcie mojego "Trzeciego Oka". Od urodzenia posiadałem niezwykle zdolności jasnowidzenia, mogłem widzieć "aurę" wokół ciał ludzi, zwierząt i roślin. Bolesna operacja powiodła się zwiększając moje zdolności znacznie bardziej, niż to przewidywał nawet Lama Mingyar Dondup. Teraz mój rozwój przyśpieszył. Szkolenie we wszystkich okultystycznych dziedzinach pochłaniało godziny czuwania. Czulem się wyżęty przez potężne siły, kiedy *ten* albo *tamten* lama "pompował" we mnie wiedzę telepatycznie i za pomocą innych dziwnych sił, których działanie tak intensywnie teraz badałem. Po co chodzić do szkoły, skoro można uczyć się telepatycznie? Po co odgadywać czyjeś zamiary, skoro można je wyczytać z jego aury? Ale teraz byłem zaintrygowany tym ślepym człowiekiem!

- Och! Dostojny Lamo! Gdzie jesteś? - wolałem przebiegając drogę w poszukiwaniu mojego Przewodnika. Biegając przez mały park potknąłem się, omal nie przewracając o własne nogi.

- Cóż! - uśmiechnął się mój Przewodnik siedząc spokojnie na przewróconym pniu. - Jesteś wzburzony, bo właśnie odkryłeś, że "ślepy" człowiek może widzieć równie dobrze jak ty.

Stałem dysząc, dysząc z braku powietrza i z oburzenia.

- Tak! - zawołałem. - Ten człowiek to oszust, rozbójnik, ponieważ okrada tych o dobrych

sercach. Powinien trafić do więzienia!

Lama wybuchnął śmiechem widząc moją czerwoną, oburzoną twarz.

- Ależ Lobsang - powiedział łagodnie. - Po co tyle wzburzenia? Ten człowiek sprzedaje usługi, tak samo jak człowiek, który sprzedaje młynki modlitewne. Ludzie rzucają mu niewielkie monety, dzięki którym mogą o sobie pomyśleć, że są szcudrzy. To pozwala im się poczuć dobrymi. Na pewien czas zwiększa to szybkość ich cząsteczkowych wibracji - zwiększa ich uduchowienie - zbliża ich do Bogów. To robi im dobrze. A monety, które dają? Przecież to drobiazg! Nie brakuje im ich.

- Ale on nie jest ślepy! - powiedziałem rozzłoszczony. - On jest *rozbójnikiem*.

- Lobsang - powiedział mój Przewodnik - on jest nieszkodliwy, jedynie sprzedaje usługi. Później, w świecie Zachodu, stwierdzisz, że ludzie w reklamach zapewniają fałszywie o czymś, co szkodzi ludzkiemu zdrowiu, deformuje jeszcze nienarodzone dzieci i zamienia praktycznie zdrowych w szalonych maniaków.

Poklepał przewrócone drzewo pokazując mi, abym usiadł obok niego. Usiadłem i bębniłem piętami o korę.

- Musisz ćwiczyć używając aury i telepatii razem - powiedział mój Przewodnik. - Używając jednego bez drugiego wypaczasz swoje wnioski - tak jak w tym przypadku. Najważniejsze, to użyć wszystkich swoich zdolności i wykorzystać wszystkie siły przy rozwiązywaniu każdego problemu. Tego popołudnia muszę wyjść, a wielki Lama Medyk, Dostojny Czinrobnobo ze szpitala Menzekang, będzie z tobą rozmawiał. A ty będziesz rozmawiał z nim.

- Och! - powiedziałem ponuro - ale on nigdy ze mną nie rozmawia, nawet mnie nie zauważa!

- Wszystko to się zmieni, tak czy inaczej, tego popołudnia - odpowiedział mój Przewodnik.

- Tak czy inaczej! - pomyślałem. - To brzmiało bardzo złowieszczo.

Razem z Przewodnikiem wróciliśmy na Żelazną Górę, przystając raz po raz, żeby na nowo popatrzeć na stare, lecz zawsze zaskakujące czymś nowym kolorowe skalne rzeźby. Później wspinaliśmy się schodami i kamienną ścieżką.

- Ta ścieżka jest jak życie, Lobsang - odezwał się Lama. - Życie przypomina twardą i kamienistą ścieżkę z wieloma pułapkami, ale jeśli ktoś jest wytrwały, dotrze na szczyt.

Kiedy dotarliśmy do szczytu ścieżki, wzywano już na świątynne modły. Każdy z nas poszedł swoją drogą, on do swoich towarzyszy, a ja do moich z klasy. Gdy tylko modły skończyły się i spożyłem posiłek, podszedł do mnie zdenerwowany mały czela, jeszcze mniejszy niż ja.

- Wtorek Lobsang - przemówił nieśmiało - Święty Lama Medyk Czinrobnobo chce cię natychmiast widzieć w szkole medycznej.

Wyglądałem szatę, wziąłem kilka głębokich oddechów, żeby uspokoić moje zszarpane nerwy i ruszyłem z pewnością siebie, której w istocie nie czułem, do medycznej szkoły.

- Ach! - zagrzmiął potężny głos, głos, który przypomniał mi głęboki dźwięk świątynnej konchy.

Stałem przed nim i okazałem mu szacunek w tradycyjny sposób. Lama był potężnym człowiekiem, wysokim, tęgim, barczystym, o sylwetce wzbudzającej strach w małym chłopcu. Czułem, że uderzenie jednej z jego potężnych rąk mogłoby zbić moją głowę z ramion i rzucić ją tak, by potoczyła się po stoku góry. Jednak on kazał mi usiąść przed sobą, i zrobił to w tak ujmujący sposób, że prawie osunąłem się do pozycji siedzącej!

- A zatem, chłopcze! - powiedział potężny, głęboki głos, toczący się jak grzmot wśród odległych gór. - Słyszałem wiele o tobie. Twój sławny Przewodnik, Lama Mingyar Dondup twierdzi, że jesteś cudowny, że twoje zdolności paranormalne są ogromne. Przekonajmy się!

Siedziałem i trząsałem się.

- Widzisz mnie? - zapytał. - Co widzisz?

Trząsałem się jeszcze bardziej, kiedy wypowiadałem pierwsze słowa, jakie przyszły mi do głowy:

- Widzę tak ogromnego człowieka. Święty Lamo Medyku, że pomyślałem, kiedy tu wszedłem, iż jesteś górą.

Jego gromki śmiech, spowodował taki powiew wiatru, że obawiałem się, iż zwieje ze mnie

szatę.

- Spójrz na mnie, chłopcze, *popatrz na moja aurę* i powiedz mi, co widzisz! - rozkazał. - Powiedz mi, co widzisz w aurze i co to, według ciebie, znaczy.

- Spojrzałem na niego, nie wprost, nie przyglądając się, ponieważ często zaciemnia to aurę odzianej postaci. Popatrzyłem w jego kierunku, lecz nie dokładnie "na" niego.

- Panie! - odpowiedziałem. - Najpierw widzę fizyczny zarys twojego ciała, zamazany nieco przez szatę. Potem, bardzo blisko ciebie, widzę słabe niebieskawe światło, koloru dymu z płonącego świeżego drewna. To mówi mi, że pracowałeś zbyt ciężko, że ostatnio miewałeś bezsenne noce i poziom twojej energii eterycznej jest niski.

Patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami i przytakiwał z zadowoleniem.

- Mów dalej - powiedział.

- Panie - mówiłem - twoja aura rozciąga się na odległość około dziewięciu stóp w każdą stronę. Kolory są ułożone warstwami, zarówno poziomo jak i pionowo. Posiadasz żółty kolor wysokiego uduchowienia. Właśnie dziwisz się, że ktoś w moim wieku może powiedzieć ci tak wiele. Myślisz też, że mój Przewodnik, Lama Mingyar Dondup, na czymś jednak się zna, i że będziesz musiał przeprosić go za poddawanie w wątpliwość moich zdolności.

Przerwał mi gromki wybuch śmiechu.

- Masz rację, chłopcze, masz rację! - powiedział wesoło. - *Mów dalej!*

- Panie! - (była to dla mnie dziecinna igraszką!) - ostatnio miałeś nieszczęśliwy wypadek i otrzymałeś cios w wątrobę. Teraz boli cię ona, kiedy śmiejesz się za mocno. Jesteś ciekaw, czy powinieneś napić się ziół tatura i zrobić głęboki masaż podczas ich przeciwbólowego działania. Myślisz, że to Przeznaczenie sprawiło, iż z ponad sześciu tysięcy ziół zabrakło właśnie tatury.

Przestał się śmiać, przyglądał mi się z nieukrywany szacunkiem.

- Oprócz tego twoja aura pokazuje, panie - dodałem - że wkrótce staniesz się najważniejszym Opatem Medykami Tybetu. Popatrzył na mnie z pewną obawą.

- Mój chłopcze - powiedział - masz wielką moc, daleko zajdziesz. Nigdy, *przenigdy* nie nadużywaj mocy, która jest w tobie. To może być niebezpieczne. Teraz pomówmy o aurze jak równy z równym. Lecz mówmy przy herbacie.

Podniósł mały srebrny dzwonek i potrząsnął nim tak gwałtownie, że bałem się, iż może wylecieć mu z ręki. Po chwili zjawił się młody mnich z herbatą i - o radości nad radościami! - z niektórymi z tych przysmaków matki Indii! Kiedy tak siedzieliśmy, doszedłem do wniosku, że wszyscy ci wysocy lamowie mieli wygodne kwatery. Poniżej widziałem wielkie parki Lhasy, Dodpal i Khati. Wydawały się być w zasięgu mojej wyciągniętej ręki. Bardziej na lewo Czorten naszej okolicy, Kesar Lhakhang, stał jak wartownik, a za drogą, dalej na północ, wznosił się wysoko mój ulubiony punkt, Pargo Kaling (Zachodnia Brama).

- Co wywołuje aurę. Panie? - zapytałem.

- Jak ci powiedział twój Szanowny Przewodnik, Lama Mingyar Dondup - zaczął - mózg otrzymuje informacje od Wyższego Ja. W mózgu wytwarzane są prądy elektryczne. Całe życie jest elektrycznością. Aura jest przejawem energii elektrycznej. Dookoła głowy człowieka, jak dobrze wiesz, jest nimb lub aureola. Stare obrazy zawsze ukazują Świętego albo Boga z taką "złotą kulą" wokół głowy.

- Dlaczego tak niewiele osób widzi aurę i aureolę. Panie? - zapytałem.

- Pewni ludzie nie wierzą w istnienie aury, ponieważ *oni* jej nie widzą. Zapominają, że nie widzą również powietrza, a bez powietrza nie mogliby przecież żyć! Niektórzy - bardzo, bardzo nieliczni ludzie - widzą aurę. Inni nie. Pewni ludzie mogą słyszeć wyższe lub niższe częstotliwości niż inni. To nie zależy od stopnia uduchowienia obserwatora, tak samo jak umiejętność chodzenia na szczudłach niekoniecznie wskazuje uduchowioną osobę.

Uśmiechnął się do mnie i dodał:

- Chodziłem kiedyś na szczudłach prawie tak dobrze jak ty. Teraz moje ciało nie pozwala mi na to.

Uśmiechnąłem się również i pomyślałem, że potrzebowałby pary pni drzew jako szczudeł.

- Kiedy operowaliśmy ciebie, by otworzyć Trzecie Oko - powiedział Wielki Lama Medyk -

mogliśmy zauważyć, że część twojego płata czołowego mózgu była całkiem inaczej rozwinięta niż u przeciętnego człowieka. Uznaliśmy więc, że fizycznie *urodziłeś się* jasnowidzem i telepatą. To jeden z powodów, dla którego odbyłeś i *będziesz* odbywał taki intensywny i zaawansowany trening.

Popatrzył na mnie z ogromną satysfakcją i kontynuował:

- Pozostaniesz tu, w szkole medycznej, przez kilka dni. Zamierzamy przebadać cię dokładnie i zobaczyć, jak jeszcze możemy zwiększyć twoje zdolności i więcej cię nauczyć.

Za drzwiami rozległo się dyskretne chrząknięcie i mój Przewodnik, Lama Mingyar Dondup, wszedł do pokoju. Poderwałem się i ukloniłem mu - podobnie jak Wielki Czinrobnobo. Mój Przewodnik uśmiechał się.

- Odebrałem twoją telepatyczną informację - powiedział do Wielkiego Lamy Medyka - więc przyszedłem do ciebie tak szybko, jak mogłem, abys - być może - mógł sprawić mi przyjemność potwierdzając moje wnioski dotyczące mojego młodego przyjaciela.

Zamilkł, uśmiechnął się do mnie i usiadł.

Wielki Lama Czinrobnobo również uśmiechnął się i powiedział:

- Szanowny Kolego! Z przyjemnością chyłę czoło przed twoją wybitną wiedzą, która przejawiała się w przyjęciu tego młodego człowieka do badania. Szanowny Kolego, twoje talenty są liczne, jesteś zaskakująco wszechstronny, lecz jeszcze nigdy nie udało ci się znaleźć takiego chłopca jak ten.

Potem obydwaj roześmiali się i Lama Czinrobnobo sięgnął gdzieś w dół, za siebie, i wyjął - trzy słoiki marynowanych orzechów włoskich! Musiałem głupio wyglądać, bo obaj wciąż się śmiali.

- Lobsang, nie używasz swoich telepatycznych zdolności. Gdybyś ich użył, wiedziałbyś, że Dostojny Lama i ja byliśmy na tyle grzeszni, że założyliśmy się. Uzgodniliśmy, że jeżeli sprostasz temu, co o tobie powiedziałem, to Dostojny Lama Medyk ofiaruje ci trzy słoiki marynowanych orzechów włoskich. Gdybyś nie sprostął, ja odbyłbym długą podróż i wykonał pewne medyczne prace dla mojego przyjaciela.

Mój Przewodnik uśmiechnął się znowu i powiedział:

- Oczywiście zamierzam dla niego wybrać się w podróż w każdym przypadku, a ty udasz się ze mną, lecz chcieliśmy byś znał prawdę i teraz uczciwości stało się zadość.

Pokazał na trzy słoiki i powiedział:

- Weź je ze sobą, Lobsang, kiedy będziesz wychodził - kiedy będziesz opuszczał ten pokój - weź je ze sobą, ponieważ są one trofeum zwycięzcy, a w tym przypadku zwycięzcą jesteś ty.

Naprawdę czułem się bardzo głupio. Rzecz jasna, nie mogłem wykorzystywać zdolności telepatycznych na tych dwóch Wysokich Lamach. Myśl o czymś takim powodowała zimny dreszcz wzdłuż mojego kręgosłupa. Kochałem mojego Przewodnika, Lamę Mingyara Dondupa, i wysoko ceniłem wiedzę i mądrość Wielkiego Lamy Czinrobnobo. Podśluchiwanie ich, nawet telepatyczne, byłoby zniewagą, przejawem złego wychowania. Lama Czinrobnobo odwrócił się do mnie i powiedział:

- Tak, mój chłopcze, twoje uczucia przynoszą ci chlubę. Naprawdę cieszę się, mogąc cię powitać i widzieć wśród nas. Pomożemy ci w dalszym rozwoju.

- A teraz, Lobsang - powiedział mój Przewodnik - pozostaniesz w tym szczególnym budynku może przez tydzień i nauczysz się wiele o aurze. Och, tak! - odpowiedział na moje spojrzenie. - Wiem, że myślisz, iż wiesz wszystko o aurze. Możesz widzieć aurę, możesz czytać aurę, lecz teraz musisz poznać dokładne przyczyny tego i musisz dowiedzieć się, dlaczego wielu innych ludzi nie widzi aury. Opuszczam cię teraz, zobaczymy się jutro.

Wstał, a my, oczywiście, podnieśliśmy się również. Mój Przewodnik pożegnał nas i wyszedł z tego całkiem wygodnego pokoju. Lama Czinrobnobo obrócił się do mnie.

- Nie denerwuj się tak, Lobsang, nic ci się nie stanie - powiedział. - Próbujemy ci jedynie pomóc i przyspieszyć twój rozwój. Najpierw trochę porozmawiamy o ludzkiej aurze. Ty oczywiście widzisz aurę wyraźnie i rozumiesz jej istotę, lecz wyobraź sobie, że nie jesteś tak uprzywilejowany i tak uzdolniony. Postaw się w sytuacji ponad dziewięćdziesięciu dziewięciu i

dziewięciu dziesiątych procent ludności świata.

Gwałtownie zadzwonił małym srebrnym dzwonkiem i znowu przybył pośpiesznie mnich z herbatą i, oczywiście, niezbędnymi czas picia herbaty! Warto tutaj nadmienić, że w Tybecie czasami wypijaliśmy ponad sześćdziesiąt filiżanek herbaty dziennie. Tybet jest zimnym krajem, a gorąca herbata rozgrzewała nas. Nie mogliśmy wyjść i kupić sobie coś do picia, jak robią to ludzie na Zachodzie. Byliśmy ograniczeni do herbaty i tsampy, dopóki ktoś o naprawdę dobrym sercu nie przywiózł nam z kraju takiego jak Indie tych niedostępnych w Tybecie rzeczy.

Usiedliśmy, a Lama Czinrobnobu powiedział:

- Omawialiśmy już pochodzenie aury. Jest to siła życiowa ludzkiego ciała. Załóżmy na chwilę, Lobsang, że nie możesz widzieć aury i nic nie wiesz o aurze, ponieważ tylko przy tym założeniu mogę ci powiedzieć, co przeciętna osoba widzi i czego nie widzi.

Skinąłem głową wskazując, że rozumiem. Urodziłem się ze zdolnością widzenia aury i podobnych rzeczy, a moje zdolności zostały zwiększone przez operację "Trzeciego Oka" W przeszłości wiele razy byłem zakłopotany opowiadając, co widziałem, i nie zdawałem sobie wtedy sprawy, że inni nie widzieli tego, co ja. Przypominam sobie wydarzenie z przeszłości, kiedy powiedziałem, że człowiek jeszcze żyje - człowiek, którego stary Tzu i ja zobaczyliśmy leżącego przy drodze - a Tzu powiedział, że się mylę, że człowiek umarł.

- Ależ, Tzu - odpowiedziałem. - Ten człowiek jeszcze się świeci!

Na szczęście, jak przekonałem się później, powiew wiatru, który dmuchnął nam w plecy, zniekształcił moje słowa i Tzu nie pojął ich znaczenia. Jednak wiedziony jakimś impulsem zbadał człowieka leżącego przy drodze i odkrył, że ten żyje! Ale to jedynie dygresja.

- Przeciętny mężczyzna i przeciętna kobieta nie mogą widzieć ludzkiej aury. Niektórzy naprawdę wierzą, że nie ma czegoś takiego jak ludzka aura. Równie dobrze mogliby powiedzieć, że nie ma powietrza, ponieważ go nie widzą!

Lama Medyk spojrział na mnie, żeby sprawdzić, czy go słucham, czy też zaprzątam sobie myśli orzechami. Zadowolony widokiem mojej uwagi, skinął z rozumą i mówił dalej:

- Dopóki w ciele jest życie, jest i aura, którą mogą widzieć ludzie obdarzeni mocą, darem czy zdolnością - nazywaj to, jak chcesz. Muszę ci wyjaśnić, Lobsang, że najwyraźniej postrzegamy aurę, gdy oglądana osoba jest całkowicie naga. Później omówimy, dlaczego. Do zwykłego odczytywania aury wystarczy popatrzeć na osobę, która ma na sobie jakieś lekkie ubranie. Ale jeśli zamierzasz oglądać aurę w celach medycznych, to oglądana osoba musi być zupełnie naga. A zatem powłoka eteryczna całkowicie otacza ciało i rozciąga się od niego na odległość od jednej ósmej cala do trzech, czterech cali. Jest to niebiesko-szara mgiełka. Trudno ją nazywać mgiełką, bo chociaż wydaje się mglista, można przez nią wyraźnie widzieć. Powłoka eteryczna jest emanacją czysto zwierzęcą. Wywodzi się w szczególności ze zwierzęcej witalności ciała, zatem osoba bardzo zdrowa będzie miała całkiem grubą warstwę eteryczną, nawet na trzy do czterech cali od ciała. Tylko najbardziej uzdolnieni, Lobsang, mogą widzieć następną warstwę. Pomiędzy powłoką eteryczną i właściwą aurą jest jeszcze jedna powłoka, o grubości około trzech cali, ale żeby widzieć kolory w tej warstwie, trzeba być naprawdę obdarzonym i utalentowanym. Przyznaję, że sam widzę tam jedynie pustą przestrzeń.

Poczułem się od razu lepiej, ponieważ mogłem w tej przestrzeni widzieć wszystkie kolory i pośpieszyłem o tym powiedzieć.

- Tak, tak, Lobsang! Wiem, że możesz widzieć w tej przestrzeni, ponieważ jesteś jednym z najbardziej utalentowanych w tej dziedzinie, ale przyjąłem, że wcale nie widzisz aury, żeby ci to wszystko wyjaśnić.

Lama Medyk patrzył na mnie z wyrzutem - bez wątplenia za przerywanie wątku jego myśli. Kiedy stwierdził, że jestem wystarczająco poskromiony, by już mu dalej nie przerywać, mówił dalej:

- Zatem pierwsza jest warstwa eteryczna. Za warstwą eteryczną jest ta strefa, którą tak niewielu z nas może spostrzegać inaczej, niż jako puste miejsce. Dalej na zewnątrz rozpościera się właściwa aura. Nie zależy ona tak bardzo od zwierzęcej witalności, co od witalności duchowej. Składa się z wirujących pasm i prążków wszystkich kolorów widzialnego widma, a to oznacza

więcej kolorów, niż można zobaczyć fizycznymi oczami, ponieważ aura jest postrzegana innymi zmysłami niż wzrok fizyczny. Każdy organ ludzkiego ciała wysyła własny snop światła, snop promieni, który pulsuje i zmienia się, tak jak zmieniają się ludzkie myśli. Wiele z tych wskazań występuje bardzo wyraźnie w warstwie eterycznej i przestrzeni poza nią. Kiedy oglądamy nagie ciało, aura pokazuje powiększone oznaki zdrowia lub choroby, na podstawie których ci z nas, którzy są w wystarczającym stopniu jasnowidzami, mogą określić stan zdrowia danej osoby.

Wiedziałem wszystko na ten temat, było to dla mnie dziecinną igraszką i praktykowałem takie rzeczy nawet przed operacją "Trzeciego Oka". Znałem grupy Lamów Medyków, którzy siedzieli obok cierpiącymi ludźmi i badali nagie ciała, żeby dowiedzieć się, jak można im pomóc. Pomyślałem, że być może zostanę przyuczony do prac takich jak ta.

- Teraz - powiedział Lama Medyk - zostaniesz specjalnie przeszkolony, dokładnie przeszkolony. Mamy nadzieję i liczymy na to, że kiedy udasz się do tego wielkiego zachodniego świata poza naszymi granicami, zdołasz wynaleźć przyrząd, za pomocą którego nawet ci bez żadnych okultystycznych zdolności będą mogli widzieć ludzką aurę. Lekarze, widząc ludzką aurę, widząc na własne oczy, co jest chore w człowieku, będą potrafili go wyleczyć. Jak, omówimy to później. Wiem, że wszystko to jest nudne, większość z tego, co ci powiedziałem, jest ci dobrze znana, lecz może to być nudne i z innego powodu. Jesteś urodzonym jasnowidzem, być może nigdy nie myślałeś o mechanizmie działania swojego daru, i trzeba to naprawić, bowiem człowiek, który zna jedynie połowę zagadnienia, jest jedynie w połowie wyćwiczony i w połowie użyteczny. Ty, mój przyjacielu, masz być bardzo użyteczny! Lecz zakończmy już to spotkanie, Lobsang, udamy się do naszych pokoi - jeden został przygotowany dla ciebie - odpoczniemy i pomyślimy o sprawach, których ledwie dotknęliśmy. W tym tygodniu nie musisz uczestniczyć w żadnych modłach - to polecenie samego Najdostojniejszego. Wszystkie twoje siły, całe poświęcenie, mają zostać skierowane wyłącznie na opanowanie tematów, które ja i moi koledzy zamierzamy ci przedstawić.

Podniósł się. Ja wstałem również. Srebrny dzwonek jeszcze raz znalazł się w potężnej dłoni i został potrząśnięty tak mocno, że wydawało się, iż biedny przedmiot rozpadnie się na kawałki. Służący mnich przybiegł natychmiast, a Lama Medyk Czinrobnobo powiedział do niego:

- Będziesz zajmował się Wtorkiem Lobsangiem Rampą, ponieważ, jak wiesz, jest on tutaj honorowym gościem. Traktuj go tak, jakbyś traktował goszczącego u nas mnicha wysokiej rangi!

Lama odwrócił się do mnie i uklonił, ja oczywiście pośpiesznie pokłoniłem się również. Wtedy służący mnich dał mi znak, bym poszedł za nim.

- Stój! - krzyknął Lama Czinrobnobo. - Zapomniałeś o swoich orzechach!

Rzuciłem się z powrotem i pośpiesznie chwyciłem te drogocenne stoiki, uśmiechając się z zakłopotaniem, kiedy je brałem. Potem pognałem do czekającego na mnie służącego mnicha.

Poszliśmy krótkim korytarzem i mnich wprowadził mnie do bardzo ładnego pokoju z oknem wychodzącym na przeprawę przez Szczęśliwą Rzekę.

- Jestem, by opiekować się tobą. Mistrzu - powiedział mnich. - Dla twojej wygody tutaj jest dzwonek. Używaj go, kiedy zechcesz.

Odwrócił się i wyszedł. Podszedłem do okna. Zachwyił mnie widok Świętej Doliny. Na przeprawie jakaś łódź z nadmuchanych skór jaków odbijała właśnie od brzegu, a przewoźnik odpychał ją o dno bystrej rzeki. Po drugiej stronie widziałem trzech czy czterech ludzi, którzy, sądząc po ich ubraniach, musieli być kimś ważnym - wrażenie to potwierdzało służalcze zachowanie przewoźnika. Obserwowałem ich przez parę minut, aż nagle poczułem się niewyobrażalnie zmęczony. Usiadłem na ziemi nie troszcząc się nawet o poduszkę do siedzenia i zanim zdążyłem cokolwiek pomyśleć, przewróciłem się na plecy i zasnąłem.

Godziny mijały przy akompaniamencie klekoczących młynków modlitewnych. Nagle usiadłem wyprostowany, trzęsąc się ze strachu. *Modły!* Byłem spóźniony na modły. Nasłuchiwałem uważnie z przechyloną głową. Gdzieś jakiś głos śpiewał litanie. Tego było za wiele - zerwałem się na nogi i pognałem do znanych mi drzwi. Ale ich tam nie było! Z głuchym odgłosem trzeszczących kości zderzyłem się z kamienną ścianą, odbiłem się od niej i upadłem na plecy. Od

silnego uderzenia o kamień na chwilę pojawiły mi się przed oczami biało-niebieskie błyski. Doszedłem do siebie i jeszcze raz skoczyłem na nogi. W panice biegałem dookoła pokoju i wydawało mi się, że nie ma w nim drzwi. Gorzej - nie było też okna!

- Lobsang! - rozległ się w ciemnościach głos. - Jesteś chory?

Głos służącego mnicha przywrócił mnie do przytomności jak kubeł lodowatej wody.

- Och! - powiedziałem zakłopotany. - Zapomniałem, myślałem, że spóźniłem się na modły. Zapomniałem, że zostałem zwolniony!

Dobiegł mnie stłumiony chichot, a głos powiedział:

- Zapalę lampę. Tej nocy jest bardzo ciemno.

Mały płomyk pojawił się w drzwiach - w *najbardziej* nieoczekiwanym miejscu! - i mnich zbliżył się do mnie.

- Niezwykle zabawne wydarzenie - powiedział. - Na początku myślałem, że stado jaków wyrwało się na wolność i wbiegło tutaj.

Jego uśmiech pozbawił słowa całej obraźliwości. Ułożyłem się ponownie na podłodze, a mnich ze światłem odszedł. W jaśniejszym prześwicie ciemności, jakim było okno, zapłonęła spadająca gwiazda. Jej podróż przez niezliczone mile przestrzeni dobiegła końca. Obróciłem się na bok i zasnąłem.

Na śniadanie była ta sama, stara, mętna, okropna tsampa i herbata. Pożywna, podtrzymująca życie, lecz nie inspirująca. Potem nadszedł służący mnich i obwieścił:

- Jeżeli jesteś gotowy, mam cię wszędzie oprowadzić.

Wstałem i wyszliśmy z pokoju. Tym razem szliśmy inną drogą, do tej części Czakpori, o której nie wiedziałem nawet, że istnieje. Szliśmy w dół, długo w dół, aż wydawało się, że zesliśmy do wnętrza Żelaznej Góry. Nie docierał tam ani jeden promień światła, z wyjątkiem tych, jakie rzucały niesione przez nas lampy. Wreszcie mnich zatrzymał się i wskazał do przodu.

- Idź dalej sam - prosto i skręć do pokoju na lewo.

Uklonił się, odwrócił i odszedł z powrotem.

Poszedłem dalej, zastanawiając się co *teraz?* Pokój na lewo był przede mną. Wszedłem i zatrzymałem się zdumiony. Pierwszą rzeczą, jaka zwróciła moją uwagę, był młynek modlitewny stojący na środku pokoju. Nie miałem wiele czasu, by się mu przyjrzeć, ale sprawiał wrażenie bardzo dziwnego młynka modlitewnego. Potem zostało wymówione moje imię.

- No, Lobsang! Cieszymy się, że przyszedłeś.

Ujrzałem mojego Przewodnika, Lamę Mingyara Dondupa. Obok niego z jednej strony siedział Wielki Lama Medyk Czinrobnobo, a z drugiej, wyglądający bardzo dystyngowanie, hinduski Lama o imieniu Marfata. Studiował on kiedyś zachodnią medycynę i to na jakimś niemieckim uniwersytecie, który, jak sądzę, nazywał się Heidelberg. Teraz był buddyjskim mnichem, lamą oczywiście, lecz "mnichem" w ogólnym tego słowa znaczeniu.

Hindus patrzył na mnie tak badawczo, tak przenikliwie, jakby przez ciało oglądał materiał szaty na moich plecach - zdawał się patrzeć na wskroś mnie. Wytrzymałem jego spojrzenie, gdyż w tym konkretnym przypadku nie miałem niczego na sumieniu. Poza tym, dlaczego nie mógłbym na niego popatrzeć? Byłem tak samo dobry jak on, ponieważ byłem szkolony przez Lamę Mingyara Dondupa i Wielkiego Lamę Medyka Czinrobnobo. Na jego zaciśniętych wargach pojawił się wymuszony uśmiech, jakby jego wykonanie sprawiło mu silny ból. Skinął i zwrócił się do mojego Przewodnika:

- Tak, cieszę się, że chłopiec jest taki, jak mówiłeś.

Mój Przewodnik uśmiechał się - ale w jego uśmiechu nie było przymusu. Był naturalny, spontaniczny, naprawdę serdeczny.

- Lobsang - powiedział Wielki Lama Medyk - sprowadziliśmy cię tu, do tego sekretnego pokoju, ponieważ chcemy ci pokazać pewne rzeczy i omówić je z tobą. Twój Przewodnik i ja zbadaliśmy cię i jesteśmy naprawdę zadowoleni z twoich zdolności, zdolności, które wciąż będą powiększane. Nasz hinduski kolega, Marfata, nie spodziewał się, że w Tybecie istnieje taki cud. Mamy nadzieję, że dowiedziesz prawdy naszych opowieści o tobie.

Spojrzałem na tego Hindusa i pomyślałem:

- Oto człowiek, który ma wygórowaną opinię o sobie.

Zwróciłem się do Lamy Czinrobnobo i powiedziałem:

- Szanowny Panie! Najdostojniejszy, który był tak dobry i udzielał mi audiencji, wielokrotnie wyraźnie przestrzegał mnie przed udowadnianiem czegokolwiek mówiąc, że dowód jest jedynie usprawiedliwieniem dla próżnego umysłu. Ci, którzy żądają dowodu, nie są zdolni przyjąć dowodzoną prawdę, niezależnie od tego, jak dobrze została udowodniona.

Lama Medyk Czinrobnobo wybuchnął takim śmiechem, że aż się przestraszyłem, iż zostaną porwany przez podmuch wiatru. Mój Przewodnik również się śmiał. Obaj spojędali na Hindusa Marfatę, który siedział i patrzył na mnie z goryczą.

- Chłopcze! - powiedział Hindus. - Mówisz dobrze, lecz mówienie niczego nie dowodzi, jak sam powiedziałeś. Teraz powiedz mi, chłopcze, co widzisz we mnie?

Zaniepokoiłem się, ponieważ dużo z tego, co widziałem, wcale mi się nie podobało.

- Znamienity Panie! - powiedziałem. - Obawiam się, że jeżeli powiem co widzę, wtedy mógłbyś przyjąć to źle i uważać, że jestem po prostu zuchwały, zamiast odpowiadać na twoje pytanie.

Mój Przewodnik, Lama Mingyar Dondup, zgodził się z tym kiwając głową, a na twarzy Wielkiego Lamy Medyka Czinrobnobo pojawił się szeroki, promienny uśmiech, przypominający wschodzący księżyc w pełni.

- Mów co chcesz, chłopcze, nie mamy czasu na bawienie się rozmową - powiedział Hindus.

Przez jakiś czas stałem patrząc na Wielkiego Hinduskiego Lamę, aż ten poruszył się lekko pod siłą mojego spojrzenia. Potem posiedzialem:

- Znamienity Panie! Polecieś mi powiedzieć co widzę i rozumiem że mój Przewodnik, Lama Mingyar Dondup, jak i Wielki Lama Medyk Czinrobnobo również pragną, abym mówił szczerze. Oto co widzę. Nigdy nie widziałem cię wcześniej, lecz z twojej aury i twoich myśli wykrywam to: Jesteś człowiekiem, który dużo podróżował; podróżowałeś przez wielkie oceany świata. Przybyłeś do małej wyspy, której nazwy nie znam, ale gdzie wszyscy ludzie są biali i gdzie w pobliżu leży druga mała wyspa, jak gdyby była żebrąciem dla większej wyspy, która była kłaczą. Byłeś bardzo wrogo nastawiony do tamtych ludzi, a oni pragnęli podjąć pewne działania przeciw tobie za coś związanego z... - tu zawahałem się, ponieważ obraz był szczególnie niezrozumiały, dotyczył rzeczy, o których nie miałem najmniejszego pojęcia. Jednak brnąłem dalej. - Było to coś związanego z indyjskim miastem, które, jak odczytuję z twojego umysłu, nazywa się Kalkuta, i było to coś związanego z czarną dziurą, gdzie ludzie z tamtej wyspy nie byli pożądani lub sprawiali kłopot. W jakiś sposób oni spodziewali się, że mógłbyś zaoszczędzić im kłopotów, zamiast ich przysparzać.

Wielki Lama Czinrobnobo znowu się roześmiał, a ja nadstawiałem uszu na ten śmiech, ponieważ wskazywał on, że byłem na właściwym tropie. Mój Przewodnik pozostawał obojętny, a Hindus parsknął.

- Pojechałeś do innego kraju i mogę wyraźnie odczytać w twoim umyśle nazwę Heidelberg - mówiłem dalej. - W tym kraju studiowałeś medycynę i zgodnie z wieloma jej barbarzyńskimi zwyczajami wiele cięłaś, rąbałeś i piłowałeś i nie stosowałeś metod używanych przez nas w Tybecie. W końcu dano ci jakiś duży papier z wieloma pieczęciami. Widzę także z twojej aury, że jesteś człowiekiem chorym.

Wziąłem głęboki oddech, bo nie wiedziałem, jak zostaną przyjęte moje następne słowa.

- Choroba, na którą cierpisz, należy do nieuleczalnych. Jest jedną z takich, w których komórki ciała rozwijają się dziko i rosną jak chwasty, nieuporządkowanie, niezgodnie ze swym przeznaczeniem. Rozrastają się, zatykają i zaciskają życiowe organy. Panie! Twój czas na tej ziemi dobiega końca, bowiem natura twych myśli nie dopuszcza istnienia dobroci w umysłach innych ludzi.

Przez kilka chwil - dla mnie były one latami! - zalegała cisza. Potem Wielki Lama Medyk Czinrobnobo powiedział:

- Całkowicie poprawnie, Lobsang, całkowicie poprawnie!

- Prawdopodobnie wcześniej chłopiec został o tym wszystkim szczegółowo poinformowany -

odezwał się Hindus.

- Nikt mu nie opowiadał o tobie, za to wiele z tego, co on opowiedział, jest dla nas nowością - odpowiedział mój Przewodnik, Lama Mingyar Dondup. - Nigdy nie badaliśmy ani twojej aury ani twojego umysłu, ponieważ nie prosiłeś nas o to. Ale najważniejsze jest to, że chłopiec Wtorek Lobsang Rampa ma te zdolności i zostaną one jeszcze bardziej rozwinięte. Nie mamy czasu na spory. Mamy ważne zadanie do wykonania. Chodź!

Podniósł się i zaprowadził mnie do tego wielkiego modlitewnego młynka.

Popatrzyłem na tę dziwną rzecz i odkryłem, że wcale nie był to młynek modlitewny, lecz jakieś urządzenie, około czterech stóp wysokości i około pięciu stóp szerokości, umieszczone cztery stopy nad ziemią. Z jednej strony znajdowały się w nim dwa małe okienka wypełnione czymś, co przypominało szkło. Z drugiej strony maszyny, daleko od jej środka, znajdowały się dwa dużo większe okna. Z boku sterczała długa rączka. Całość była dla mnie tajemnicą. Nie miałem najmniejszego pojęcia, co to mogło być.

- To jest urządzenie, Lobsang, za pomocą którego ci, co nie są jasnowidzami, mogą widzieć ludzką aurę - powiedział Wielki Lama Medyk. - Wielki Hinduski Lama Marfata przybył tu, by zasięgnąć naszej rady i nie chciał powiedzieć nam o naturze swojej dolegliwości. Mówił, że jeżeli wiemy tak wiele o ezoterycznej medycynie, powinniśmy rozpoznać ją sami, bez jego pomocy. Przyprowadziliśmy go tutaj, żeby zbadać za pomocą tej maszyny. Zgodził się zdjąć szatę, a ty obejrzyj go pierwszy i dokładnie określisz nam jego dolegliwość. Potem użyjemy tej maszyny, żeby zobaczyć, jak dalece zgadza się twoja diagnoza z diagnozą maszyny.

Mój Przewodnik wskazał miejsce pod ciemną ścianą i Hindus poszedł tam. Zdjął szatę i pozostałe części garderoby i stał pod ścianą brązowy i nagi.

- Lobsang! Przyjrzyj mu się bardzo dobrze i powiedz nam, co widzisz - powiedział mój Przewodnik.

Nie patrzyłem na Hindusa, lecz w pewien sposób w bok, i rozogniskowałem wzrok, jako że jest to najłatwiejszy sposób widzenia aury. Innymi słowy nie używałem zwykłego dwuocznego widzenia, lecz patrzyłem każdym okiem osobno. To bardzo trudno wytłumaczyć, ale jedno oko musi patrzeć w lewo, a drugie w prawo, na tym polega cała sztuka - sztuczka - której może nauczyć się prawie każdy.

Patrzyłem na Hindusa. Jego aura żarzyła się i falowała. Widziałem, że był naprawdę wielkim człowiekiem o wysokim potencjale intelektualnym, lecz, niestety, cały obraz mąciła tajemnicza choroba. Kiedy go oglądałem, wypowiadałem moje myśli, tak jak pojawiały się w moim umyśle. Nie wiedziałem, na ile uważnie mój Przewodnik i Wielki Lama Medyk słuchają moich słów.

- Bez wątpienia ta choroba została wywołana przez wiele napięć w ciele. Wielki Hinduski Lama był niezadowolony i sfrustrowany, co szkodziło jego zdrowiu powodując, że komórki jego ciała rozwijały się dziko, uciekały spod kontroli Wyższego Ja. I tak jego dolegliwość znajduje się tutaj - pokazałem wątrobę - a ponieważ jest raczej człowiekiem gorącego temperamentu, jego stan pogarsza się za każdym razem, gdy się złości. Z aury wynika, że gdyby stał się bardziej spokojny, bardziej łagodny, jak mój Przewodnik, Lama Mingyar Dondup, mógłby pozostać na Ziemi dłużej i zdołałby wypełnić więcej swoich zadań bez konieczności przybywania znowu.

Znowu zapadła cisza, i sprawiło mi przyjemność, że Hinduski Lama potakiwał głową, jakby w pełni zgadzał się z moją diagnozą. Lama Medyk Czinrobnobo podszedł do dziwnej maszyny i spojrzął przez jej małe okienka. Mój Przewodnik stanął przy korbie i zaczął nią kręcić ze wzrastającą siłą, aż Lama Medyk Czinrobnobo nakazał mu utrzymywać stałą prędkość obrotów. Przez pewien czas Lama Czinrobnobo patrzył przez urządzenie, potem wyprostował się i bez słowa ustąpił miejsca Lamie Mingyarowi Dondupowi, a sam obracał korbą, tak jak przedtem czynił to mój Przewodnik. Wreszcie skończyli badanie i stali porozumiewając się telepatycznie. Nie próbowałem przechwycić ich myśli, ponieważ byłby to duży brak szacunku i postawienie się na "niezasłużenie wysokiej pozycji". W końcu zwrócili się do Hindusa.

- Wszystko, co Wtorek Lobsang Rampa powiedział, jest prawdą. Zbadaliśmy twoją aurę bardzo starannie i sądzimy, że masz raka wątroby. Sądzimy również, że został on spowodowany przez brak opanowania. Uważamy, że jeżeli będziesz prowadził spokojne życie, pozostanie ci

jeszcze wiele lat, w których mógłbyś zakończyć swoje dzieło, jesteśmy gotowi przedstawić tę sprawę i jeżeli zgodzisz się na nasz plan, będziesz mógł pozostać tutaj, w Czakpori.

Hindus przez pewien czas dyskutował o sprawie, a potem dał znak dla Czinrobnobo i razem opuścili pokój. Mój Przewodnik, Lama Mingyar Dondup, poklepał mnie po ramieniu i powiedział:

- Dobra robota, Lobsang, dobra robota! Teraz chcę ci pokazać tę maszynę.

Podszedł do tego bardzo dziwnego urządzenia i podniósł z jednej strony jego wierzchnią obudowę. Całość poruszała się, a wewnątrz zobaczyłem szereg ramion odchodzących na wszystkie strony z centralnego wału. Na końcach ramion znajdowały się pryzmaty ze szkła rubinowoczerwonego, niebieskiego, żółtego i białego. Kiedy obracało się korbą, paski łączące ją z wałem wprawiały ramiona w ruch i widziałem, jak każdy pryzmat po kolei przecinał linię wzroku patrzącego przez dwa okulary. Mój Przewodnik pokazał mi, jak całość pracowała, a potem powiedział:

- Oczywiście jest to bardzo toporne i prymitywne urządzenie. Używamy go do eksperymentów i mamy nadzieję, że pewnego dnia powstanie mniejsza wersja. Ty nigdy nie będziesz go potrzebował, Lobsang, lecz niewielu jest takich, którzy posiadają zdolność widzenia aury tak wyraźnie jak ty. Za jakiś czas wyjaśnię ci działanie tego urządzenia bardziej szczegółowo. Krótko mówiąc, działa ono na zasadzie heterodiny, gdzie szybko obracające się barwne pryzmaty przerywają linię wzroku i w ten sposób zamazują zwykły obraz ludzkiego ciała i wzmacniają dużo słabsze promieniowanie nury.

Zamknął pokrywę i podszedł do innego przyrządu stojącego na stole w odległym kącie. Zbliżał się już do stołu, kiedy Lama Medyk Czinrobnobo wszedł do pokoju i przyłączył się do nas.

- Ach! — zawołał podchodząc do nas — więc zamierzasz sprawdzić siłę jego myśli? Dobrze! Muszę być przy tym!

Mój Przewodnik wskazał jakiś dziwny cylinder, wykonany z czegoś, co przypominało chropowaty papier.

- To jest, Lobsang, gruby, szorstki papier. Są w nim niezliczone otwory, zrobione tęym narzędziem, aby papier był poszarpany i posiadał występy. Papier zwinęliśmy w cylinder tak, żeby wszystkie występy znajdowały się na zewnątrz. W poprzek góry cylindra umocowaliśmy sztywną słomkę, która opiera się ostrej igle zamontowanej na małej podstawie. W ten sposób cylinder spoczywa na prawie beztarciowym łożysku. Teraz patrz!

Usiadł i położył dłonie po obu stronach cylindra, nie dotykając go, pozostawiając około jednego czy półtora cala przestrzeni pomiędzy rękami, a występami. Niebawem cylinder zaczął się obracać. Zdumiony patrzyłem jak zwiększała prędkość, która wkrótce stała się dość znaczna. Mój Przewodnik zatrzymał cylinder dotknięciem i umieścił swoje dłonie w przeciwnym kierunku. Teraz palce - zamiast wskazywać od jego ciała, jak to miało miejsce poprzednio - wskazywały w kierunku jego ciała. Cylinder zaczął obracać się, ale w przeciwnym kierunku!

- Dmuchasz na niego! - powiedziałem.

- Wszyscy tak mówią! - odpowiedział Lama Medyk Czinrobnobo - ale się mylą.

Wielki Lama Medyk podszedł do wnęki w przeciwległej ścianie i wrócił niosąc grubą szybę. Zaniósł ją ostrożnie do mojego Przewodnika, Lamy Mingyara Dondupa. Mój Przewodnik zatrzymał obracający się cylinder i spokojnie poczekał, aż Wielki Lama Medyk Czinrobnobo umieści szybę pomiędzy nim, a papierowym cylindrem.

- Pomyśl o wirowaniu - powiedział Medyczny Lama. Mój Przewodnik najwidoczniej tak uczynił, ponieważ cylinder znowu zaczął obracać się. Szkło całkowicie uniemożliwiło mojemu Przewodnikowi, czy komukolwiek innemu, dmuchanie na cylinder i obracanie go w ten sposób. Ponownie zatrzymał cylinder i zwrócił się do mnie.

- Spróbuj ty, Lobsang! - powiedział ustępując mi miejsce.

Usiadłem i umieściłem dłonie dokładnie tak, jak to robił mój Przewodnik. Lama Medyk Czinrobnobo trzymał przede mną szybę, aby mój oddech nie wpływał na obracanie się cylindra. Siedziałem, czując się jak głupiec. Najwyraźniej cylinder też myślał, że nim jestem, bo nic się nie wydarzyło.

- Pomyśl o wprawianiu go w ruch, Lobsang! - powiedział mój Przewodnik.

Zrobiłem tak i przedmiot natychmiast zaczął się kręcić. Przez chwilę miałem ochotę rzucić wszystko i uciec - myślałem, że to czary. Ale rozum (mający nim być!) zwyciężył i po prostu siedziałem cicho.

- Ten przyrząd, Lobsang - powiedział mój Przewodnik - jest uruchamiany siłą ludzkiej aury. Myślisz o obracaniu, a twoja aura tworzy zawirowanie wokół cylindra, które zmusza go do obracania się. Może będziesz zainteresowany, że z urządzeniem takim jak to eksperymentowano we wszystkich większych krajach świata. Najwięksi naukowcy próbowali wyjaśnić sposób działania tego urządzenia, lecz ludzie Zachodu oczywiście nie mogą uwierzyć w siłę eteryczną, a wymyślane przez nich wyjaśnienia są przez to jeszcze dziwniejsze niż rzeczywista siła eteryczna!

- Czuję się bardzo głodny, Mingyar Dondup - powiedział Wielki Lama Medyk. - Myślę, że nadszedł czas, abyśmy udali się do naszych pokoi na odpoczynek i posiłek. Nie wolno nam poddawać próbie zdolności tego młodego człowieka ani jego wytrzymałości, ponieważ w przyszłości będzie miał tego wystarczająco dużo.

W pokoju zostały zgaszona światła, a my ruszyliśmy w górę kamiennym korytarzem do głównego budynku Czakpori. Wkrótce znalazłem się w pokoju z moim Przewodnikiem, Lamą Mingyrem Dondupem. Wkrótce - radosna myśl - spożywałem posiłek i czułem się z tego powodu coraz lepiej.

- Najedz się dobrze, Lobsang - powiedział mój Przewodnik. - Jeszcze dzisiaj ponownie spotkamy się i będziemy omawiać inne sprawy.

Mniej więcej przez godzinę odpoczywałem w swoim pokoju, wyglądając przez okno. Zawsze lubiłem patrzeć z wysoko położonych miejsc i obserwować poruszający się poniżej świat. Uwielbiałem obserwować kupców przybywających powoli przez Zachodnią Bramę. Każdy ich krok zdradzał radość z dotarcia do kresu długiej i wyczerpującej podróży przez wysokie górskie przełęcze. W przeszłości kupcy opowiadali mi o cudownym widoku z pewnego miejsca na wysokiej przełęczy. Gdy ktoś wędrował od granicy z Indiami, mógł spojrzeć stamtąd w dół przez górska rozpadlinę i zobaczyć Święte Miasto z jego dachami lśniącymi złotem. Dalej mógł zobaczyć białe ściany "Stosu Ryżu", rzeczywiście wyglądające jak stos ryżu hojnie rozsypanego po górskich stokach. Uwielbiałem obserwować przewoźnika pokonującego Szczęśliwą Rzekę i zawsze miałem nadzieję, że zobaczę, jak jego łódź z napompowanych skór zostanie przedziurawiona. Pragnąłem zobaczyć go stopniowo pogrążającego się w wodzie, aż w końcu jedynie jego głowa wystawałaby nad powierzchnią. Jednak nigdy nie miałem tego szczęścia, przewoźnik zawsze docierał na drugi brzeg, zabierał swój ładunek i wracał.

Wkrótce ponownie byłem z moim Przewodnikiem, Lamą Mingyrem Dondupem i Wielkim Lamą Medykiem Czinrobnobo w tym nisko położonym pokoju.

- Lobsang! - powiedział Wielki Lama Medyk Czinrobnobo. - Jeżeli zamierzasz badać pacjenta, żeby mu pomóc, to jego lub jej ubranie powinno zostać całkowicie zdjęte.

- Dostojny Lamo Medyku! - odezwałem się z pewnym zakłopotaniem. - Nie znajduję powodu, dla którego miałbym pozbawiać kogoś ubrania przy tej zimnej pogodzie. Mogę doskonale widzieć każdą aurę bez potrzeby zdejmowania jakiegokolwiek części garderoby. A poza tym... och! Szanowny Lamo Medyku! Jak mógłbym prosić kobietę o zdjęcie ubrania?

Wywróciłem oczami w przerażeniu na samą tę myśl. Musiałem wyglądać dosyć komicznie, bo zarówno mój Przewodnik, jak i Lama Medyk wybuchnęli śmiechem. Usiedli, i naprawdę dobrze się bawili. Stałem przed nimi czując się bardzo głupio, ale naprawdę te sprawy zawsze wprawiały mnie w zakłopotanie. Mogłem widzieć aurę doskonale - bez żadnych kłopotów - i nie widziałem powodu, żeby odstępować od mojej zwykłej praktyki.

- Lobsang! - powiedział Lama Medyk. - Jesteś bardzo uzdolnionym jasnowidzem, ale są pewne rzeczy, których jeszcze nie widzisz. Byliśmy świadkami nadzwyczajnego pokazu twoich zdolności widzenia ludzkiej aury, lecz nie ujrzałeś dolegliwości wątroby Hinduskiego Lamy Marfaty, gdyby ten nie zdjął ubrania.

Zamyśliłem się nad tym i musiałem przyznać, że to była prawda. Oglądałem Hinduskiego Lamę, gdy był ubrany i chociaż widziałem dużo odnośnie jego charakteru i głównych cech, ciągle nie mogłem dostrzec choroby jego wątroby.

- Masz całkowitą rację. Dostojny Lamo Medyku - odpowiedziałem. - Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat.

Mój Przewodnik, Lama Mingyar Dondup, popatrzył na mnie i powiedział:

- Kiedy patrzysz na aurę jakiegoś człowieka, chcesz widzieć aurę tego człowieka, nie interesują cię myśli owcy, z której wełny wykonano szatę. Na każdą aurę wpływa to, co znajduje się na drodze jej promieni. Mamy tutaj szybę i jeżeli dmuchnę na nią, wpłynie to na to, co przez nią zobaczysz. Chociaż szybka jest przezroczysta, faktycznie zmienia światło, czy raczej kolor światła przechodzącego przez nią. Tak samo dzieje się, gdy patrzysz przez kawałek kolorowego szkła. Na skutek jego oddziaływania zmienia się intensywność wszystkich wibracji, które odbierasz od jakiegoś przedmiotu. Tak więc osoba, która ma na ciele ubranie lub jakieś ozdoby, ma zmienioną aurę zgodnie z eteryczną zawartością ubrania lub ozdób.

Rozmyślałem nad tym i musiałem się zgodzić, że w tym, co mówił, było dużo racji.

- Dalej należy uwzględnić - kontynuował - że każdy organ ciała rzuca na ciało eteryczne i aurę swój własny obraz - obraz własnego stanu zdrowia lub choroby. Kiedy ktoś jest nieokryty i wolny od wpływu odzieży, poprawia się widok aury, którą obserwujesz. Oczywiście jest, że jeżeli zamierzasz komuś pomóc, zdrowemu czy choremu, musisz badać go bez ubrania. Uśmiechnął się do mnie i powiedział:

- A jeżeli będzie zimno, dlaczego wówczas, Lobsang, nie zabrać go do cieplejszego miejsca!

- Dostojny Lamo - powiedziałem - jakiś czas temu wyjawileś mi, że pracujesz nad urządzeniem, które umożliwiłoby człowiekowi leczyć choroby poprzez aurę.

- To prawda, Lobsang - odpowiedział mój Przewodnik. - Choroba to po prostu dysonans w wibracjach ciała. To zakłócona szybkość wibracji molekularnych organu decyduje o tym, że jest on chory. Gdybyśmy rzeczywiście mogli widzieć, jak bardzo wibracje organu odbiegają od stanu normalnego, to przywracając właściwą szybkość wibracji wyleczylibyśmy go. W przypadku choroby psychicznej zwykle mózg otrzymuje informacje od Nadświadomości, których nie potrafi właściwie zinterpretować - dlatego skutki działań odbiegają od tego, co jest uznawane za normalne zachowanie człowieka. Tak więc, jeżeli człowiek nie jest zdolny, by pojmować lub działać w normalny sposób, mówi się o nim, że ma zaburzenia psychiczne. Mierząc niezgodność - przy słabej stymulacji - możemy pomóc człowiekowi odzyskać normalną równowagę. Wibracje mogą być niższe niż zwykle, co wynika ze zbyt słabej stymulacji, lub wyższe niż normalnie, co powodowałoby stan podobny do gorączki mózgu. Oczywiście chorobę można wyleczyć poprzez oddziaływanie na aurę.

Tutaj wtrącił się Wielki Lama Medyk.

- Nawiasem mówiąc. Szanowny Kolego - powiedział - Lama Marfata omawiał tę sprawę ze mną i powiedział, że w pewnych miejscach w Indiach - w pewnych odosobnionych klasztorach - przeprowadzane są eksperymenty z urządzeniem do wytwarzania bardzo wysokich napięć, znanym jako - zawahał się - jako generator Graafa.

Był nieco niepewny tej nazwy, lecz dokonywał naprawę wielkiego wysiłku, żeby przedstawić nam dokładną informację.

- Ten generator widocznie wytwarza niezwykle wysokie napięcie przy niezwykle niskim prądzie. Podłączony w określony sposób do ciała powoduje wielokrotny wzrost intensywności aury. Może ją wówczas wyraźnie obserwować nawet! osoba nie będąca jasnowidzem. Wiadomo mi również, że w takich warunkach wykonywano zdjęcia ludzkiej aury.

Mój Przewodnik skinął potwierdzająco i powiedział:

- Tak. Ludzką aurę można również widzieć z pomocą specjalnego barwnika, płynu, który jest umieszczony pomiędzy dwiema szklanymi płytkami. Przy zastosowaniu odpowiedniego oświetlenia i tła, oglądając nagie ludzkie ciało przez ten ekran, wiele osób może rzeczywiście widzieć aurę.

- Ależ dostojni Panowie! - odezwałem się wzburzony. - Dlaczego ludzie używają wszystkich tych sztuczek? Ja mogę widzieć aurę - dlaczego oni nie mogą?

Moi dwaj nauczyciele roześmiali się znowu. Tym razem nie uznali za konieczne wyjaśnić mi różnicę pomiędzy szkoleniem, jakie ja otrzymałem, a szkoleniem przeciętnego mężczyzny czy

kobiety z ulicy.

- Teraz szukamy na oślepie - powiedział Lama Medyk. - Próbujemy leczyć naszych pacjentów na podstawie doświadczenia, ziołami, pigułkami i napojami leczniczymi. Jesteśmy jak ślepy próbujący znaleźć szpilkę upuszczoną na ziemię. Chciałbym kiedyś zobaczyć jakieś małe urządzenie, dzięki któremu każda osoba nie będąca jasnowidzem mogłaby patrząc przez nie widzieć ludzką aurę, widzieć wszystkie defekty ludzkiej aury. Widząc je byłaby w stanie leczyć niezgodności czy braki, które tak naprawdę są przyczyną choroby.

Przez resztę tygodnia pokazywano mi różne rzeczy za pomocą hipnozy i telepatii, a moje zdolności zostały zwiększone i wzmocnione. Prowadziliśmy rozmowę za rozmową o najlepszych sposobach widzenia aury i opracowania maszyny, która także mogłaby widzieć aurę. Ostatniej nocy tego tygodnia poszedłem do mojego małego pokoiku w Klasztorze Czakpori i wyglądałem przez okno myśląc o tym, że nazajutrz ponownie wrócę do tej wielkiej sypialni, gdzie spałem w towarzystwie tak wielu innych mnichów.

W Dolinie migotały światła. Ostatnie gasnące promienie słońca wyzierały sponad skalistego brzegu naszej Doliny i rozświetlały ją, skrząc się na złotych dachach, wysyłając w górę kaskady złotego światła rozszczepiające się na mieniące się złotem tęczowe barwy. Barwy błękitne, żółte, czerwone, a nawet zielone usiłowały przyciągnąć wzrok, przygasając coraz bardziej wraz ze światłem. Wkrótce całą Dolinę spowił tak ciemny aksamit, tak ciemny niebiesko-fioletowy, purpurowy aksamit, że mógłby być kołdrą nocy. Przez otwarte okno czułem woń wierzb i zapach roślin w ogrodzie położonym tak daleko na dole. Błąkający się wiatr przynosił do moich nozdrzy silniejsze zapachy pyłków i pączków kwiatów.

Ostatnie gasnące promienie słońca utonęły za horyzontem. Badające palce światła już nie przechodziły przez krawędź naszej otoczonej skatami Doliny. Strzelały w ciemniejące niebo i odbijały się czerwienią i błękitem na nisko leżących chmurach. Stopniowo noc stawała się ciemniejsza, a zachodzące słońce pogrążało się coraz dalej i dalej za krańce naszego świata. Wkrótce na ciemno purpurowym niebie pojawiły się jasne plamki światła, Saturn, Wenus, Mars. I wtedy rozlało się światło wiszące na niebie niepełnego Księżyca z wyraźnymi krostkami i bliznami na jasnej tarczy, którą przecinała lekka, pierzasta chmura. Przypominało mi to kobietę wciągającą na siebie odzież po badaniu jej aury. Odszedłem od okna i z całą mocą postanowiłem zrobić wszystko, co mogę, żeby powiększyć wiedzę o ludzkiej aurze i dopomóc tym, którzy wyruszyli w wielki świat, by nieść pomoc i ulgę milionom cierpiących. Położyłem się na kamiennej podłodze i kiedy tylko dotknąłem głową mojej zwiniętej szaty, zapadłem w sen.

Rozdział IX

Trwała głęboka cisza. Nastrój skupienia potęgował się. Po długich przerwach dochodził prawie niesłyszalny szelest, który prędko ustawał w śmiertelnej ciszy. Rozglądałem się dookoła, patrząc na długie szeregi nieruchomych, siedzących prosto na podłodze, postaci w szatach. Wszyscy byli skupieni, skoncentrowani na działaniach zewnętrznego świata. Niektórzy z nich więcej mieli do czynienia z działaniami świata *zewnętrznego* w odniesieniu do naszego! Moje spojrzenie wędrowało z jednej majestatycznej postaci na drugą. Był tam wielki Opat z odległej krainy. Był też jakiś przybyły z gór lama w biednej, skromnej szacie. Aby mieć więcej miejsca bezmyślnie przesunąłem jeden z długich, niskich stołów. Cisza była nie do wytrzymania, żywa cisza, cisza, która nie powinna zalegać wśród tak wielu ludzi.

Krasz! Cisza została brutalnie i głośno przerwana. Podskoczyłem na swoim miejscu na stopę w górę i jakoś obróciłem dookoła w tym samym czasie. Na podłodze, wyciągnięty na całą długość, leżał wciąż oszołomiony posłaniec biblioteczny, a wokół niego jeszcze klekotały książki w

drewnianych oprawach. Wchodząc ciężko obciążony nie zauważył przesuniętego przeze mnie stołu, który, mając tylko osiemnaście cali wysokości, skutecznie go podciął i teraz znajdował się na nim.

Troskliwe ręce delikatnie podnosiły książki i otrząsały je z kurzu. W Tybecie książki są szanowane. Książki zawierają wiedzę i nie wolno ich znieważać ani źle traktować. Teraz także wszyscy myśleli wpięro o książkach, nie o człowieku. Podniosłem stół i usunąłem go z przejścia. Co dziwniejsze, nikomu nie przyszło na myśl, że to ja w pewien sposób byłem winny! Posłaniec, pocierając sobie głowę, próbował odtworzyć co się stało. Nie było mnie w pobliżu; oczywiście nie mogłem go przewrócić. Potrząsając głową w zdumieniu posłaniec odwrócił się i wyszedł. Wkrótce zapanował spokój, a lamowie powrócili do swej lektury w bibliotece.

Uszkodziwszy sobie górę i dół (dosłownie!) podczas pracy w kuchni, byłem stamtąd ciągle wyganiany. Teraz, dla odbycia "służebnej" pracy, musiałem chodzić do wielkiej biblioteki i odkurzać rzeźby na okładkach książek i w ogóle utrzymywać to miejsce w czystości. Tybetańskie książki są duże i ciężkie. Drewniane okładki są misternie rzeźbione, przedstawiają tytuł i często także jakiś obraz. To była ciężka praca - zdejmowanie książek z półek, przenoszenie ich w milczeniu do mojego stołu, odkurzanie ich, a potem odnoszenie z powrotem w wyznaczone dla nich miejsca. Bibliotekarz był bardzo dokładny, ostrożnie badał każdą książkę, żeby zobaczyć, czy rzeczywiście była czysta. Znajdowały się tam także drewniane okładki spinające zagraniczne czasopisma i gazety. Je szczególnie lubiłem oglądać, chociaż nie mogłem przeczytać ani jednego słowa. Wiele z tych pochodzących sprzed miesięcy gazet miało rysunki i mogłem ślęczeć nad nimi, kiedy tylko była ku temu okazja. Im bardziej bibliotekarz próbował mnie powstrzymać, tym więcej zaglądałem do tych zakazanych książek, kiedy nie zwracał na mnie uwagi.

Fascynowały mnie zdjęcia pojazdów kołowych. Nie było, oczywiście, żadnych pojazdów kołowych w całym Tybecie, a nasze prorocтва wskazywały wyraźnie, że z chwilą przybycia kół do Tybetu nastąpi "początek końca". Tybet wtedy zostanie zajęty przez złą siłę, która rozprzestrzeni się w świecie jak choroba rakowa. Mieliśmy nadzieję, że pomimo Prorocтва, większe, potężniejsze narody nie będą zainteresowane naszym małym krajem, który nigdy nie miał wojennych zamiarów, ani żadnych roszczeń do życiowej przestrzeni innych nacji.

Oglądałem zdjęcia i byłem zafascynowany. W jednym z czasopism (oczywiście nie wiedziałem, jak się nazywało) zobaczyłem pewne zdjęcia - całą ich serię - które pokazywały drukowanie czasopisma. Były tam olbrzymie maszyny z wielkimi wałkami i potężnymi zębami kołami. Ludzie na zdjęciach pracowali jak szaleni i pomyślałem od razu, jak inaczej było u nas, w Tybecie. Tutaj człowiek pracował będąc dumny ze swojego mistrzostwa i z dobrze wykonanej pracy. W umyśle rzemieślnika z Tybetu nigdy nie pojawiała się myśl o handlu. Przeglądałem te strony ponownie, a potem myślałem o tym, jak my wytwarzamy rzeczy.

Książki drukowano na dole, we wsi Szó. Zręczni mnisi rzeźbiarze rzeźbili we wspaniałym drewnie tybetańskie litery, rzeźbili je powoli, co zapewniało absolutną dokładność, absolutną wierność co do najdrobniejszego szczegółu. Gdy rzeźbiarze kończyli pracę nad deską drukarską, inni ją przejmowali i polerowali, aby żadna skaza, żadna chropowatość nie pozostała na drewnie. Następnie deskę zabierano, by inni sprawdzili dokładność tekstu, ponieważ żadna pomyłka nie mogła wkrącić się do tybetańskiej książki. Czas nie grał roli, dokładność tak.

Deski po wyrzeźbieniu, starannym wypolerowaniu i sprawdzeniu, czy nie zawierają błędów lub skaz, trafiały do mnichów drukarzy. Ci układali je rzeźbą do góry na ławie, a potem наносili wałkiem farbę drukarską na wypukłe, wyrzeźbione słowa. Oczywiście wszystkie słowa rzeźbiono w odbiciu lustrzanym, żeby po wydrukowaniu mogły pojawić się w prawidłowy sposób. Na deskę pokrytą farbą drukarską i jeszcze raz starannie sprawdzoną żeby upewnić się, czy każda jej część została nasycona farbą, nakładano arkusz sztywnego papieru podobnego do egipskiego papirusu. Lekko dociskano wałkiem odwrotną stronę papieru, a potem jednym szybkim ruchem zdejmowano go z powierzchni drukującej. Mnisi inspektorzy natychmiast przejmowali wydrukowaną stronę i szczegółowo sprawdzali ją. Jeżeli odkryli jakąkolwiek usterkę, papier nie był wyrzucany ani palony, lecz pakowany w paczki.

Słowo drukowane w Tybecie jest uważane prawie za święte. Poczytuje się za obraz wiedzy

niszczenie lub uszkodzenie papieru, który zawiera słowa nauki albo religii. Dlatego latami Tybet gromadził paczkę za paczką, stos za stosem źle wydrukowanych arkuszy.

Jeżeli arkusz papieru został uznany za wydrukowany prawidłowo, drukarze otrzymywali komendę "naprzód" i kontynuowali produkcję kolejnych arkuszy, z których każdy sprawdzano tak samo dokładnie jak pierwszy. Często obserwowałem drukarzy przy pracy i w trakcie mojej nauki sam musiałem ją podjąć. Rzeźbiłem drukowane słowa w rewersie, polerowałem rzeźby, a po skrupulatnym sprawdzeniu nasyciałem je farbą i drukowałem książki.

Tybetańskie książki nie są tak oprawiane jak książki zachodnie. Tybetańska książka jest długa, a może lepiej byłoby powiedzieć, że szeroka i bardzo krótka, ponieważ tybetańska linia druku - ciąga się na kilka stóp, lecz strona ma tylko stopę wysokości. Wszystkie arkusze zawierające niezbędne strony powinny zostać ostrożnie rozłożone i bez oglądania się na czas - przecież nie ma pośpiechu - wysuszone. Kiedy przebyły okres suszenia, składano je razem. Najpierw do deski podstawy przymocowywano dwie taśmy, potem przytwierdzano do niej strony książki we właściwym porządku, a kiedy cała książka została złożona, na stosie wydrukowanych stron umieszczano inną ciężką deskę, która tworzyła okładkę. Tę ciężką deskę zdobiły zawile rzeźby, być może pokazujące sceny z książki i oczywiście zawierające jej tytuł. Dwie taśmy ze spodniej deski przekładano i wiązano teraz po drugiej stronie deski wierzchniej. Wywierano przy tym znaczny nacisk, żeby wszystkie arkusze ścisnąć w jedną zwartą masę. Szczególnie wartościowe księgi ostrożnie zawijano później w jedwab i pieczętowano. Jedyne osoby z odpowiednim autorytetem mogły otworzyć to opakowanie i zakłócić spokój tak starannie wydrukowanych książek!

Wydawało mi się, że wiele tych zachodnich zdjęć przedstawiało kobiety w znacznym stopniu obnażone. Przyszło mi do głowy, że kraje te muszą być bardzo gorącymi krajami, bowiem jak inaczej kobiety mogłyby chodzić tak skąpo odziane? Na niektórych zdjęciach leżeli ludzie, najprawdopodobniej martwi, podczas gdy stojący nad nimi nikczemnie wyglądający człowiek trzymał kawałek metalowej rury, z której wydobywał się dym. Nigdy nie mogłem zrozumieć powodu, dla którego - jak sądziłem po własnych wrażeniach - ludzie zachodniego świata uczynili swoim głównym hobby chodzenie wokół i zabijanie innych ludzi. Potem wysocy mężczyźni w dziwnych ubraniach przychodzili i zakładali metalowe przedmioty na ręce, czy nadgarstki, osoby z dymiącą rurą.

Skąpo ubrane kobiety nie niepokoiły mnie wcale, ani nie wzbudzały we mnie szczególnego zainteresowania, ponieważ buddysta i Hindus, a w istocie wszyscy ludzie Wschodu, wiedzą dobrze, że seks jest niezbędny w ludzkim życiu. Wiadomo było, że doznanie seksualne jest być może najwyższą formą ekstazy, jaką człowiek może zaznać dopóki przebywa w ciele. Z tego powodu wiele naszych religijnych malowideł pokazywało mężczyznę i kobietę - zwykle w odniesieniu do Boga i Bogini - w uścisku najściślejzym ze ścisłych. Ponieważ fakty życia i narodzin były tak dobrze znane, nie było szczególnej potrzeby maskowania tego, co było faktem, a czasami szczegóły były prawie fotograficzne. Dla nas nie było to w żaden sposób pornografią, ani w żaden sposób nieprzyzwoite, lecz po prostu było najbardziej dogodną metodą pokazania, że w związku mężczyzny i kobiety powstają pewne szczególne doznania. To wyjaśniało, że w związku dusz można było zaznać jeszcze większej przyjemności, lecz, oczywiście, nie mogło zdarzyć się to w tym świecie.

Z rozmów z handlarzami w Lhasie, we wsi Szó, i z tymi, którzy odpoczywali na skraju drogi przy Zachodniej Bramie, uzyskałem zdumiewającą informację, że w zachodnim świecie uważa się za nieprzyzwoite wystawianie swojego ciała na widok innej osoby. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego tak miałyby być, gdyż najbardziej elementarnym faktem życia jest istnienie dwóch płci. Pamiętałem rozmowę ze starym kupcem, który często wędrował na trasie pomiędzy Kalimpong w Indiach a Lhasą. Przez pewien czas postawiłem sobie za zadanie spotkanie go przy Zachodniej Bramie i pozdrowanie go, ilekroć odwiedzał nasz kraj. Często przystawaliśmy i długo gawędziliśmy. Ja informowałem go co nowego w Lhasie, a on przekazywał mi nowiny z wielkiego świata na zewnątrz. Często także przynosił książki i czasopisma dla mojego Przewodnika, Lamy Mingyara Dondupa, a na mnie spoczywało przyjemne zadanie dostarczania

ich. Ten znajomy handlarz powiedział mi raz:

- Mówiłem ci dużo o ludziach Zachodu, lecz ciągle ich nie rozumiem. Zwłaszcza jedno z ich powiedzeń nie ma dla mnie sensu. *Człowiek jest stworzony na obraz Boga* mówią i boją się pokazać swoje ciało, które przecież, jak głoszą, zostało stworzone na podobieństwo Boga. Czy to znaczy, że oni wstydzą się boskiej postaci?

Spojrzał na mnie pytająco, a ja oczywiście byłem całkowicie zagubiony, nie mogłem odpowiedzieć na jego pytanie. Człowiek jest stworzony na obraz Boga. Dlatego, jeżeli Bóg jest najwyższą doskonałością - jak powinno być w tym przypadku - nie powinno być wstydem pokazywanie obrazu Boga. My, tak zwani poganie, nie wstydziliśmy się naszych ciał. Wiedzieliśmy, że bez seksu nie byłoby kontynuacji gatunku. Wiedzieliśmy, że seks, oczywiście przy odpowiednich okazjach i w odpowiednich warunkach, zwiększa uduchowanie i męzczyzny, i kobiety.

Zdumiało mnie także, kiedy dowiedziałem się, że niektórzy mężczyźni i kobiety, którzy być może przez lata byli małżeństwami, nigdy nie widzieli nagiego ciała drugiego małżonka. Kiedy usłyszałem, że "uprawiają miłość" jedynie przy opuszczonych zasłonach i wyłączonym świetle, pamiętam, że pomyślałem, iż mój informator bierze mnie za wiejskiego prostaka, który rzeczywiście jest zbyt głupi, żeby wiedzieć, co dzieje się na świecie. Po jednej z takich opowieści postanowiłem, że przy pierwszej okazji zapytam mojego Przewodnika, Lamę Mingyara Dondupa, o seks w świecie Zachodu. Odwróciłem się tyłem do Zachodniej Bramy i pognałem drogą do wąskiej, niebezpiecznej ścieżki, z której my, chłopcy z Czakupori, korzystaliśmy chętniej niż ze zwykłej drogi. Ścieżka ta mogła przestraszyć alpinistę. Często nas także przerażała, lecz za punkt honoru poczytywano nie używać innej ścieżki, chyba że byliśmy w towarzystwie starszyny lub zwierchników. Sposób posuwania się w górę wymagał czepiania się rękami o wystające "zęby" skały, ryzykownego wiszenia w pewnych odsłoniętych miejscach i ciągłego robienia czegoś, czego nikt przy zdrowych zmysłach nie zrobiłby nawet wtedy, gdyby oferowano mu fortunę. W końcu osiągnąłem szczyt i dotarłem do Czakupori trasą, która była nam dobrze znana i która doprowadziłaby nadzorców do szału, gdyby ją również znali. W ten sposób stanąłem na wewnętrznym dziedzińcu daleko bardziej wyczerpany, niż gdybym przybył zwykłą drogą, lecz przynajmniej honor został uratowany. Odbylem tę drogę w górę nieco szybciej, niż niektórzy chłopcy odbywali ją w dół.

Wytrzeptałem kurz i małe kamyki z szaty i opróżniłem moją miskę zawierającą wiele małych roślin, a potem, czując, że właściwie wyglądam, skierowałem się do środka w poszukiwaniu mojego Przewodnika. Lamy Mingyara Dondupa. Kiedy skręciłem za róg, zobaczyłem go oddalającego się ode mnie.

- O! Dostojny Lamo! - zawołałem.

Zatrzymał się, odwrócił i podszedł do mnie. Chyba żaden inny człowiek w Czakupori nie zdobyłby się na to. Mój Przewodnik traktował każdego mężczyznę i chłopca jak równego sobie. Zwykł mawiać, że nie liczy się zewnętrzna postać, nie ciało, w którym ktoś obecnie przebywa, lecz to, co w głębi - to, co kontroluje ciało. Mój Przewodnik sam był Wielką Inkarnacją, która z łatwością została rozpoznana po powrocie do ciała. Zawsze będę pamiętał, że ten wielki człowiek był skromny i zawsze zważał na uczucia nie tylko tych, którzy byli po prostu "nie tak wielcy", lecz i tych którzy - mówiąc bez ogródek - plasowali się całkiem nisko.

- Och, Lobsang! - powiedział mój Przewodnik - widziałem, jak nadchodziłeś tą zakazaną ścieżką. Gdybym to ja był nadzorcą, bolałoby cię teraz w wielu miejscach. Byłbyś szczęśliwy mogąc ustać na nogach przez wiele godzin.

Roześmiał się i powiedział:

- Mimo to ja też robiłem dokładnie te same rzeczy i ciągle doznaję czegoś, co jest zakazanym dreszczem, gdy widzę innych, jak robią to, czego ja już robić nie mogę. W każdym razie, skąd ten pośpiech?

Spojrzałem na niego.

- Dostojny Lamo - powiedziałem. - Usłyszałem okropne rzeczy o ludziach ze świata Zachodu i mój umysł doprawdy pozostaje w ciągłym wzburzeniu. Dlatego też nie potrafię powiedzieć, czy

zostałem wyśmiany - czy zrobiono ze mnie jeszcze większego głupca, niż jestem - czy cuda, jakie mi opisano, naprawdę są faktem?

- Chodź ze mną, Lobsang - odpowiedział mój Przewodnik. - Właśnie idę do mojego pokoju. Zamierzałem medytować, lecz zamiast tego omówimy te rzeczy. Medytacja może poczekać.

Zawróciliśmy i razem poszliśmy do pokoju Lamy Mingyara Dondupa - jednego z tych, których okna wychodziły na Park Klejnotów. Wszedłem za nim do pokoju, a on, zamiast od razu usiąść, zadzwonił na służącego, by przyniósł nam herbatę. Później zaprowadził mnie do okna i wyjrzelśmy na ten śliczny zakątek ziemi. Zakątek, który być może był jednym z najpiękniejszych miejsc na całym świecie. Poniżej nas, nieznacznie na lewo, rozciągał się żyzny, zadrzewiony ogród znany jako Norbu Linga lub Park Klejnotów. Piękna, czysta woda połyskiwała wśród drzew, a położona na wyspie mała Świątynia Najdostojniejszego błyszczała w promieniach słońca. Ktoś przechodził kamienną groblą – ścieżką przez wodę ułożoną z płaskich kamieni z odstępami pomiędzy nimi, aby woda i ryby mogły swobodnie przepływać. Przyglądałem się uważnie i zdawało mi się, że mogę rozpoznać jednego z ważniejszych członków rządu.

- Tak, Lobsang, on idzie zobaczyć się z Najdostojniejszym - odpowiedział mój Przewodnik na moją niewypowiedzianą myśl.

Przyglądaliśmy się przez pewien czas. Przyjemnie było spoglądać na park i Szczęśliwą Rzekę za nim, która skrzyła się i tańczyła, jakby radowała się pięknym dniem. Dalej mogliśmy też widzieć przeprawę - jedno z moich ulubionych miejsc. Widok przewoźnika na łodzi z nadmuchanych skór, wiosłującego wesoło do drugiego brzegu był dla mnie nie kończącym się źródłem przyjemności i zdumienia,

W dole, pomiędzy nami a Norbu Linga, pielgrzymi powoli posuwali się drogą Lingkor. Szli ledwie spoglądając na nasze Czakpori, lecz ciągle wypatrywali czegoś interesującego w Parku Klejnotów. Każdy z zawsze czujnych pielgrzymów wiedział, że Najdostojniejszy mógł przebywać w Norbu Linga. Mogłem również widzieć Kashya Linga, mały, mocno zadrzewiony park, przylegający do drogi Przeprowowej - małej drogi prowadzącej od drogi Lingkor w dół, do Kyi Czu, używanej głównie przez podróżnych, którzy chcieli skorzystać z przeprawy. Jednak niektórzy używali jej, by dotrzeć do Ogrodu Lamów, po drugiej stronie drogi Przeprowowej.

Usługujący mnich przyniósł nam herbatę i smaczne jedzenie.

- Chodź, Lobsang, przerwijmy post - powiedział Mój Przewodnik, Lama Mingyar Dondup. - Mężczyźni, którzy zamierzają dyskutować nie powinni mieć pustki w brzuchu, aby ich głowa również nie okazała się pusta!

Usiadł na jednej z twardych poduszek, których w Tybecie używamy zamiast krzeseł, bowiem siadamy na podłodze krzyżując nogi. Usiadłszy wskazał mi, bym poszedł za jego przykładem, co żwawo uczyniłem, gdyż widok jedzenia zawsze nakazywał mi pośpiech. Jedliśmy we względnej ciszy. W Tybecie, szczególnie wśród mnichów, nie ma zwyczaju mówić lub czynić hałas, kiedy się posilamy. Sami mnisi jedzą w milczeniu, lecz jeśli są w większej liczbie, lektor czyta na głos Święte Księgi. Lektor powinien przebywać na podwyższonym miejscu, skąd widząc swą księgę może także widzieć zgromadzonych mnichów i natychmiast zobaczyć tych, którzy są tak zajęci jedzeniem, że nie mają czasu słuchać jego słów. Na zgromadzeniu jedzących mnichów powinni być obecni również nadzorcy, żeby patrzeć, czy nie mówi nikt prócz mnicha lektora. Lecz my byliśmy sami. Wymieniliśmy kilka przypadkowych uwag wiedząc, że wiele z naszych zwyczajów, takich jak milczenie przy posiłkach, sprzyja dyscyplinie, kiedy ktoś przebywa w tłumie, ale nie jest to konieczne dla takiej pary jak my. Tak oto, we własnej próżności, uznałem siebie za towarzysza jednego z naprawdę wielkich ludzi mego kraju.

- Cóż, Lobsang - powiedział mój Przewodnik, kiedy skończyliśmy posiłek. - Powiedz mi, czym się tak przejąłeś?

- Dostojny Lamo! - odpowiedziałem nieco podniecony. - Kupiec wędrujący przez nasz kraj, z którym rozmawiałem przy Zachodniej Bramie, udzielił mi pewnych godnych uwagi informacji o ludziach Zachodu. Powiedział mi, że uważają nasze religijne obrazy za nieprzyzwoite. Opowiedział mi jakieś niewiarygodne rzeczy o ich obyczajach seksualnych i ciągle nie jestem

pewien, czy nie uważał mnie za głupca.

Mój Przewodnik popatrzył na mnie i myślał przez chwilę albo dwie, a potem odezwał się:

- Roztrząsanie tej sprawy, Lobsang, zajmie więcej niż jedno spotkanie. Musimy iść na modły, a czas już jest ku temu. Omówmy najpierw jeden aspekt tej sprawy, dobrze?

Skinąłem ochoczo, ponieważ naprawdę byłem zagubiony w tym wszystkim.

- Wszystko to ma źródło w religii - powiedział wówczas mój Przewodnik. - Religia Zachodu różni się od religii Wschodu. Powinniśmy się temu przyjrzeć i zobaczyć, jaki to ma wpływ na ten temat.

Poprawił szaty, by było mu wygodniej, i zadzwonił na usługującego mnicha, żeby uprzątnął rzeczy ze stołu. Kiedy zostało to zrobione, odwrócił się do mnie i zaczął rozmowę, którą uznałem za szczególnie ciekawą.

- Lobsang - odezwał się - musimy znaleźć jakieś podobieństwo pomiędzy jedną z religii Zachodu, a naszą religią buddyjską. Zauważysz na swoich lekcjach, że Nauki naszego Wielkiego Gautamy zmieniały się trochę wraz z upływem czasu. Przez lata i stulecia, które minęły od odejścia z ziemi Gautamy i osiągnięcia stanu Buddy, Nauki, których osobiście udzielał, uległy zmianie. Niektórzy z nas myślą, że uległy zmianie na gorsze. Inni myślą, że Nauki zostały uwspółcześnione.

Popatrzył na mnie, by zobaczyć, czy nadażam za nim z wystarczającą uwagą i czy rozumiem, o czym mówi. Rozumiałem i nadażałem za nim doskonale. Pokiwał głową i mówił dalej:

- My mamy naszą Wielką Istotę, którą nazywamy Gautamą, a którą niektórzy nazywają Buddą. Chrześcijanie również mają swoją Wielką Istotę. Ich Wielka Istota głosiła pewne Nauki. Legenda jak i rzeczywiste zapisy poświadczają, że ta Wielka Istota - która według chrześcijańskich Pism wędrowała długo po pustyni - w rzeczywistości odwiedziła Indie i Tybet w poszukiwaniu informacji, w poszukiwaniu wiedzy o religii, która byłaby odpowiednia dla zachodniej mentalności i duchowości. Ta Wielka Istota przybyła do Lhasy i rzeczywiście odwiedziła naszą Katedrę, Jo Kang. Wielka Istota powróciła następnie na Zachód i stworzyła religię, która pod każdym względem była wspaniała i odpowiednia dla ludzi Zachodu. Po odejściu tej Wielkiej Istoty z tej Ziemi - tak jak po odejściu naszego Gautamy - pojawiły się w kościele chrześcijańskim pewne rozbieżności. Około sześćdziesiąt lat po tym odejściu odbyło się spotkanie lub Sobór w miejscu o nazwie Konstantynopol. Dokonano pewnych zmian w dogmatach chrześcijańskich - dokonano zmian w wierze chrześcijańskiej. Prawdopodobnie niektórzy księża tamtych czasów poczuli, że muszą wprowadzić nieco udřeżeń, by utrzymać niektórych bardziej nieposłusznych z ich zgromadzenia w należytych porządku.

Znowu popatrzył na mnie, żeby zobaczyć, czy za nim nadażam. Ponownie okazałem mu, że nie tylko nadażam za nim, ale jestem niezmiernie zainteresowany.

- Ludzie, którzy uczestniczyli w tym Soborze w Konstantynopolu w roku 60, byli mężczyznami, którzy nie odczuwali sympatii do kobiet, tak jak niektórzy z naszych mnichów czują się słabo na samą myśl o kobiecie. Większość z nich uważała seks za coś nieczystego, coś, co powinno być dozwolane w przypadku absolutnej konieczności w celu podtrzymania gatunku. Byli tam mężczyźni, którzy sami nie mieli większych potrzeb seksualnych, lecz bez wątpienia mieli inne potrzeby, być może niektóre z tych potrzeb były potrzebami duchowymi. Nie wiem. Wiem tylko, że w roku 60 zdecydowali oni, że seks jest nieczysty i jest dziełem diabła. Zdecydowali, że dzieci przychodzą na świat nieczyste i nie dostąpią nagrody jeżeli w pewien sposób nie zostaną przedtem oczyszczone.

Lama Mingyar Dondup przerwał na chwilę, a potem uśmiechnął się i powiedział:

- Nie wiem, co ich zdaniem stało się z milionami dzieci urodzonych przed tym spotkaniem w Konstantynopolu!

- Zrozumiesz, Lobsang, że udzielam ci informacji o chrześcijaństwie tak, jak je pojmuję. Możliwe, że kiedy zamieszkaż wśród tych ludzi, będziesz miał jakieś inne wrażenia lub inne informacje, które odmieniają moje opinie i nauki.

Gdy zakończył swój wywód, zabrzmiały konchy i świątynne trąby. Wokół nas panowała krzątanina zdyscyplinowanych ludzi przygotowujących się do modłów. My również wstaliśmy i

otrzepaliśmy szaty, zanim udaliśmy się do Świątyni na modły. Przy wejściu do niej mój Przewodnik powiedział opuszczając mnie:

- Przyjdź później do mojego pokoju, Lobsang, będziemy rozmawiać dalej.

Wszedłem do Świątyni i zająłem miejsce wśród moich kolegów. Odmawiałem modlitwy i dziękowałem mojemu własnemu Bogu, że byłem Tybetańczykiem tak samo jak mój Przewodnik, Lama Mingyar Dondup. W starej Świątyni było pięknie, a atmosfera nabożeństwa z delikatnie snującymi się obłokami kadzidła utrzymywała nas w kontakcie z ludźmi z innych poziomów istnienia. Kadzidło to nie tylko przyjemny zapach, coś, co "dezynfekuje" Świątynię - to żywa siła. Przez wybór określonego typu kadzidła możemy faktycznie kontrolować szybkość wibracji. Tego wieczoru w Świątyni rozprzestrzeniające się kadzidło nadawało temu miejscu przejmującą atmosferę starego świata. Z miejsca wśród chłopców mojej grupy patrzyłem na przyćmioną mgłą budynku Świątyni. Basowym śpiewom starych Lamów wtórowały niekiedy srebrne dzwonki. Tego wieczoru był z nami japoński mnich. Przeszedł cały nasz kraj wszerz i wzdłuż, a przedtem był przez jakiś czas w Indiach. W swoim kraju był wielkim człowiekiem. Przybył z drewnianymi bębnami, bębnami, które odgrywały tak wielką rolę w religii japońskich mnichów. Podziwiałem wszechstronne zdolności japońskiego mnicha, wspaniałą muzykę, jaką wydobywał ze swoich bębnów. Wydawało mi się zdumiewające, że uderzenie pewnego rodzaju drewnianego pudełka mogło brzmieć tak muzykalnie. Japoński mnich miał drewniany bęben i pewien rodzaj kołatek, każda z przyczepionymi małymi dzwoneczkami. Nasi lamowie również akompaniowali mu srebrnymi dzwoneczkami i wielką świątynną konchę buczącą we właściwych momentach. Wydawało mi się, że cała Świątynia wibrowała, ściany zdawały się tańczyć migotać, a mgła w dalekich zakamarkach zdawała się formować twarze dawno zmarłych lamów. Lecz, przynajmniej raz dla wszystkich zbyt szybko, modły skończyły się. Pośpieszyłem, jak to było ustalone, do mojego Przewodnika, Lamy Mingyara Dondupa.

- Nie straciłeś zbyt wiele czasu, Lobsang! - powiedział pogodnie mój Przewodnik. - Pomyślałem, że być może zatrzymasz się, żeby zjeść jedną z tych niezliczonych przekąsek!

- Nie, Dostojny Lamo - odpowiedziałem. - Pragnę uzyskać pewne wyjaśnienia, gdyż, jak wyznam, temat seksu w świecie Zachodu wywołał we mnie wiele zdziwienia, odkąd usłyszałem o nim tak wiele od kupców i innych.

Lama roześmiał się i powiedział:

- Seks wszędzie wywołuje wiele zainteresowania! To przede wszystkim seks przykuwa ludzi do tej Ziemi. Omówimy to, skoro teego pragniesz.

- Dostojny Lamo - odezwałem się - powiedziałeś przedtem, że seks jest drugą co do wielkości siłą na świecie. Co miałeś wtedy na myśli? Jeżeli seks jest tak niezbędny, żeby podtrzymać zaludnienie świata, dlaczego nie jest siłą najważniejszą?

- Największą siłą w świecie, Lobsang - odpowiedział mój Przewodnik - nie jest seks. Największą siłą jest wyobraźnia, ponieważ bez wyobraźni nie byłoby bodźców seksualnych. Gdyby mężczyzna nie miał wyobraźni, nie zainteresowałby się kobietą. Bez wyobraźni nie byłoby pisarzy, artystów, nie byłoby nic, co jest twórcze lub dobre!

- Ale, Dostojny Lamo - powiedziałem. - Czy twierdzisz, że wyobraźnia jest niezbędna dla seksu? Jeśli tak, to jak wyobraźnia stosuje się do zwierząt?

- Zwierzęta mają wyobraźnię, Lobsang, tak samo jak ludzie. Wielu ludzi myśli, że zwierzęta są stworzeniami pozbawionymi rozumu, bez jakiegokolwiek formy inteligencji, bez jakiegokolwiek formy umysłu. Jednak ja, przeżywszy zaskakująco wiele lat, mówię co innego.

Mój Przewodnik popatrzył na mnie, a potem grożąc mi palcem powiedział:

- Twierdzisz, że lubisz świątynne koty. Czy zamierzasz mi powiedzieć, że one nie mają wyobraźni? Zawsze przemawiasz do nich, zatrzymujesz się, by je pogłaskać. Jeśli będziesz dla nich czuły jeden raz, będą czekały na ciebie po raz drugi, i trzeci, i tak dalej. Jeżeli byłyby to jedynie nieczułe reakcje, po prostu odruchy warunkowe, nie czekałyby na ciebie po raz drugi czy trzeci, lecz czekałyby, aż utworzy się zwyczaj. Nie, Lobsang, każde zwierzę ma wyobraźnię. Zwierzę wyobraża sobie przyjemności podczas przebywania z partnerem i wtedy zdarza się to, co nieuniknione!

Kiedy zacząłem o tym myśleć, rozważać to, stało się dla mnie jasne, że mój Przewodnik miał całkowitą rację. Widywałem małe ptaki - małe samiczki - trzepoczące skrzydełkami tak samo, jak młode kobiety trzepoczą powiekami! Obserwowałem małe ptaszki i widziałem ich prawdziwy niepokój, kiedy oczekiwały na partnerów powracających z ich nieprzerwanych wypraw po pożywienie. Widywałem radość, z jaką kochający ptaszek pozdrawiał swojego partnera po powrocie. Kiedy teraz o tym pomyślałem, stało się dla mnie oczywiste, że zwierzęta naprawdę mają wyobraźnię. Pojąłem sens uwag mojego Przewodnika, że wyobraźnia jest największą siłą na ziemi.

- Jeden z kupców powiedział mi, że im bardziej ktoś jest nastawiony na sprawy okultystyczne, tym bardziej jest przeciwny seksowi, Dostojny Lamo - powiedziałem. - Czy to prawda, czy też zostałem wprowadzony w błąd? Usłyszałem tak wiele dziwnych rzeczy, że doprawdy nie wiem, jak do tego podejść.

Lama Mingyar Dondup zwiesił smutno głowę i odpowiedział:

- To rzeczywiście prawda, Lobsang. Wielu ludzi, którzy bardzo interesują się sprawami okultystycznymi, jest równocześnie zdecydowanymi przeciwnikami seksu, a to ze specjalnych powodów. Powiedziano ci wcześniej, że najwięksi okultyści nie byli normalni, to znaczy, mieli jakieś fizyczne dolegliwości. Ktoś może cierpieć na śmiertelną chorobę, taką jak gruźlica, rak, czy coś w tym rodzaju. Ktoś może mieć pewne dolegliwości nerwowe. Cokolwiek to jest, jest to choroba, a ta choroba zwiększa postrzeganie metafizyczne.

Lama nieznacznie zmarszczył czoło i mówił dalej:

- Wiele osób twierdzi, że popęd seksualny jest wielkim popędem. Niektórzy ludzie z takich czy innych powodów stosują metody sublimujące popęd seksualny i kierują go na sprawy duchowe. Gdy tylko mężczyzna lub kobieta odwróci się od tych spraw, staje się ich śmiertelnym wrogiem. Nie ma większego reformatora - większego wojownika - przeciwko złu picia, niż nawrócony pijak! W ten sam sposób mężczyzna bądź kobieta po wyrzeczeniu się seksu (być może dlatego, że nie mogli dać satysfakcji lub zostać usatysfakcjonowani!) zwracają się do spraw okultystycznych. Cały popęd, który poprzednio kierował się (z sukcesem lub bez sukcesu) na przygody seksualne, jest teraz poświęcany na przygody okultystyczne. Lecz na nieszczęście ci ludzie często mają skłonność do niezrównoważenia w tej kwestii. Mają skłonność do zapewniania, że tylko poprzez rezygnację z seksu jest możliwy postęp. Nic nie może być większym wymysłem, nic nie może być bardziej wypaczone. Wielu najwybitniejszych ludzi mogło cieszyć się normalnym życiem i równocześnie dokonywać olbrzymich postępów w metafizyce.

Właśnie w tym momencie wszedł Wielki Lama Medyk Czinrobnobo. Pozdrowiliśmy go, a on usiadł z nami.

- Opowiadam właśnie Lobsangowi o seksie i okultyzmie - powiedział mój Przewodnik.

- Ach, tak! - odpowiedział Lama Czinrobnobo. - Przyszedł zaś, by zostały mu udzielone jakieś informacje na ten temat. Dawno już o tym myślałem.

- Jest jasne - kontynuował mój Przewodnik - że ci, którzy wykorzystują seks normalnie — tak jak powinien być wykorzystywany - zwiększają własną siłę duchową. Seks nie powinien być nadużywany, ale z drugiej strony też nie należy się go wyrzekać. Przekazując wibracje drugiej osobie, można zwiększyć jej uduchowienie. Chcę jednak zaznaczyć - powiedział patrząc na mnie surowo - że akt seksualny powinien odbywać się tylko między tymi, którzy się kochają, pomiędzy tymi, których wiąże duchowe powinowactwo. To, co jest zakazane, bezprawne, jest po prostu prostytuowaniem ciała i może komuś zaszkodzić tak bardzo, jak coś innego może pomóc. W ten sam sposób mężczyzna lub kobieta powinni mieć tylko jednego partnera, unikając wszystkich pokus, które mogłyby ich sprowadzić z drogi prawdy i prawości.

- Jest jeszcze coś, co powinieneś podkreślić. Szanowny Kolego - Odezwał się Lama Czinrobnobo. - Jest to sprawa kontroli urodzin. Opuszczę was, kiedy będziecie się tym zajmować.

Wstał, uklonił się nam z powagą i opuścił pokój. Mój Przewodnik odczekał chwilę, a potem powiedział:

- Czy nie zmęczyłeś się tym jeszcze, Lobsang?

- Nie, Panie! - odpowiedziałem. - Pragnę nauczyć się wszystkiego, co można, ponieważ

wszystko to jest dla mnie dziwne.

- Dalej powinieneś wiedzieć, że we wczesnych latach życia na Ziemi ludzie byli podzieleni na rodziny. Na obszarach całego świata były małe rodziny, które z upływem czasu rozrosły się do dużych rodzin. Pojawiły się kłótnie i spory, co wydaje się nieuniknione u ludzi. Rodzina walczyła przeciw rodzinie. Zwycięzcy zabijali mężczyzn, których pokonali i porywali ich kobiety do swojej rodziny. Wkrótce stało się jasne, że im większa rodzina, teraz określana jako szczep, tym bardziej jest potężniejsza i lepiej zabezpieczona przed agresywnymi działaniami innych.

Spojrzał na mnie nieco smutno i mówił dalej:

- Szczepy zwiększały liczebność w miarę upływu lat i stuleci. Pewni ludzie ustanowili siebie kapłanami, lecz kapłanami obdarzonymi polityczną władzą, z planami na przyszłość! Kapłani zdecydowali, że muszą mieć święty edykt - który mogliby nazwać przesłaniem od Boga - który mógłby pomóc szczepowi jako całości. Nauczali, że człowiek powinien być płodny i rozmnażać się. W tamtych czasach było to rzeczywistą koniecznością, ponieważ jeśli ludzie nie "rozmnażali się", ich szczep stawał się słabszy i mógł zostać całkowicie zgładzony. Tak więc kapłani, którzy nakazywali ludziom być płodnymi i rozmnażać się, zabezpieczali w ten sposób przyszłość własnego szczepu. Z upływem wieków stało się jednak jasne, że populacja ludzi rośnie w takim tempie, że świat staje się przeludniony. Jest więcej ludzi, niż pozwalają na to zasoby żywności. Coś trzeba z tym zrobić.

Mogłem nadać za tym wszystkim, miało to dla mnie sens i byłem zadowolony, że moi przyjaciele z Pargo Kaling - kupcy, którzy podróżowali tak daleko i tak długo - powiedzieli mi prawdę.

- Pewne religie nawet teraz myślą - mówił mój Przewodnik - że jest prawdziwym złem ustanawianie jakiegokolwiek ograniczenia liczby rodzących się dzieci. Lecz jeżeli ktoś przyjrzy się historii świata, to zauważy, że większość wojen spowodowanych zostało przez brak przestrzeni życiowej w kraju najeźdźców. Kraj miał szybko rosnącą populację i wiedziano, że jeżeli będzie rozwijał się w tym tempie, to zabraknie żywności, nie będzie wystarczająco dużo możliwości dla jego mieszkańców. Dlatego wywoływali oni wojnę głosząc, że muszą mieć przestrzeń życiową!

- W takim razie. Dostojny Lamo - zapytałem - jak byś rozstrzygnął ten problem?

- Lobsang! - odpowiedział. - Sprawa jest prosta, jeżeli mężczyźni i kobiety dobrej woli spotykają się, by to omówić. Stare formy religii, stare nauki religijne były pod każdym względem słuszne, kiedy świat był młody, kiedy ludzi było mało. Lecz teraz jest nieuniknione - i pojawi się na czas! - nowe podejście. Pytasz, co ja zrobiłbym w tej sprawie? Otóż, zrobiłbym tak: bym legalną kontrolę urodzeń. Uczylbym wszystkich ludzi o kontroli urodzeń, jak może być sprawowana, czym ona jest, i co jeszcze można w tym kierunku zrobić. Widziałbym to tak, że ludzie, którzy chcą mieć dzieci, mogliby mieć może jedno lub dwoje, podczas gdy ci, którzy nie chcą, wiedzieliby, w jaki sposób temu zapobiegać. Zgodnie z naszą religią, Lobsang, nie byłoby to żadne wykroczenie. Studiowałem stare księgi pochodzące z dawnych wieków, zanim życie pojawiło się na zachodnich obszarach tego globu. Jak wiesz, życie najpierw pojawiło się w Chinach i wokół Tybetu, i przeniosło się do Indii, zanim powędrowało na Zachód. Ale nie będziemy się tym zajmować.

Postanowiłem od razu, że gdy tylko będę mógł, naklonię mojego Przewodnika do opowiedzenia mi więcej o pochodzeniu życia na Ziemi. Ale przypomniałem sobie, że teraz studiowałem wszystko, co mogłem, na temat seksu. Mój Przewodnik przyglądał mi się, i kiedy zobaczył, że znowu uważam, mówił dalej:

- Jak powiedziałem, większość wojen było spowodowanych przeludnieniem. Faktem jest, że będą wojny - zawsze będą wojny dopóki będzie ogromna i wciąż rosnąca populacja. I jest niezbędne, żeby one były, ponieważ w przeciwnym razie świat zostanie całkowicie zalany ludźmi, tak jak martwy szczerz zostaje całkowicie zalany masą mrówek. Kiedy wyruszysz z Tybetu, gdzie zaludnienie jest bardzo małe i znajdziesz się w niektórych wielkich miastach świata, będziesz zdumiony i przerażony ogromną liczebnością, wielkimi tłumami ludzi. Zobaczysz, że moje słowa są prawdziwe. **Wojny są absolutnie konieczne do opanowania przyrostu ludności. Ludzie muszą**

przychodzić na świat, aby uczyć się różnych rzeczy, a gdyby nie było wojen i chorób, nie byłoby sposobu, żeby zachować nadzór nad liczebnością ludzi i zapewnić im pożywienie. Inaczej stałoby się stadem szarańczy jedzącej wszystko na swojej drodze, zanieczyszczającej wszystko, a na końcu wyniszczyłoby siebie całkowicie.

- Dostojny Lamo - powiedziałem - niektórzy kupcy, którzy mówili o kontroli urodzeń, twierdzą, że tak wiele ludzi uważa ją za zło. Dlaczego mieliby tak myśleć?

Mój Przewodnik chwilę pomyślał, prawdopodobnie zastanawiając się, ile powinien mi powiedzieć, ponieważ byłem jeszcze młody, a potem odpowiedział:

- Kontrola urodzeń jawi się niektórym ludziom jako zabójstwo osoby nienarodzonej, lecz według naszej Wiary, Lobsang, duch nie wstępuje w nienarodzone dziecko. Według naszej wiary nie może nastąpić zabójstwo. Tak czy owak, oczywiście jawną niedorzecznością jest głoszenie, że stosowanie środków zapobiegających poczęciu jest jakimkolwiek zabójstwem. To tak, jakby mówić, że zabijamy całą masę roślin, jeśli zapobiegamy kiełkowaniu ich nasion! Ludzie za często wyobrażają sobie, że są najwspanialszymi istotami, jakie kiedykolwiek pojawiły się w tym wielkim Wszechświecie. W rzeczywistości, oczywiście, ludzie są po prostu pewną formą życia, ale nie najwyższą. Lecz nie ma teraz czasu na wnikanie w te sprawy.

Pomyślałem o czymś innym, o czym słyszałem i co wydawało się tak szokujące - tak przerażająco straszne - aż trudno mi było tym mówić. Jednak powiedziałem!

- Dostojny Lamo! Słyszałem, że pewne zwierzęta, na przykład krowy, są zapładniane nienaturalnymi metodami. Czy to prawda?

Mój Przewodnik popatrzył przez chwilę zupełnie zaskoczony, a potem odpowiedział:

- Tak, Lobsang, to prawda. Pewni ludzie w świecie Zachodu próbują rozmnażać bydło za pomocą czegoś, co nazywają sztucznym zapłodnieniem. Znaczą to, że krowy są zapładniane przez człowieka z ogromną strzykawką zamiast przez byka wykonującego tę niezbędną pracę. Ci ludzie zdają się nie dostrzegać, że płodzenie dziecka, czy jest to dziecko ludzkie, dziecko niedźwiedzia czy dziecko krowy, jest czymś więcej, niż mechanicznym parzeniem się. Jeżeli ktoś chce mieć dobrą rasę, to w procesie parzenia się musi występować miłość lub jakiś rodzaj sympatii. Gdyby ludzie byli sztucznie zapładniani - rodzeni bez miłości - byłiby podludźmi! Powtarzam ci, Lobsang, że dla lepszego typu człowieka albo zwierzęcia jest konieczne, żeby rodzice byli w sobie rozmilowani, żeby oboje mieli podwyższone duchowe i fizyczne wibracje. Sztuczne zapłodnienie, przeprowadzane w warunkach obojętności, bez miłości, daje rezultat w postaci naprawdę kiepskiego potomstwa. Uważam, że sztuczne zapłodnienie jest jedną z największych zbrodni na tym świecie.

Siedziałem tam, a wieczorne cienie zakradały się do pokoju, obmywając Lamę Mingyara Dondupa w gęstniejącym półmroku. Kiedy półmrok zgęstniał, zobaczyłem aurę mojego Przewodnika promieniejącą wspaniałym złotem duchowości. Dla mnie, jasnovidza, światło to było naprawdę jasne i przenikające półmrok. Moje jasnovidzące postrzeganie powiedziało mi - jakbym nie wiedział tego wcześniej - że przebywałem w obecności jednego z najznakomitszych ludzi Tybetu. Czulem w sobie ciepło, czulem, jak cała moja istota tętni miłością do mojego Przewodnika i Nauczyciela.

W dole zabrzmiały znowu świątynne konchy, lecz tym razem nie wzywały nas, wzywały innych. Podeszliśmy do okna i wyjrzelśmy przez nie. Mój Przewodnik położył mi rękę na ramieniu i razem spoglądaliśmy na dolinę poniżej nas - dolinę częściowo spowitą teraz purpurową ciemnością.

- Niech twoje sumienie będzie twym przewodnikiem, Lobsang - powiedział mój Przewodnik. - Będiesz zawsze wiedział, czy coś jest słuszne, czy złe. Pojedziesz daleko - dalej, niż możesz to sobie wyobrazić - i pojawi się przed tobą wiele pokus. Niech twoje mienie będzie twoim przewodnikiem. My w Tybecie jesteśmy spokojnymi ludźmi, ludźmi o małej populacji. Jesteśmy ludźmi, którzy żyją w pokoju, którzy wierzą w świętość, w świętość Ducha. Dokądkolwiek pójdziesz, cokolwiek będziesz musiał znieść, niech twoje sumienie będzie twoim przewodnikiem. Próbujemy pomóc twojemu sumieniu. Próbujemy dać ci najwyższe telepatyczne zdolności i jasnovidzenie, abys zawsze w przyszłości, tak długo jak przyjdzie ci żyć, mógł

nawiązać telepatyczny kontakt z wielkimi lamami tu w Himalajach, z wielkimi lamami, którzy później poświęca cały swój czas na czekanie na wieści od ciebie.

Czekanie na moje wieści? Obawiam się że moja szczeka opadła ze zdumienia. *Moje* wieści? Cóż było we mnie tak szczególnego? Dlaczego wielcy lamowie mieliby czekać przez cały czas na moje wieści? Mój Przewodnik uśmiechnął się i poklepał mnie po ramieniu.

- Celem twojego istnienia, Lobsang, jest wykonanie bardzo, bardzo wyjątkowego zadania. Pomimo wszelkich trudności, pomimo całego cierpienia, uda ci się je wykonać. Lecz byłoby jawną niesprawiedliwością wobec ciebie, gdyby pozostawiono cię samego w obcym świecie, świecie, który będzie cię wyszydzał i nazywał kłamcą, oszustem i fałszerzem. Nigdy nie trać nadziei, nigdy nie poddawaj, bowiem prawda zwycięży. Ty - Lobsang - zwyciężysz!

Wieczne cienie przeistoczyły się w ciemność nocy. Poniżej nas migotały światła miasta. Ponad nami księżyc w nowiu zerkał sponad krawędzi gór. Gwiazdy, miliony gwiazd migotały na purpurowym niebie. Spoglądałem do góry, myślałem o wszystkich przepowiedniach mojego losu - o wszystkich prorocत्वach - i o wierze i zaufaniu okazywanym mi przez mojego przyjaciela. Przewodnika, Lamę Mingyara Dondupa. I byłem zadowolony.

Rozdział X

Nauczyciel był w złym humorze. Być może jego herbata była zbyt zimna, być może tsampa nie została wyprażona albo wymieszana dokładnie według jego upodobań. Nauczyciel był w złym humorze, a my, chłopcy w klasie, siedzieliśmy niemalże drżąc ze strachu. Już zdążył rzucić się niespodziewanie na chłopców z mojej prawej i lewej strony. Pamięć mi dopisywała. Lekcje umiałem doskonale. Mogłem powtórzyć rozdziały i wersy z dowolnej części stu ośmiu tomów Kan-gyur. *Ciach! Ciach!* Nieoczekiwanie podskoczyłem prawie stopę w powietrze, a jakichś trzech chłopców z lewej i trzech z prawej strony również poderwało się w powietrze z zdumienia. Przez moment nie wiedzieliśmy, który z nas zbiera cięgi, ale potem, kiedy nauczyciel uderzył nieco mocniej, uświadomiłem sobie, że to ja jestem tym nieszczęśnikiem! Nauczyciel bił nadal, mruczając przez cały czas:

- Ulubieniec Lamy! Rozpieszczony idiota! Nauczę cię, jak się masz uczyć!

Kurz z mojej szaty uniósł się duszącą chmurą i zacząłem kichać. To jeszcze bardziej rozwścieczyło Nauczyciela i doprawdy sporo się musiał nauwijać, żeby wytłuc ze mnie więcej kurzu. Na szczęście - o czym nie wiedział - przewidziałem jego zły humor i ułożyłem więcej ubrań niż zwykle, więc - choć nie byłby z tego zadowolony - jego ciosy nie przeszkadzały mi zbyt. Byłem zabezpieczony pod każdym względem.

Nauczyciel ten był tyranem. Był perfekcjonistą, który sam nie był doskonały. Nie tylko musieliśmy być drobiazgowi podczas naszej pracy w klasie. Jeżeli wymowa lub modulacja głosu nie odpowiadały dokładnie jego wymaganiom, wyjmował trzcinę, brał zamach i chłostał nas. Teraz on jakby wykonywał ćwiczenie fizyczne, a ja prawie dusiłem się od kurzu. Mali chłopcy w Tybecie, tak jak mali chłopcy gdzie indziej, tarzają się w kurzu, kiedy walczą albo się bawią, zaś mali chłopcy całkowicie odcięci od kobiecych wpływów nie zawsze upewniają się, czy kurz został usunięty z ich ubrań. W każdym razie moje było pełne kurzu i przetrzepanie go było tak niezbędne jak wiosenne porządki. Nauczyciel ciągle wymierzał mi razy:

- Nauczę cię złej wymowy słowa! Okazywania braku szacunku do Świętej Wiedzy! Rozpieszczony idiota, ciągle opuszczający lekcje, a potem wracający i wiedzący więcej niż ci, których uczyłem! Nieużyteczny bachor! Ja cię nauczę! Będziesz się uczył ode mnie tak czy inaczej!

W Tybecie siedzimy na podłodze ze skrzyżowanymi nogami, najczęściej siedzimy na poduszkach o grubości około czterech cali. Przed nami stoją stoły o wysokości od dwunastu do osiemnastu cali, w zależności od wzrostu ucznia. Nauczyciel nagle położył mocno rękę na moim karku i pchnął mnie na stół, na którym leżała łupkowa tabliczka i kilka książek. Zajmując tak dogodną pozycję, wziął głęboki oddech i naprawdę zabrał się do dzieła. Wirywałem mu się bardziej z przyzwyczajenia, niż z bólu. Na przekór jego najgorliwszym staraniom, nam, zahartowanym chłopcom, którym prawie dosłownie "garbowano skórę", wypadki takie jak ten przytrafiały się codziennie. Ktoś, szósty lub siódmy chłopiec na prawo ode mnie, cicho zachichotał. Nauczyciel puścił mnie, jakbym nagle go oparzył i jak tygrys doskoczył do innego chłopca. Staralem się nie zdradzić swojego rozbawienia, kiedy zobaczyłem tuman kurzu unoszący się nad kilkoma chłopcami w moim rzędzie! Po prawej stronie rozlegały się różne okrzyki wyrażające ból, strach i przerażenie, bowiem Nauczyciel bił na oślep, nie mając pewności, który to chłopiec. W końcu bez tchu, i bez wątpienia czując się dużo lepiej, poniechał dalszych wysiłków.

- Ach! - dyszał. - To was nauczy, małe bestie, zwracać uwagę na to, co mówię. Teraz, Lobsang Rampa, zacznij od nowa i uważaj, żeby twoja wymowa była bezbłędna.

Zacząłem wszystko od nowa, a kiedy skupiłem się, naprawdę mogłem poradzić sobie wystarczająco dobrze. Tym razem skupiłem się - mocno skupiłem się - i Nauczyciel nie przejawiał już wobec mnie ani srogich odczuć, ani chęci zadawania sroższych razów.

Przez całe zajęcia, jakieś pięć godzin. Nauczyciel przechadzał się do tyłu i do przodu uważnie nas pilnując. Nie potrzebował żadnego pretekstu, żeby złapać i wysmagać jakiegoś nieszczęśliwego chłopca, jeśli ten myślałby, że nie jest obserwowany. W Tybecie nasz dzień zaczyna się o północy razem z modłami, a regularne modły powtarzają się w tych samych odstępach czasu. Potem musimy wykonywać prace służebne, aby zachować skromność i nie patrzeć z góry" na służący personel. Przysługuje nam też czas wypoczynku, a później udajemy się do naszych klas. Lekcje takie trwały nieprzerwanie pięć godzin i przez ten cały czas nauczyciele rzeczywiście zmuszali nas do gruntownej nauki. Nasze lekcje oczywiście zajmowały więcej niż pięć godzin dziennie, lecz te szczególne zajęcia, popołudniowe zajęcia, trwały pięć godzin.

Godziny wlokły się. Zdawało się, że przebywaliśmy w tej klasie przez całe dni. Cienie zdawały się ledwie poruszać, a słońce nad nami i chyba zapuściło korzenie w jednym miejscu. Wzdychaliśmy rozdrażnieni i znudzeni. Czuliśmy, że jeden z Bogów powinien zstąpić na ziemię i usunąć spośród nas tego osobliwego Nauczyciela, ponieważ był najgorszy z nich wszystkich. Widocznie zapomniał, że kiedyś - o jakże dawno temu! - sam również był młody. Lecz w końcu zabrzmiały konchy, a wysoko nad nami zadęła dachu trąba, rozbrzmiewając w Dolinie i odbijając się echem od Potali. Nauczyciel westchnął.

- No, obawiam się, że muszę pozwolić wam pójść, chłopcy - powiedział. - Lecz wierzcie mi, kiedy zobaczę was znowu, dopilnuję, żebyście się czegoś nauczyli!

Dał znak i powoli podszedł do drzwi. Chłopcy w najbliższych rzędach zerwali się na nogi i rzucili do drzwi. Zamierzałem też tak zrobić, ale Nauczyciel zawołał mnie.

- Ty, Wtorek Lobsang Rampa - powiedział - idź do swojego Przewodnika i ucz się, ale nie wracaj tutaj pokazywać chłopcom, których uczę, że uczono cię hipnozą i innymi metodami. Zamierzam zobaczyć, jak mógłbym cię stąd wykopać. Uderzył mnie w głowę i dodał:

- Teraz zejdź mi z oczu. Nienawidzę twojego widoku tutaj. Inni skarżą się, że umiesz więcej, niż chłopcy, których ja uczę.

Gdy tylko puścił mój kołnierz, rzuciłem się do drzwi i nawet nie zawracałem sobie głowy, żeby zamknąć je za sobą. Nauczyciel wrzasnął coś, ale pędziłem za szybko, żeby zawracać.

Na zewnątrz czekało kilku innych chłopców, oczywiście poza zasięgiem słuchu Nauczyciela.

- Powinniśmy coś z nim zrobić - powiedział jeden z chłopców.

- Tak! - powiedział drugi. - Ktoś zostanie naprawdę zraniony, jeżeli nikt go nie powstrzyma.

- Ty, Lobsang - powiedział trzeci chłopiec - zawsze chwalisz się swoim Nauczycielem i Przewodnikiem. Dlaczego nie powiesz mu o tym, jak jesteśmy maltretowani?

Przemyślałem to i wydało mi się to dobrym pomysłem. Musieliśmy się uczyć, lecz nie było

powodu, dla którego mielibyśmy być nauczani z taką brutalnością. Im więcej o tym myślałem, tym przyjemniejsze się to wydawało. Poszedłbym do swojego Przewodnika i opowiedziałbym mu, jak jesteście traktowani, a on przyszedłby i rzuciłby czar na tego Nauczyciela zamieniając go w ropuchę lub coś podobnego.

- Tak! - zawołałem. - Pójdę teraz.

Po czym odwróciłem się i wybiegłem.

Pędziłem wzdłuż znanych korytarzy, wspinając się coraz wyżej, coraz bliżej dachu. W końcu skręciłem w Korytarz Lamów i zastałem mojego Przewodnika w jego pokoju. Drzwi były otwarte. Kazał mi wejść.

- Lobsang! Jesteś zdenerwowany - powiedział. - Czy zrobiono cię opatem lub kimś takim? Spojrzałem na niego smutno.

- Dostojny Lamo, dlaczego my, chłopcy, jesteśmy tak maltretowani w klasie? - zapytałem.

Mój Przewodnik popatrzył na mnie bardzo poważnie i odpowiedział:

- Ale jak zostaliście źle potraktowani, Lobsang? Usiądź i opowiedz mi, co tak bardzo cię martwi.

Usiadłem i rozpocząłem mój smutny występ. Kiedy mówiłem, mój Przewodnik niczego nie komentował, ani mi nie przerywał. Pozwolił mi mówić, a gdy dotarłem do kresu opowieści o niedoli, prawie zabrakło mi tchu.

- Lobsang - zapytał mój Przewodnik - czy przyszło ci do głowy, że samo życie jest właśnie szkołą?

- Szkołą? - popatrzyłem na niego, jakby nagle stracił rozum. Nie mogłbym być bardziej zaskoczony, gdyby mi powiedział, że słońce zniknęło, a księżyc zajął jego miejsce!

- Dostojny Lamo - zapytałem zdziwiony - czy powiedziałaś, że życie jest szkołą?

- Z całą pewnością tak powiedziałem. Lobsang, odpocznij chwilę, napijmy się herbaty, a potem porozmawiamy.

Wezwany usługujący mnich przyniósł nam zaraz herbatę i smaczne przekąski. Mój Przewodnik spożywał doprawdy mało jedzenia. Jak kiedyś powiedział, jadłem za czterech takich jak on! Powiedział to z tak promiennym uśmiechem, że nie było w tym żadnej złośliwości. Często mi docinał, ale wiedziałem, że nigdy pod żadnym względem nie powiedziałby czegoś, co mogłoby zranić inną osobę. Naprawdę nie miałem nic przeciwko temu, co mi powiedział, znałem jego dobre intencje. Siedzieliśmy i piliśmy herbatę. Potem mój Przewodnik napisał małą notatkę i dał ją usługującemu mnichowi, aby doręczył ją innemu Lamie.

- Lobsang, powiedziałem, że ty i ja nie będziemy dziś wieczorem na świątynnych modłach. Mamy dużo do omówienia i chociaż modły świątynne są bardzo istotne, to biorąc pod uwagę szczególne okoliczności, jest konieczne udzielenie ci więcej nauki niż zazwyczaj.

Podniósł się i przeszedł do okna. Również wstałem i podszedłem do niego, ponieważ jedną z moich przyjemności było wyglądanie przez okno i oglądanie wszystkiego, co się działo dookoła, a mój Przewodnik miał jeden z wyżej położonych pokoi w Czakpori, pokój, z którego można było wyglądać na rozległe przestrzenie i duże odległości. Ponadto posiadał najprzyjemniejszą rzecz spośród wszystkich - teleskop. Spędzałem godziny z tym instrumentem! Spędzałem godziny oglądając Równinę Lhasy, patrząc na kupców w samym mieście i obserwując damy z Lhasy, które zajęte swoimi sprawami kupowały, odwiedzały i po prostu (jak ja to wyrażałem) marnowały czas. Staliśmy tak patrząc przez dziesięć czy piętnaście minut, aż mój przewodnik powiedział:

- Usiądźmy znowu, Lobsang i pomówmy o szkole, dobrze? Chcę, żebyś mnie posłuchał, bowiem jest to sprawa, która powinni być dla ciebie jasna od samego początku. Jeżeli nie będziesz całkiem rozumiał, co mówię, to przerwij mi natychmiast, bo jest istotne, żebyś wszystko zrozumiał. Słyszysz?

Skinąłem głową, a potem, jak wymagała tego grzeczność, odpowiedziałem:

- Tak, Dostojny Lamo. Słyszę cię i rozumiem. Jeżeli nie będę rozumiał, to ci powiem.

Mój Przewodnik skinął głową i powiedział:

- Życie jest jak szkoła. Kiedy jesteśmy poza tym życiem w świecie astralnym, zanim zstąpimy do ciała kobiety, omawiamy z innymi, czego zamierzamy się nauczyć. Jakiś czas temu

opowiedziałem ci historię o starym Sengu, Chińczyku. Powiedziałem ci, że będziemy używać chińskiego imienia ponieważ ty - będąc sobą! - próbowałbyś skojarzyć jakieś tybetańskie imię ze znanym ci Tybetańczykiem. Powiedzmy, że stary Seng, który umarł i zobaczył całą swoją przeszłość, zdecydował, że musiał nauczyć się pewnych lekcji. Następnie ludzie, którzy mu pomagali, znaleźliby mu rodziców, czy raczej przyszłych rodziców, którzy żyliby w okolicznościach i warunkach, które umożliwiłyby duszy, jaką byłstary Seng, nauczyć się żądanych lekcji.

Mój Przewodnik spojrział na mnie i powiedział:

- To mniej więcej tak samo jak chłopiec, który zamierza być mnichem. Jeżeli chce zostać mnichem medykiem, to przychodzi do Czakpori. Jeżeli chce wykonywać prace gospodarskie, wtedy bez wątpienia może pójść do Potali, ponieważ wydaje się, że zawsze mają tam niedobór mnichów wykonujących te prace! Wybieramy swoją szkołę odpowiednio do tego, czego chcemy się nauczyć.

Przytaknąłem, było to dla mnie zupełnie jasne. Moi rodzice poczynili starania, żebym dostał się do Czakpori zapewniając, że będę miał niezbędną siłę, aby przejść przez wstępną próbę wytrzymałości.

- Ktoś, kto ma się urodzić, ma wszystko zapewnione – mówił dalej mój Przewodnik Lama Mingyar Dondup. - Zstępuje, żeby zostać urodzonym przez pewną kobietę mieszkającą w pewnym rejonie i poślubioną pewnej klasy mężczyźnie. Jest to tak pomyślane, żeby zapewnić dziecku, które ma się urodzić, najlepsze warunki do zdobycia doświadczenia i wiedzy uprzednio zaplanowanych. Wreszcie, kiedy nadejdzie czas, rodzi się dziecko. Najpierw musi ono nauczyć się jeść, musi nauczyć się, jak kontrolować pewne części fizycznego ciała. Musi nauczyć się, jak mówić i jak słuchać. Jak wiesz, początkowo dziecko nie umie skupić wzroku, musi nauczyć się, jak widzieć. To jest szkoła.

Mój Przewodnik spojrział na mnie z uśmiechem i powiedział:

- Nikt z nas nie lubi szkoły. Niektórzy z nas muszą do niej pójść, lecz inni z nas nie muszą. My planujemy pójść - nie dla karmy - lecz żeby czegoś się nauczyć. Dziecko rośnie i staje się chłopcem, idzie do klasy, gdzie często jest traktowane dość surowo przez nauczyciela. Ale nie ma w tym nic złego, Lobsang. Jeszcze nikomu dyscyplina nie zaszkodziła. Dyscyplina określa różnicę pomiędzy armią a motłochem. Człowiek nie może być kulturalny, dopóki nie będzie zdyscyplinowany. Wiele razy będziesz myślał, że jesteś źle traktowany, że nauczyciel jest surowy i okrutny, lecz - cokolwiek teraz myślisz - osobiście postarałeś się, żeby przyjść na Ziemię w tych warunkach.

- Dobrze, Dostojny Lamo - wykrzyknąłem podniecony. - Jeżeli zorganizowałem sobie przybycie tutaj, to myślę, że powinno się przebadać mój mózg. I jeżeli sam zaplanowałem przybycie tutaj, to dlaczego zupełnie nic o tym nie wiem?

Mój Przewodnik spojrział na mnie i roześmiał się - roześmiał się szczerze.

- Wiem, jak się dzisiaj czujesz, Lobsang - odpowiedział. - Lecz naprawdę nie powinieneś się niczym martwić. Przyszedłeś na tę Ziemię przede wszystkim po to, by się czegoś nauczyć. Kiedy już się tego nauczysz, wyruszysz w większy świat poza naszymi granicami, by nauczyć się czegoś nowego. Droga nie będzie łatwa. Lecz w końcu ci się uda i nie chcę, żebyś był przygnębiony. **Każdy człowiek, bez względu na jego miejsce w życiu, przybył na ziemię z poziomu astralnego, żeby móc się uczyć, a ucząc się, także rozwijać.** Zgodzisz się ze mną, Lobsang, że jeżeli chcesz rozwijać się w Klasztorze, studiujesz i zdajesz egzaminy. Nie myślałbyś dobrze o chłopcu, który jedynie przez protekcję nagle zostałby wyniesiony ponad ciebie stając się lamą lub opatem. Dopóki istnieją prawdziwe egzaminy, wiesz, że nie zdasz ich przez zachciankę, kaprys czy protekcję jakichś wyżej postawionych osób.

Mogłem to zrozumieć. Gdy zostało mi to wyjaśnione, stało się całkiem proste.

- **Przychodzimy na świat, by się czegoś nauczyć i nie ma znaczenia, jak ciężkie, czy jak gorzkie są lekcje na tej Ziemi. Są to lekcje, na które zapisaliśmy się, zanim tu przyszliliśmy.** Kiedy opuścimy tę Ziemię, przez pewien czas przebywamy w Innym Świecie, a potem, jeżeli chcemy dokonać postępu, wyruszymy dalej. Możemy powrócić na ten świat w odmiennych warunkach

albo możemy wyruszyć dalej do zupełnie innego stadium egzystencji. Kiedy jesteśmy w szkole, często myślimy, że dzień się nie skończy. Myślimy, że surowości nauczyciela nie będzie końca. Życie na Ziemi jest podobne. **Jeśli wszystko szłoby nam gładko, gdybyśmy mieli wszystko, czego chcemy, nie nauczylibyśmy się lekcji.** Dryfowalibyśmy jedynie w strumieniu życia. **Jest to smutny fakt, że uczymy się tylko poprzez ból i cierpienie.**

- Ale w takim razie. Dostojny Lamo - zapytałem – dlaczego jest tak, że niektórzy chłopcy, jak i niektórzy lamowie, mają takie lekkie życie? Mnie zawsze się wydaje, że napotykam trudności, złe prorocтва i bicie przez drażliwego nauczyciela, pomimo tego, że naprawdę staram się ze wszystkich sił.

- Ależ, Lobsang, część z tych ludzi, którzy wydają się być z siebie zadowoleni - czy jesteś pewien, że są tak zadowoleni z siebie? Czy jesteś pewien, że warunki są dla nich mimo wszystko takie łatwe? Dopóki nie wiesz, co planowali zrobić, zanim przyszli na Ziemię, nie powinieneś tego osądzać. **Każda osoba przychodząca na Ziemię przychodzi z gotowym planem, planem, czego chce się nauczyć, co zamierza zrobić i kim chciałaby być, kiedy opuści Ziemię po pobycie w jej szkole.** A ty mówisz, że dzisiaj naprawdę bardzo starałeś się w klasie. Jesteś *pewien*? Czy nie byłeś raczej zadowolony z siebie myśląc, że już wiesz wszystko, co należało wiedzieć o lekcji? Czy swoją wyniosłością nie zraziłeś Nauczyciela?

Popatrzył na mnie z wyrzutem, a ja poczułem, że się czerwienię. Tak, on rzeczywiście coś wiedział! Mój Przewodnik posiadał bardzo nieprzyjemny talent trafiania w czułe miejsce. Tak, byłem zadowolony z siebie. Myślałem, że tym razem Nauczyciel nie zdoła wykryć u mnie najmniejszego błędu. To moja wyniosłość w nie małym stopniu przyczyniła się do rozgniewania tego Nauczyciela. Skinąłem potakująco.

- Tak, Dostojny Lamo, skarżę się tak samo jak inni. Mój Przewodnik spojrział na mnie, uśmiechnął i pokiwał z uznaniem głową.

- Jak wiesz, Lobsang, później wyruszysz do Czungkingu w Chinach - powiedział Lama Mingyar Dondup.

Skinąłem w milczeniu, nie chcąc nawet myśleć o czasie, kiedy powinienem wyruszyć.

- Zanim opuścisz Tybet, dowiemy się na różnych uczelniach i uniwersytetach o szczegóły ich nauczania. Uzyskamy dokładne informacje i wtedy będziemy decydować, która uczelnia lub uniwersytet zaofერuje ci dokładne ten typ szkolenia, jakie będzie ci potrzebne w życiu. W podobny sposób, zanim jakaś osoba w świecie astralnym pomyśli o zejściu na Ziemię, w pierw rozważa, czego zmierza dokonać, czego chce się nauczyć i co ostatecznie chce osiągnąć. Wówczas, jak już ci powiedziałem, zostają znaleźieni odpowiedni rodzice. To tak samo, jak szukać odpowiedniej szkoły.

Im więcej myślałem o tym pomysle ze szkołą, tym mniej mi się podobał.

- Dostojny Lamo - zapytałem - dlaczego niektórzy ludzie przeżywają tak wiele chorób, tak wiele niepowodzeń, czego to ich uczy?

- Musisz pamiętać, że człowiek, który zstępuje do tego świata, musi się wiele nauczyć - odpowiedział mój Przewodnik. - To nie jest kwestia nauki rzeźby, nauki języka czy recytowania ze Świętych Ksiąg. Człowiek musi nauczyć się tego, czego zamierza używać w świecie astralnym po opuszczeniu Ziemi. Jak ci powiedziałem, to jest Świat Iluzji i doskonale nadaje się, żeby uczyć nas trudnościami, a znosząc trudności powinniśmy się nauczyć rozumieć trudności i problemy innych.

Pomyślałem o tym wszystkim i wydało mi się, że poruszyliśmy bardzo ważny temat. Mój Przewodnik oczywiście odczytał moje myśli, gdyż powiedział:

- Tak, nadchodzi noc, już czas zakończyć naszą rozmowę, ponieważ tej nocy mamy jeszcze dużo do zrobienia. Muszę pojechać na Szczyt (jak nazywaliśmy Potale) i chcę cię zabrać ze sobą. Będiesz tam całą noc i cały jutrzejszy dzień. Jutro możemy pomówić o tym znowu, lecz teraz idź i załóż na siebie czystą szatę i przynieś ze sobą zapasową.

Mój Przewodnik wstał i opuścił pokój. Zawahałem się przez chwilę - a to dlatego, że byłem oszołomiony! - a następnie wybiegłem, żeby wystroić się w moją najlepszą szatę, a drugą najlepszą wziąć jako zapasową.

Razem zjeżdżaliśmy kłusem górską drogą do Mani Lhakhang. Kiedy właśnie mijaliśmy Pargo Kaling, czyli Zachodnią Bramę, rozległ się za mną nagły, głośny wrzask, który prawie uniósł nie z siodła.

- O! Święty Lamo Medyku! - krzyczał kobiecy głos tuż przy skraju drogi.

Mój Przewodnik rozejrzał się i zsiadł z konia. Wiedząc, że nie czuję się pewnie na koniu, gestem nakazał mi pozostać w siodle. Pozwolenie to wypełniło mnie wdzięcznością.

- Tak, pani, o co chodzi? - zapytał życzliwym tonem mój Przewodnik.

Nagle poruszył się jakiś kształt i kobieta rzuciła się na ziemię do jego stóp.

- Och! Święty Lamo Medyku! - powiedziała zadyszana. - Mój mąż nie potrafił spłodzić normalnego syna, sukinsyn!

Oniemiała - oszołomiona własną śmiałością - wyjęła małe zawiniątko. Mój Przewodnik pochylił się - był bardzo wysoki - i spojrział.

- Ależ, pani! - zauważył - dlaczego obwiniasz swojego męża za chorobę swojego dziecka?

- Ponieważ ten niegodziwy człowiek zawsze ganiał za rozwiązłymi kobietami. Myśli tylko o przeciwnej płci, i potem, kiedy się pobraliśmy, nawet nie potrafił spłodzić normalnego dziecka.

Ku mojemu przerażeniu zaczęła płakać, a jej łzy spadały uderzając z delikatnym pluskiem o ziemię, jak ziarnka gradu, pomyślałem, spadające z gór.

Mój Przewodnik rozejrzał się wypatrując coś w zapadającej ciemności. Od strony Pargo Kaling wyloniła się z cienia jakaś postać i ruszyła do przodu. Był to mężczyzna w obszarpanym ubraniu z wyrazem twarzy szubienicznika. Mój Przewodnik skinął na niego, a on podszedł do przodu i uklęknął na ziemi u stóp Lamy Mingyara Dondupa. Mój Przewodnik spojrział na nich dwoje i powiedział:

- Nie robicie słusznie oskarżając się nawzajem za nieszczęśliwy poród, bo nie ma to nic wspólnego z tym, co zaszło między wami, lecz jest to sprawa karmy.

Popatrzył na dziecko znowu, odsuwając na bok pieluchy, w które było owinięte. Patrzył uważnie, wiedziałem, że ogląda aurę niemowlaka. Potem wyprostował się i powiedział:

- Pani! Twoje dziecko może zostać uleczone, jego wyleczenie jest w naszych możliwościach. Dlaczego nie przynieśliście go do nas wcześniej?

Biedna kobieta rzuciła się znowu na kolana i pośpiesznie przekazała dziecko mężowi, który wziął je, jakby miało moment wybuchnąć. Kobieta załamała ręce i patrząc na mojego Przewodnika powiedziała:

- Święty Lamo Medyku, któż zwróciłby na nas uwagę? Ponieważ jesteśmy Ragyabami, nie jesteśmy mile widziani przez żadnego lamę. Nie mogliśmy przyjść. Święty Lamo, niezależnie od tego, jak pilna była nasza potrzeba.

Pomyślałem, jakie to wszystko było zabawne. Ragyabowie albo Usuwacze Zwłok, którzy żyli w południowo-wschodniej części Lhasy, byli tak samo istotni jak ktokolwiek inny w naszej społeczności. Wiedziałem o tym, ponieważ mój Przewodnik zawsze podkreślał, że nie ważne jest, co robi człowiek, jeśli jest użytecznym członkiem naszej wspólnoty. Pamiętam, jak kiedyś śmiałem się serdecznie, kiedy powiedział:

- Nawet złodzieje, Lobsang, są użytecznymi ludźmi, ponieważ przez złodziei nie byłby potrzebny policjant. Stąd złodzieje zapewniają policjantom pracę!

Lecz ci Ragyabowie... Wielu ludzi patrzyło na nich z góry myśląc, że byli nieczysti, ponieważ mieli do czynienia ze śmiercią nać ciała zmarłych, ażeby sępy mogły pożreć rozrzucone kawałki.

Wiedziałem - i czułem jak mój Przewodnik - że wykonywali użyteczną pracę. Większość Lhasy była tak skalista i tak kamienista, że nie można było kopać grobów, a nawet gdyby było można, to Tybet był tak zimny, że ciała po prostu zamarzałyby i nie mogłyby się rozłożyć i zostać wchłonięte przez ziemię.

- Pani! - nakazał mój Przewodnik. - Przynies do mnie to dziecko osobiście za trzy dni od dzisiaj, a uczynimy wszystko, co w naszej mocy, by je uzdrowić. Z tego pobieżnego badania wydaje się, że może zostać wyleczone.

Pogrzebał w torbie przy siodle i wyjął kawałek pergaminu. Szybko napisał na nim kilka słów i wręczył go kobiecie.

- Przynieście je do mnie do Czakpori, a służący mnich dopilnuje, żebyście zostali wpuśczeni. Poinformuję odźwiernego, że przyjdziecie i nie będziecie mieli żadnych trudności. Zapewniam was, wszyscy jesteście ludźmi w oczach Boga. Nie macie powodu, by się nas bać.

Następnie zwrócił się do męża:

- Powinieneś być wierny swojej żonie.

Spojrzał na żonę i dodał:

- Nie powinnaś tak bardzo obrażać swojego męża. Być może gdybyś była dla niego miłsza, to nie chodziłby gdzie indziej szukać pociechy! Teraz idźcie do swojego domu i po trzech dniach od dzisiaj powróćcie tu, do Czakpori, a spotkam się z wami i wam pomogę. To wam obiecuję.

Dosiadł swojego kuca i odjechaliśmy. W dali przycichały słowa pochwał i podziękowań od pary Ragyabów,

- Przypuszczam, Lobsang, że przynajmniej tej nocy pozostaną w zgodzie i będą się do siebie dobrze odnosić!

Mój Przewodnik zaśmiał się krótko i skierował się drogą w górę, skręcając w lewo tuż przed wsią Szó.

Jeden z pierwszych w moim życiu widoków męża i żony wprowadził mnie naprawdę w zdumienie.

- Święty Lamo - zawołałem. - Nie rozumiem, dlaczego ci ludzie zesłi się razem, jeżeli nie lubią się nawzajem. Dlaczego tak jest?

- Nazywasz mnie teraz "Świętym Lamą"! - odpowiedział mój Przewodnik z uśmiechem. - Myślisz, że jesteś wieśniakiem? Co do twojego pytania, omówimy to wszystko nazajutrz. Dziś jesteśmy zbyt zajęci. Jutro pomówimy o tym i spróbuję uspokoić twój umysł, bo jest w nim straszny bałagan!

Wjeżdżaliśmy na wzgórze. Zawsze lubiłem spoglądać w dół na wieś Szó i ciekawiło mnie, co by się stało, gdybym rzucił sporej wielkości kamień na jakiś dach, czy przebiłby go? Lub czy stukot wywołałby u kogoś myśl, że to Diabły coś na niego zrzucają? W rzeczywistości nigdy nie odważyłem się rzucić kamieniem w dół. Nie chciałem, żeby przebił dach i kogoś wewnątrz. Jednak zawsze miałem na to wielką ochotę.

W Potali wspinaliśmy się na bezkresne drabiny - nie schody - drabiny, które były mocno zużyte i strome. W końcu dostaliśmy się do naszych kwater wysoko ponad zwykłymi mnichami, ponad magazynami. Lama Mingyar Dondup poszedł do swojego pokoju, a ja poszedłem do swojego, przyległego. Przydzielono mi ten pokój z racji ważności stanowiska mojego Przewodnika i ze względu na to, że byłem jego czelą. Teraz poszedłem do okna i jak to miałem w zwyczaju, wyjrzałem przez nie. Poniżej jakiś nocny ptak śpiewał do swojego partnera w Wierzbowym Gaju. Księżyc świecił jasno i mogłem zobaczyć tego ptaka - widziałem kręgi na powierzchni wody, gdy długie nogi ptaka mieszały ją z mułem. Gdzieś, całkiem blisko, rozległ się w odpowiedzi śpiew ptaka. *Przynajmniej ten mąż i żona zdają się być w harmonii!* - pomyślałem. Wkrótce nadszedł czas, żeby iść spać. Miałem jeszcze uczestniczyć w modłach o północy, a byłem już tak zmęczony, że pomyślałem, iż rano mógłbym zaspać.

Po południu następnego dnia Lama Mingyar Dondup przyszedł do mojego pokoju, w którym studiowałem jakąś starą księgę.

- Chodź ze mną, Lobsang - powiedział. - Wróciłem właśnie z rozmowy z Najdostojniejszym i teraz musimy omówić niepokojące cię problemy.

Odwrócił się i skierował do swojego pokoju. Siedząc przed nim myślałem o wszystkich sprawach, które chodziły mi po głowie.

- Panie! - powiedziałem. - Dlaczego ludzie, którzy się pobrali, są tacy nieprzyjaźni wobec siebie? Ostatniej nocy patrzyłem na aurę tych dwojga Ragyabów i wydawało mi się, że oni naprawdę się nienawidzą. Jeśli się nienawidzili, dlaczego się pobrali?

Przez kilka chwil Lama miał naprawdę smutną minę, a potem odezwał się:

- Ludzie zapomnieli, Lobsang, że przyszli na ten świat, żeby nauczyć się lekcji. Zanim ktoś się urodzi - kiedy jeszcze wciąż przebywa po drugiej stronie życia - czynione są przygotowania decydujące, jaki zostanie wybrany rodzaj, typ partnera w małżeństwie. Powinieneś zrozumieć, że wiele osób pobiera się pod wpływem czegoś, co można nazwać gorączką namiętności. Kiedy

namiętność wyczerpuje się, wtedy nowość, niezwykłość mijają, a zażyłość rodzi lekceważenie.

- Zażyłość rodzi lekceważenie - myślałem o tym bez przerwy. Dlaczego zatem ludzie pobierają się? Oczywiście ludzie pobierają się, żeby zachować ciągłość gatunku. Ale dlaczego ludzie nie mogą się zejść, tak jak czynią to zwierzęta? Podniosłem głowę i zadałem to pytanie mojemu Przewodnikowi. Popatrzył na mnie i odpowiedział:

- Dlaczego, Lobsang! Zaskakujesz mnie, powinieneś wiedzieć, tak jak każdy, że tak zwane zwierzęta często pobierają się na całe życie. Wiele zwierząt łączy się w pary na całe życie, z pewnością robi tak większość rozwiniętych zwierząt. Gdyby ludzie spotykali się, jak mówisz wyłącznie w celu przedłużenia gatunku, wtedy pochodzące z tego dzieci byłyby prawie bezdusznymi ludźmi, tak samo jak te stworzenia, które rodzą się w wyniku tak zwanego sztucznego zapłodnienia. Musi być w tym miłość, musi być miłość pomiędzy rodzicami, jeśli jak najlepsze dziecko ma się urodzić. W przeciwnym wypadku sytuacja przypomina produkowanie wyrobów w fabryce!

Sprawa męża i żony naprawdę mnie zakłopotała. Pomyślałem o moich rodzicach. Moja matka była despotyczną kobietą, a ojciec był dla nas, jego dzieci, bardzo surowy. Nie mogłem zdobyć się na wiele synowskich uczuć, kiedy myślałem o mojej matce czy moim ojcu.

- Ale dlaczego ludzie pobierają się w gorączce namiętności? - zapytałem mojego Przewodnika. - Dlaczego nie pobierają się tak, jakby to był układ handlowy?

- Lobsang! - odpowiedział mój Przewodnik. - Jest to częsty sposób u Chińczyków i Japończyków. Ich małżeństwa są często kojarzone i muszę przyznać, że chińskie i japońskie małżeństwa są daleko bardziej udane niż małżeństwa świata zachodniego. Chińczycy sami porównują to do kotła. Nie pobierają się w pasji, ponieważ mówią, że jest to podobne do gotującego się i stygnącego kotła. Pobierają się na zimno i pozwalają, by mityczny kocioł dochodził do wrzenia i w ten sposób dłużej pozostawał gorący.

Spojrzał na mnie, by zobaczyć, czy nadażam i czy jest to dla mnie jasne.

- Lecz nie mogę zrozumieć. Panie, dlaczego ludzie są razem tacy nieszczęśliwi.

- Lobsang, ludzie przychodzą na świat jak do klasy. Przychodzą, by się uczyć i gdyby przeciętny mąż i żona byłiby razem idealnie szczęśliwi, nie uczyliby się, bo wtedy nic nie pozostałoby do nauczenia. Przychodzą na ten świat, by być razem i razem przejść przez życie - to jest część lekcji - muszą się nauczyć dawać i brać. Ludzie mają przykre przywary, przyzwyczajenia, które rażą i drażnią partnera. Przykry partner musi nauczyć się opanowywać i być może przestanie być utrapieniem. Partner źle traktowany musi nauczyć się tolerancji i wyrozumiałości. Prawie każda para może z powodzeniem żyć razem pod warunkiem, że nauczyli się dawać i brać.

- Panie - zapytałem - co można byłoby doradzić mężowi i żonie żyjącym razem?

- Mąż i żona, Lobsang, powinni czekać na dogodny moment, i powinni wtedy łagodnie, uprzejmie i spokojnie powiedzieć, co powoduje w nich niezadowolenie. Jeżeli mąż i żona rozmawialiby ze sobą, mogliby być bardziej szczęśliwi w małżeństwie.

Pomyślałem o tym i byłem ciekaw, jak mogliby współżyć mój ojciec i matka, gdyby spróbowali omówić cokolwiek razem! Wydawali mi się być ogniem i wodą, nastawionymi wrogo do siebie. Mój Przewodnik oczywiście wiedział, co pomyślałem, bo mówił dalej:

- Trzeba dawać i brać, bowiem jeżeli ludzie zamierzają czegokolwiek się nauczyć, to powinni być wystarczająco świadomi, żeby wiedzieć, czy coś z nimi jest nie w porządku.

- Ale jak to jest - zapytałem - że jeden człowiek zakochuje się w drugim, lub odczuwa sympatię do drugiego? Jeżeli ludzie są atrakcyjni dla siebie w jednym okresie, to dlaczego tak szybko stają się oziębli?

- Lobsang, dobrze wiesz, że jeśli człowiek widzi aurę, to może dużo powiedzieć o innym człowieku. Przeciętny człowiek nie widzi aury, lecz zamiast tego wielu ludzi ma jakieś odczucia, mogą powiedzieć, że lubią, bądź nie lubią tego człowieka. Najczęściej nie potrafią powiedzieć, dlaczego lubią lub nie lubią, lecz przyznają, że jeden człowiek podoba im się, a inny nie.

- Dobrze, Panie - zawołałem - ale jak oni nagle mogą lubić kogoś, a potem nagle go nie

lubić?

- Jeżeli ludzie są w pewnym stanie, kiedy czują, że są zakochani ich wibracje rosną i może się zdarzyć, że kiedy dwoje ludzi, jakiś mężczyzna i jakaś kobieta, mają podwyższone wibracje, to są ze sobą zgodni. Na nieszczęście nie zawsze udaje im się utrzymywać te podwyższone wibracje. Żona staje się zaniedbana, być może odmawia mężowi tego, co niezaprzeczalnie jest jego prawem. Mąż udaje się wówczas do jakiejś innej kobiety i stopniowo zaczynają się oddalać. Stopniowo ich wibracje eteryczne zmieniają się tak, że nie są już dłużej zgodne i stają się całkowicie przeciwstawne.

Tak, mogłem to sobie wyobrazić, to naprawdę wiele wyjaśniało, ale powróciłem do ataku!

- Panie! Najbardziej trudno jest mi zrozumieć, dlaczego dziecko ma żyć może przez miesiąc, a potem umrzeć. Jaką ma to dziecko szansę nauczyć się czegoś lub spłacić karmę? Jakkolwiek na to spojrzę, wydaje się to być dla każdego jedynie marnotrawstwem.

Lama Mingyar Dondup uśmiechnął się lekko na moją porywcość.

- Nie, Lobsang, nic nie jest marnotrawione! Masz zamęt w głowie. Zakładasz, że człowiek żyje tylko przez jedno życie. Weźmy pewien przykład.

Popatrzył na mnie, a potem na chwilę wyjrzał przez okno. Mogłem widzieć, że rozmyślał o tych ludziach, Ragyabach - być może myślał o ich dziecku.

- Chciałbym, żebyś sobie wyobraził, że towarzyszysz człowiekowi, który przechodzi przez serię wcieleń - powiedział mój Przewodnik. - Człowiek ten postępował źle w jednym życiu i w starszym wieku decyduje, że nie może tak dalej żyć. Decyduje, że warunki są dla niego zbyt złe, więc kończy ze swoim życiem, popełnia samobójstwo. Umiera więc, zanim powinien umrzeć. **Każdemu człowiekowi przeznaczone jest żyć pewną liczbę lat, dni i godzin. To wszystko jest ustalone, nim przyjdziemy na tę Ziemię.** Jeśli ktoś kończy swoje życie, założmy na dwanaście miesięcy przed swoją naturalną śmiercią, to musi powrócić i odsłużyć dodatkowe dwanaście miesięcy.

Spojrzałem na niego i wyobraziłem sobie pewne niezwykle możliwości, które mogły z tego wynikać.

- Człowiek kończy swoje życie - mówił dalej mój Przewodnik. - Pozostaje w świecie astralnym, aż nadarzy się okazja, kiedy znowu może zejść na Ziemię w odpowiednich warunkach i przeżyć czas, jaki musi odsłużyć na Ziemi. Otóż taki człowiek z dwunastoma miesiącami może zejść i być chorowitym dzieckiem, i umrze jeszcze ciągle będąc dzieckiem. Tracąc to dziecko rodzice również coś zyskują. Stracą dziecko, lecz zyskują doświadczenie. Zapłacą mniej z tego, co musieliby zapłacić. Zgodzimy się, że **dopóki ludzie przebywają na Ziemi, ich poglądy, percepcja, wartości - wszystko - są wypaczone.** To jest, powtarzam. Świat Iluzji, świat fałszywych wartości i kiedy ludzie powracają do Wyższego Świata Nadświadomości, rozumieją, że ciężkie, bezsensowne lekcje i doświadczenia zdobyte podczas pobytu na Ziemi mimo wszystko nie były takie bezsensowne.

Przyjrzałem się sobie i pomyślałem o tych wszystkich przepowiedniach o mnie - przepowiedniach trudów, przepowiedniach tortur, przepowiedniach pobytu w odległych i dziwnych krajach.

- W takim razie człowiek, która udziela przepowiedni - zauważyłem - po prostu kontaktuje się ze źródłem informacji. Jeżeli wszystko jest ustalone, zanim ktoś przybędzie na Ziemię, to jest możliwe w pewnych warunkach przechwycić tę wiedzę?

- Tak, masz całkowitą rację - odpowiedział mój Przewodnik - lecz nie myśl, że wszystko jest zaplanowane jako nieuniknione.

Takie są tylko podstawowe linie postępowania. Są nam dane pewne problemy, pewne linie postępowania, a poza nimi mamy swobodę czynić najlepiej, jak umiemy. Jeden może postępować dobrze, a drugi może zawieść. Spójrz na to tak: przypuśćmy, że dwóm ludziom powiedziano, że muszą dotrzeć stąd do Kalimpongu w Indiach. Nie muszą podążać tą samą drogą, lecz muszą przybyć do tego samego celu, jeśli zdołają. Jeden człowiek wybierze jedną trasę, a drugi wybierze inną. W zależności od trasy, jaką wybiorą, będą mieli swoje doświadczenia i przygody. To tak jak życie. Nasze przeznaczenie jest znane, ale jak je spełnimy, to pozostaje już w naszych rękach.

Gdy rozmawialiśmy, pojawił się posłaniec i mój Przewodnik wyjaśniwszy mi krótko sytuację udał się za nim korytarzem w dół. Wyrzałem znowu przez okno kładąc łokcie na parapecie, a głowę opierając na dłoniach. Myślałem o wszystkim, co mi powiedziano, myślałem o doświadczeniach, jakie nabyłem i cała moja istota przepelniła się miłością do tego wielkiego człowieka. Lamy Mingyara Dondupa, mojego Przewodnika, który okazał mi więcej miłości, niż kiedykolwiek okazali mi moi rodzice. Zdecydowałem, że niezależnie od tego, co przyniesie przyszłość, będę zawsze działał i zachowywał się tak, jak gdyby mój Przewodnik był u mojego boku i nadzorował moje działania. Na odległych polach w dole ćwiczyli mnisi muzycy. Z ich instrumentów dobywały się różne "brumps-brumps-brumps" oraz piski i jęki. Patrzyłem na nich leniwie. Muzyka nic dla mnie nie znaczyła, nie miałem muzycznego słuchu. Lecz widziałem, że byli bardzo pilnymi ludźmi, naprawdę próbującymi zagrać dobrą muzykę. Odwróciłem się myśląc, że mógłbym raz jeszcze zająć się książką.

Wkrótce zmęczyłem się czytaniem, byłem rozkojarzony. Doświadczenia spadały na mnie coraz szybciej i szybciej. Coraz bardziej leniwie przewracałem kartki, a potem, z nagłym postanowieniem, złożyłem wszystkie te drukowane arkusze z powrotem między rzeźbione drewniane okładki i zawiązałem taśmy. Była to księga, którą należało zawiązać w jedwab. Z wrodzonej troską zakończyłem te czynności i odłożyłem księgę na bok.

Wstałem, podszedłem do okna i wyrzałem. Noc była trochę duszna, cicha, bez powiewu wiatru. Odwróciłem się i opuściłem pokój. Wszystko było ciche, ciche ciszą wielkiego budynku, który niemalże żył. Tutaj w Potali ludzie przez wiele stuleci trudzili się przy świętych pracach i sam budynek rozwinął własne życie. Poszedłem szybkim krokiem na koniec korytarza, gdzie wspierałem się po drabinie. Wkrótce dostałem się na wysoki dach, od strony Świętych Grobów.

Cicho przeszedłem do mojego zwykłego miejsca, miejsca, które było dobrze osłonięte przed wiatrami zazwyczaj wiejącymi z gór. Oparty plecami o Świętą Figurę, z rękami złożonymi z tyłu głowy, wpatrywałem się w Dolinę. Zmęczony tym po jakimś czasie, położyłem się na plecach i patrzyłem na gwiazdy. W miarę jak patrzyłem, coraz bardziej miałem dziwne wrażenie, że wszystkie te światy nade mną obracały się wokół Potali. Po jakimś czasie sprawiło to, że poczułem zawroty głowy, tak jakbym spadał. Wpatrywałem się w delikatne ornamenty świetlne. Stając się jaśniejsze, eksplodowały w nagłym wybuchu jaskrawego światła. *Kolejna kometa zgasła!* - pomyślałem, gdy spłonęła i zginęła w strumieniu ciemnoczerwonych iskier.

Usłyszałem prawie nieuchwytnie dla ucha "szur-szur" gdzieś blisko. Ostrożnie podniosłem głowę, ciekawy co to mogło być. W słabym świetle gwiazd zobaczyłem zakapturzoną postać stającą w tą i z powrotem po przeciwnej stronie Świętych Grobów. Obserwowałem. Postać podążyła do ściany zwróconej do Lhasy. Ujrzałem profil tego człowieka, kiedy wpatrywał się w dal. Najbardziej samotny człowiek w Tybecie, pomyślałem. Człowiek, na którym spoczywa więcej trosk i odpowiedzialności niż na kimkolwiek innym w tym kraju. Usłyszałem ciężkie westchnienie i byłem ciekaw, czy On także miał tak srogie przepowiednie jak ja. Ostrożnie przekręciłem się i cicho odczołgałem. Nie pragnąłem wnikać - nawet niewinnie - w prywatne myśli innych. Wkrótce wróciłem do wejścia i cicho zszedłem do sanktuarium mojego własnego pokoju.

Jakieś trzy dni później byłem przy tym, jak mój Przewodnik, Lama Mingyar Dondup badał dziecko małżeństwa Ragyabów. Rozebrał je i starannie obejrzał aurę. Przez pewien czas zastanawiał się nad podstawą czaszki. Dziecko nie płakało ani nie kwiliło niezależnie od tego, co robił mój Przewodnik. Nawet tak małe rozumiało, że Lama Mingyar Dondup próbuje je uzdrowić. Mój Przewodnik w końcu wstał i powiedział:

- Cóż, Lobsang! Wyleczymy je. To jasne, że ma dolegliwość spowodowaną trudnościami przy porodzie.

Rodzice oczekiwali w pokoju przy wejściu. Trzymając się blisko jak cień mojego Przewodnika, poszedłem z nim zobaczyć tych ludzi. Kiedy weszliśmy, padli do stóp Lamy. On łagodnie przemówił do nich:

- Wasz syn może być i zostanie wyleczony. Z naszego badania wynika, że w czasie porodu upuszczono go albo uderzono. Temu można zaradzić, nie musicie się bać.

- Święty Lamo Medyku, jest, jak powiedziałaś – odpowiedziała matka drząc. - Pojawił się niespodziewanie, nagle, i spadł na podłogę. Byłam sama w tym czasie.

Mój Przewodnik skinął ze współczuciem i zrozumieniem.

- Wróćcie o tej samej godzinie jutro i jestem pewien, że będziecie mogli zabrać dziecko ze sobą - wyleczone. Ciągłe kłaniali się i padali do stóp, gdy opuszczaliśmy pokój. Mój Przewodnik kazał mi dokładnie zbadać dziecko.

- Patrz, Lobsang, tu jest nacisk - poinformował. - Ta kość naciska na rdzeń kręgowy. Zauważ, jak światło aury przybiera kształt wachlarza zamiast koła.

Wziął moje ręce w swoje i kazał mi dotykać wokół chorego miejsca.

- Zamierzam przesunąć, *wycisnąć* zawadzającą kość. Patrz! Szybciej, niż mogłem zobaczyć, wcisnął kciuki - i wyjął. Dziecko nie krzyknęło. Było to dla niego zbyt szybko, by poczuć ból. Jednak teraz głowa nie chwiała się na boki jak przedtem, lecz pozostawała prosto, tak jak powinna. Przez jakiś czas mój Przewodnik masował szyję dziecka, ostrożnie, od głowy w kierunku serca, a *nigdy* w przeciwnym kierunku.

Następnego dnia, o wskazanej godzinie, powrócili rodzice i prawie szaleli z radości widząc niemalże cud.

- Musicie za to zapłacić - uśmiechnął się Lama Mingyar Dondup. - Otrzymaliście dobro, dlatego musicie *odpłacić* dobrem sobie nawzajem. Nie kłóćcie się, ani nie sprzecajcie, ponieważ dziecko przyswaja postawy rodziców. Dziecko niedobrych rodziców staje się niedobre. Dziecko nieszczęśliwych, nie kochających rodziców jest nieszczęśliwe i nie kochające w swoim życiu. Płaćcie - dobrocią i miłością sobie nawzajem. Zawołamy was po tygodniu, żeby obejrzeć dziecko.

Uśmiechnął się, pogłaskał policzek dziecka, a potem odwrócił się i wyszedł ze mną przy boku.

- Niektórzy bardzo biedni ludzie są dumni, Lobsang. Są zdenerwowani, jeżeli nie mają pieniędzy, którymi mogliby zapłacić. Zawsze daj im możliwość *myśleć*, że zapłacili.

- Powiedziałem im, że muszą zapłacić - zauważył mój Przewodnik z uśmiechem. - To się im spodobało, bowiem myśleli, że w swoich najlepszych ubraniach zrobili na mnie takie wrażenie, że pomyślałem, iż są ludźmi z pieniędzmi. Jedynym sposobem, w jaki mogą zapłacić, jak powiedziałem, jest dobroć dla siebie nawzajem. Pozwól mężczyźnie i kobiecie zachować ich godność, szacunek do samych siebie, Lobsang, a oni zrobią wszystko, o co poprosisz!

Będąc w swoim pokoju podniosłem teleskop, którym zwykle się bawiłem. Wysuwając lśniąca mosiężne rury spojrziałem w kierunku Lhasy. W polu widzenia pojawiły się szybko dwie postacie, jedna niosła dziecko. Kiedy tak patrzyłem, mężczyzna objął żonę i pocałował ją. W milczeniu odłożyłem teleskop i zająłem się swoją nauką.

Rozdział XI

Właśnie bawiliśmy się. Kilku z nas chodziło po podwórzu na szczudłach, próbując nawzajem się zrzucić. Ten, kto zdołał utrzymać się na szczudłach pomimo ataków innych, zostawał zwycięzcą. Trzech z nas wpadło na siebie śmiejąc się. Ktoś utknął ze szczudłami w dziurze w ziemi i runął zawadzając o nas.

- Stary nauczyciel Raks był dzisiaj w błękitnym nastroju, w porządku! - powiedział z zadowoleniem jeden z moich kolegów.

- Tak! - wykrzyknął inny z gromady. - Ktoś zzielenieje z zazdrości, że mógł on wpaść w taki nastrój i wyrzucić to z siebie na nas jednym tchem.

Spolglądaliśmy na siebie i zaczęliśmy się śmiać. Błękitny nastrój? Zielony z zazdrości? Zawołaliśmy pozostałych, żeby zeszli ze szczudeł i usiedli na ziemi razem z nami, a potem zaczęliśmy nową grę. Ile kolorów moglibyśmy użyć opisując różne rzeczy?

- Niebieski na twarzy! - zawołał jeden.

- Nie - odpowiedziałem. - mieliśmy już niebieski, mieliśmy już błękitny nastrój.

Graliśmy dalej, przechodząc od błękitnego nastroju do opata pogrążonego w brunatnych rozmyślaniach i nauczyciela zieleniejącego z zazdrości. Ktoś inny napomknął o szkarłatnej kobiecie, którą widział na rynku w Lhasie! Przez chwilę nie wiedzieliśmy, czy zgodzić się na to, bo nikt z nas nie był pewny, co szkarłatna kobieta mogła znaczyć.

- Wiem! - krzyknął chłopiec z prawej strony. - Człowiek może być żółty ze strachu. Poza tym żółty często jest używany do oznaczenia tchórzostwa.

Pomyślałem o tym wszystkim i wydało mi się, że jeśli takie powiedzenia są pospolicie używane w każdym języku, to musi kryć się za tym jakaś uzasadniona przyczyna. Skłoniło mnie to do poszukania mojego Przewodnika Lamy Mingyara Dondupa.

- Dostojny Lamo! - w podnieceniu przerwałem mu jego zajęcia. Spojrzał na mnie wcale nie zmieszany moim bezceremonialnym wejściem. — Dostojny Lamo, dlaczego używamy kolorów do opisywania nastrojów?

Odłożył książkę, którą czytał i wskazał, bym usiadł.

- Przypuszczam, że masz na myśli te powszechnie używane terminy jak błękitny nastrój czy zielony z zazdrości? - zapytał.

- Tak - odpowiedziałem z jeszcze większym podnieceniem, bo tak dobrze wiedział, do czego się odwoływałem. - Chciałbym naprawdę wiedzieć, dlaczego te wszystkie kolory są ważne. Coś za tym musi się kryć!

Popatrzył na mnie i roześmiał się znowu.

- Otóż, Lobsang - odpowiedział - wprosiłeś się na kolejny długi, acz przyjemny wykład. Ale widzę, że wykonałeś jakieś wyczerpujące ćwiczenia i myślę, że możemy napić się herbaty - na swoją czekałem już i tak - następnie zajmiemy się twoją sprawą.

Tym razem była to taka sama herbata i tsampa, jaką otrzymywał każdy inny mnich, lama czy chłopiec, w całym Klasztorze. Jedliśmy w milczeniu. Myślałem o kolorach i byłem ciekawy ich znaczenia. Wkrótce skończyliśmy nasz raczej skromny posiłek i spojrzałem wyczekująco na mojego Przewodnika.

- Wiesz trochę o instrumentach muzycznych, Lobsang - zaczął. - Wiesz na przykład, że na Zachodzie jest instrument muzyczny znany jako fortepian. Pamiętasz, razem oglądaliśmy go na zdjęciu. Ma on klawiaturę z wieloma klawiszami, niektóre są czarne inne białe. Zapomnijmy o czarnych, zamiast tego wyobraźmy sobie, że mamy klawiaturę o długości dwóch mil - lub nawet dłuższą, jeśli chcesz - która zawiera każdą wibrację, jaką można spotkać na dowolnej płaszczyźnie egzystencji.

Popatrzył na mnie, żeby zobaczyć, czy nadażalem, gdyż fortepian był dla mnie nieznanym instrumentem. Jak powiedział mój Przewodnik, widziałem takie rzeczy tylko na zdjęciach. Zadowolony, że przyswoiłem sobie tak przedstawioną myśl, mówił dalej:

- Gdybyś miał klawiaturę zawierającą każdą wibrację, wtedy cały zakres ludzkich wibracji mógłby obejmować być może trzy środkowe klawisze. Rozumiesz - a przynajmniej mam nadzieję, że rozumiesz! - iż wszystko składa się z wibracji. Weźmy najniższą wibrację znaną człowiekowi. Najniższą wibrację ma ciało stałe. Dotykasz je, a ono zatrzymuje twój palec i w tym samym czasie wszystkie jego cząsteczki wibrują! Podążasz dalej w górę wyobrażonej klawiatury i możesz usłyszeć wibrację znaną jako dźwięk. Możesz posunąć się jeszcze dalej i twoje oczy zaczną odbierać wibracje znane jako obraz.

Poderwałem się na to do góry; jak obraz mógł być wibracją? Jeżeli patrzyłem na jakąś rzecz - cóż, *jak* widziałem?

- Widzisz, Lobsang, ponieważ widziany przedmiot wibruje i wytwarza drgania, które są odbierane przez oko. Innymi słowy, przedmiot, który widzisz, wytwarza falę, która z kolei może zostać odebrana przez pręciki i stożki w oku. Przenoszą one odebrane impulsy do tej części mózgu, która przetwarza impulsy na obraz pierwotnego przedmiotu. Wszystko to jest bardzo skomplikowane, a my nie chcemy wnikać w to zbyt głęboko. Po prostu staram się wyjaśnić ci, że wszystko jest wibracją. Jeżeli podążymy wyżej na wspomnianej skali, natrafimy na fale radiowe,

fale telepatyczne i fale tych ludzi, którzy żyją na innych poziomach. Niemniej powiedziałem, że ograniczymy się szczególnie do tych mitycznych trzech klawiszy na klawiaturze, które mogą zostać odebrane przez ludzi jako ciało stałe, dźwięk lub obraz.

Musiałem pomyśleć o tym wszystkim. Była to sprawa, która rzeczywiście zmuszała mój umysł do wytężonej pracy. Zawsze byłem gotów się uczyć, ale łagodnymi metodami mojego Przewodnika. Jeden jedyny raz sprzeciwiłem się nauce, kiedy pewien nauczyciel tyran przetrzepał moją biedną, starą szatę okropnie nieprzyjemnym kijem.

- Pytałeś o kolory, Lobsang. Otóż, pewne wibracje wyrażają się w aurze człowieka jako kolory. I tak, dla przykładu, kiedy jakiś człowiek czuje się przygnębiony - jeżeli czuje się całkiem nieszczęśliwy - wtedy część jego zmysłów będzie emitować wibrację lub częstotliwość zbliżoną do koloru nazywanego niebieskim. Dzięki temu nawet ludzie, którzy nie są jasnowidzami, mogą niemalże wyczuć błękit i tak kolor może wnikać do większości języków świata w określeniu "niebieski nastrój" - jako nieprzyjemny, nieszczęśliwy nastrój.

Zacząłem pojmywać ideę tej myśli, lecz stale zastanawiało mnie, jak ktoś mógł być zielony z zazdrości, więc zapytałem o to.

- Lobsang, drogą dedukcji powinieneś umieć pojąć, że kiedy ktoś cierpi z powodu wady zwanej zazdrością, wtedy jego wibracje zmieniają się w ten sposób, że sprawia to na innych wrażenie, że jest zielony. Nie mam na myśli, jak powinieneś być świadom, że ów człowiek staje się zielony, lecz - że sprawia wrażenie będącego zielonym. Chciałbym ci też wyjaśnić, że kiedy ktoś urodził się pod wpływem określonej planety, wtedy jej kolory silnie na tego kogoś oddziałują.

- Tak - wybuchnąłem. - Wiem, że osoby urodzone pod znakiem Barana lubią czerwień!

Mój Przewodnik roześmiał się z mojej zapalczowości i powiedział:

- Tak, to wynika z praw harmonii. Pewni ludzie reagują bardziej na niektóre kolory, ponieważ wibracje tych kolorów są zgodne z ich własną podstawową wibracją. Dlatego osoba urodzona pod znakiem Barana (na przykład) lubi kolor czerwony – gdyż osoba spod znaku Barana ma w sobie dużo czerwieni, a sam kolor czerwony uważa za przyjemny dla oczu.

Dusiłem w sobie następne pytanie. Wiedziałem już o tych zielonych i błękitnych kolorach, wiedziałem nawet, dlaczego ktoś mógł być pogrążony w brunatnych rozmyśleniach - ponieważ kiedy człowiek koncentrował się na pewnym rodzaju badań, jego aura mogła zostać zmaczona brunatnymi plamami. Lecz nie mogłem zrozumieć, dlaczego kobieta może być szkarłatna.

- Dostojny Lamo! - wyrzuciłem to z siebie nie mogąc już powstrzymać dłużej ciekawości - dlaczego kobieta może być określana jako szkarłatna kobieta?

Mój Przewodnik popatrzył na mnie, jakby miał pęknąć. Przez chwilę zastanawiałem się, co takiego powiedziałem, że niemal dostał ataku tłumiacz rozbawienie. Odpowiedział mi łagodnie i szczegółowo, tak abym w przyszłości nie miał już żadnych wątpliwości!

- Chcę ci także powiedzieć, Lobsang, że każdy człowiek ma pewną podstawową częstotliwość wibracji, to znaczy, cząsteczki każdej osoby wibrują z pewną szybkością, a długość fal wytwarzanych przez mózg człowieka można uszeregować w specjalne grupy. Nie ma dwóch osób mających tę samą długość fali - mających długość fal identyczną pod każdym ich względem. Niemniej kiedy dwie osoby mające prawie taką samą długość fali, lub kiedy ich długość fali pokrywa się z pewnymi oktawami innych, wtedy mówi się, że te osoby odpowiadają sobie i zazwyczaj czują się bardzo dobrze przebywając razem.

Spojrzałem na niego i zaciekało mnie coś odnośnie naszych pełnych temperamentu artystów.

- Dostojny Lamo, czy to prawda, że niektórzy artyści wibrują z wyższą częstotliwością niż inni? - zapytałem.

- Z pewnością tak jest - odpowiedział mój Przewodnik. – Jeżeli człowiek posiada coś, co jest nazywane natchnieniem, jeśli jest dobrym artystą, wtedy częstotliwość jego wibracji musi być wiele razy wyższa niż przeciętnie. Czasami to go denerwuje - trudno z nim wytrzymać. Mając wyższą szybkość wibracji niż większość z nas, przejawia on tendencje, by patrzeć z góry na nas, zwykłych śmiertelników. Jednak często dzieło, które tworzy, jest tak dobre, że możemy znieść jego drobne kaprysy i zachcianki!

Wyobraziłem sobie tę wielką klawiaturę rozciągającą się na kilka mil i wydało mi się czymś dziwnym, że w klawiaturze rozciągającej się na wiele mil ludzki zakres doznań ograniczałby się jedynie do trzech klawiszy. Powiedziałem to.

- Jak wiesz, Lobsang, istota ludzka lubi myśleć, że jest jedynym tak ważnym stworzeniem. W rzeczywistości mamy tak wiele, wiele różnych form życia poza ludźmi. Na innych planetach występują formy życia całkowicie obce ludziom i przeciętny człowiek nawet nie mógłby poznać takich form życia. Na naszej mitycznej klawiaturze mieszkańcy planet bardzo odległych od naszego wszechświata znajdowałby się daleko na przeciwnym końcu klawiatury niż ten zajmowany przez ludzi. Również ludzie na astralnym poziomie egzystencji będą wyżej na klawiaturze, bowiem duch mogący przechodzić przez ściany jest tak subtelnej natury, że jego własna szybkość wibracji jest naprawdę wysoka, chociaż molekularna gęstość jest mała.

Popatrzył na mnie i roześmiał się widząc mój zakłopotany wyraz twarzy.

- Widzisz, duch może przejść przez kamienną ścianę, ponieważ kamienna ściana składa się z wibrujących cząsteczek - wyjaśnił. - Pomiędzy cząsteczkami znajdują się wolne przestrzenie i jeśli miałbyś istotę z cząsteczkami tak małymi, że mogłyby przemieścić się w przestrzeniach kamiennej ściany, wówczas ta szczególna istota zdołałaby przejść przez kamienną ścianę bez żadnych przeszkód. Oczywiście istoty astralne mają bardzo wysoką szybkość wibracji i są subtelnej natury, to znaczy, iż nie są ciałami stałymi, co z kolei oznacza, że mają mało cząsteczek. Większość ludzi wyobraża sobie, że przestrzeń poza naszą Ziemią - poza krańcem powietrza nad nami - jest pusta. Nie jest tak, przestrzeń wszędzie zawiera cząsteczki. Są to najczęściej cząsteczki wodoru, które są bardzo rozproszone, ale są tam i mogą zostać zmierzone mnie więcej w taki sam sposób, jak można zmierzyć obecność tak zwanego ducha.

Zabrzmiały świątynne konchy, wzywając nas ponownie do modłów.

- Jutro porozmawiamy o tym znowu, Lobsang, ponieważ chcę żebyś miał całkowitą jasność w tej kwestii - powiedział mój Przewodnik, gdy rozstawaliśmy się przy wejściu do Świątyni.

Zakończenie świątynnych modłów było początkiem wyścigu - wyścigu po jedzenie. Byliśmy wszyscy niezmiernie głodni, gdyż nasze zapasy żywności wyczerpały się. Był to dzień nowej dostawy świeżo prażonego jęczmienia. W Tybecie wszyscy mnisi noszą małe skórzane woreczki z prażonym i zmielonym jęczmieniem, który dodany do maślanej herbaty staje się tsampą. Zatem ścigaliśmy się i niebawem dołączyliśmy do tłumu czekającego na wypełnienie woreczków. Później przesiadaliśmy do sali, gdzie podawano herbatę i mogliśmy spożyć nasz wieczorny posiłek.

Jedzenie było straszne. Żulem moją tsampę i zastanawiałem się, czy mój żołądek to zniesie. Tsampą miała okropny smak spalonego oleju i naprawdę nie wiedziałem, jak mam się do niej zabrać.

- Pfuj! — skrzywił się chłopiec koło mnie. - Spalone na węgiel! Nikt z nas nie zdoła tego przełknąć!

- Wydaje mi się, że cała partia żywności została zepsuta! - powiedziałem.

Skosztowałem nieco więcej, wykrzywając twarz z niepokoju - zastanawiając się, jak przełknę. W Tybecie marnowanie nawet takiego jedzenia jest wielkim przewinieniem. Rozejrzałem się wokół siebie i zobaczyłem, że inni też się rozglądają dookoła! Tsampa była zła i nie było co do tego wątpliwości. Wszystkie miski stały pełne, co było bardzo rzadkim zdarzeniem w naszej wspólnocie, gdzie każdy prawie zawsze znajdował się na granicy głodu. Pśpiesznie połknąłem tsampę, jaką miałem w ustach i coś bardzo dziwnego uderzyło mnie z niespodziewaną siłą w brzuch. Szybko zerwałem się na nogi i ze strachem przytrzymując usta dłonią rzuciłem się do drzwi!...

- Nieźle, młody człowieku! - powiedział dziwnie akcentujący głos, gdy wróciłem do drzwi po gwałtownym wyrzuceniu z siebie niesmacznego jedzenia. Odwróciłem się i zobaczyłem Kendzi Tekeuczi, japońskiego mnicha, który był wszędzie, widział wszystko i robił wszystko, a teraz płacił za to okresowymi napadami niepoczytalności. Patrzył na mnie ze współczuciem.

- Wstrętna żywność, nieprawdaż? - zauważył z lubością. - Miałem te same trudności co ty i wyszedłem stąd z tego samego powodu. Powinniśmy przewidzieć, co się stanie. Stoję na zewnątrz już od kilku chwil mając nadzieję, że świeże powietrze wywieje część wyziewów, które zostawiło

to złe jedzenie.

- Panie! - odpowiedziałem nieśmiało. - Byłeś wszędzie, więc powiedz mi, dlaczego w Tybecie mamy takie strasznie monotonne jedzenie? Jestem już śmiertelnie znudzony tsampą i herbatą, herbatą i tsampą i znowu tsampą i herbatą. Czasami ledwo mogę przełknąć to paskudztwo.

Japończyk spojrział na mnie z wielkim zrozumieniem i jeszcze większym współczuciem.

- Ach! Więc pytasz mnie, ponieważ próbowałem tak wiele różnych rodzajów pożywienia? Tak, próbowałem. Podróżowałem wiele przez całe moje życie. Jadałem w Anglii, Niemczech, Rosji - prawie wszędzie, gdzie mógłbyś wymienić. Pomimo moich zakonnych ślubów żyłem dobrze, lub przynajmniej tak myślałem w tamtym czasie, lecz teraz zaniedbywanie ślubów doprowadziło mnie do nieszczęścia.

Popatrzył na mnie i wydawało się, że nagle ożywił się znowu.

- Och! Tak! Pytasz, dlaczego masz tak monotonne pożywienie. Powiem ci. Ludzie na Zachodzie jedzą za dużo i mają jedzenie zbyt urozmaicone. Ich organy trawienne pracują bezwiednie, to znaczy, że nie są świadomie kontrolowane. Jak nauczamy, jeżeli mózg za pomocą oczu ma sposobność ocenić typ pożywienia, jakie zamierzamy zjeść, wówczas żołądek może wydzielić niezbędną ilość i stężenie soków żołądkowych, by strawić jedzenie. Z drugiej strony, jeżeli wszystko jest połykane bez zastanowienia, a jedzący przez cały czas jest zajęty próżną rozmową, to soki nie są wydzielane i nie może się dokonać właściwego trawienia. Biedaczysko cierpi na niestrawność, a potem, być może, również na wrzody żołądka. Chcesz wiedzieć, dlaczego twoje jedzenie jest proste? Dobrze! Im prostsze i, w granicach rozsądku, bardziej monotonne pożywienie ktoś spożywa, tym lepiej dla rozwoju psychicznych części ciała. Byłem wybitnym badaczem okultyzmu. Posiadałem wielkie zdolności jasnovidzenia i wtedy nafaszerowałem się wszelkiego rodzaju niewiarygodnymi potrawami i jeszcze bardziej niewiarygodnymi napojami. Straciłem wszystkie metafizyczne zdolności. Teraz przybyłem tutaj, do Czakpori. Wolno mi tu przebywać i mam miejsce, gdzie może odpocząć moje zmęczone ciało, zanim opuścę tę Ziemię. A kiedy opuścę już Ziemię za kilka krótkich miesięcy, usuwacze zwłok wykonają swoją robotę - dokończą dzieła, które zaczęło nieograniczone mieszanie napojów i jedzenia.

Popatrzył na mnie i wykonał jeden z tych swoich dziwacznych skoków.

- O tak, mój chłopcze! - powiedział. - Przyjmij moją radę. Trzymaj się prostego jedzenia przez wszystkie dni swojego życia, a nigdy nie utracisz zdolności. Postępując wbrew mojej radzie i połykając co popadnie, utracisz wszystko. A co zyskasz? Otóż mój chłopcze, nabawisz się niestrawności, wrzodów żołądka złych humorów. Oho! Odchodzę, czuję, że nadchodzi kolejny atak.

Japoński mnich Kendzi Tekeuczi podniósł się drżąc i chwiejnym krokiem poszedł w kierunku kwater lamów. Powiodłem za nim wzrokiem i smutno potrząsnąłem głową. Bardzo cieszyłbym się gdybym mógł porozmawiać z nim znacznie dłużej. Jakie były to rodzaje pożywienia? Czy były smaczne? Wstrząsany dreszczami wyprostowałem się. Dlaczego mam się zadręczać, jeśli wszystko co mogłem mieć, to zjełczała maślana herbata i tsampa, która naprawdę była tak spalona, że stała się zwęgloną masą i jakoś dostał się do niej dziwny oleisty składnik. Potrząsnąłem głową i wróciłem do sali.

- Dostojny Lamo, dlaczego ludzie kupują horoskopy od kramarzy na dole, przy drodze? - zapytałem później, wieczorem, mojego Przewodnika, Lamę Mingyara Dondupa.

On uśmiechnął się smutno i odpowiedział:

- Oczywiście wiesz, że nie można sporządzić wartościowego horoskopu, jeżeli nie jest on indywidualnie przygotowywany. Żaden horoskop nie może zostać przygotowany na bazie produkcji masowej. Horoskopy sprzedawane przez kramarzy na drodze są jedynie po to, żeby mogli oni wyciągnąć pieniądze od naiwnych.

Spojrzał na mnie i powiedział:

- Oczywiście, Lobsang, pielgrzymi, którzy nabywają te horoskopy wracają do domu i pokazują je jako pamiątkę z Potali! Są zadowoleni, zadowolony jest kramarz, dlatego się nimi

przejmować? Każdy jest zadowolony.

- Czy uważasz, Panie, że powinno się przygotowywać horoskopy dla ludzi? - zapytałem.

- Naprawdę nie, Lobsang, naprawdę nie. Tylko w pewnych przypadkach, takich jak twój. Zbyt często horoskopy są używane jedynie po to, by oszczędzić człowiekowi wysiłku obierania linii postępowania na własną odpowiedzialność. Jestem zdecydowanie przeciwny używaniu astrologii lub horoskopów, dopóki nie ma ku temu określonego, szczególnego powodu. Jak wiesz, przeciętny człowiek jest jak pielgrzym przedostający się przez Lhasę. Nie może ujrzeć drogi przed sobą z powodu drzew, domów i zakrętów drogi. Musi być przygotowany na wszystko. Stąd, z wyżej położonego miejsca, możemy wyrzeć w dół na drogę i zobaczyć wszystkie przeszkody. Pielgrzym jest zatem jak człowiek bez horoskopu. Przebywając wyżej w powietrzu niż pielgrzym, jesteśmy jak ludzie z horoskopem, gdyż możemy widzieć drogę przed nami i możemy ujrzeć przeszkody i trudności. Dzięki temu możemy je przewyciężyć, zanim rzeczywiście się wydarzą.

- Jest jeszcze coś, co mnie bardzo dręczy. Dostojny Lamo. Czy możesz mi powiedzieć, jak to się dzieje, że w tym życiu wiemy coś, o czym wiedzieliśmy w przeszłym?

Spojrzałem na niego z dużym niepokojem, ponieważ zawsze bałem się zadawać takie pytania. Faktycznie nie miałem prawa wnikać tak głęboko w te sprawy, lecz on nie uznał tego za wykroczenie.

- Zanim przyszedliśmy na tę Ziemię, Lobsang – odpowiedział - **zaplanowaliśmy, co zamierzamy zrobić. Wiedza ta została zgromadzona w naszej podświadomości i gdybyśmy mogli wejść w kontakt z naszą podświadomością - jak to potrafią niektórzy z nas! - wtedy wiedzielibyśmy o wszystkim, co zaplanowaliśmy. Oczywiście, gdybyśmy wiedzieli wszystko, co zaplanowaliśmy, nie byłoby zasługi w dążeniu do samodoskonalenia, ponieważ wiedzielibyśmy, że postępujemy według określonego z góry planu.** Z pewnych powodów czasami człowiek pójdzie spać albo wyjdzie świadomie z ciała i wejdzie w kontakt ze swoją Nadświadomością. Czasami Nadświadomość zdoła wydobyć wiedzę z podświadomości i przenieść ją do ciała na Ziemi. Kiedy ciało astralne powraca do ciała fizycznego, w umyśle pozostaje wiedza o pewnych rzeczach, które zdarzyły się w przeszłym życiu. Może to być specjalne ostrzeżenie, by nie popełnić jakiegoś błędu, który był popełniany życie po życiu. Czasami człowiek odczuwa wielkie pragnienie popełnienia samobójstwa - niech to posłuży za przykład - i jeżeli człowiek za zrobienie tego był karany życie po życiu, wtedy często przechowuje w pamięci coś dotyczącego samobójstwa w nadziei, że pamięć o tym pozwoli ciału powstrzymać się tym razem przed samobójstwem.

Rozważyłem to wszystko, a potem podszedłem do okna i wyjrzałem przez nie. Poniżej rozpościerała się świeża zieleń bagiennych terenów i piękna zieleń liści drzew wierzyby. Mój Przewodnik przerwał moją zadumę.

- Lubisz wyglądać przez to okno, Lobsang. Nie przyszło ci do głowy, że wyglądasz tak często, ponieważ zieleń działa kojąco na twoje oczy?

Kiedy pomyślałem o tym, uzmysłowiłem sobie, że mimowolnie spoglądam na zieleń za każdym razem po pracy z książkami.

- Zieleń, Lobsang, jest najbardziej kojącym dla oczu kolorem. Ofiarowuje ulgę zmęczonym oczom. Kiedy wyruszysz do świata Zachodu, odkryjesz, że w ich niektórych teatrach są miejsca zwane zielonym pokojem. Udają się tam aktorzy i aktorki, by dać odpocząć swoim oczom zmęczonych wypełnionymi dymem scenami oraz jaskrawym, oślepiającym światłem reflektorów.

Otworzyłem oczy ze zdumienia i postanowiłem, że powrócę do sprawy kolorów, gdy tylko nadarzy się ku temu okazja.

- Muszę cię teraz opuścić, Lobsang - powiedział mój Przewodnik - lecz jutro przyjdź do mnie znowu, gdyż zamierzam cię uczyć innych rzeczy.

Wstał, poklepał mnie po ramieniu i wyszedł. Przez pewien czas stałem wyglądając przez okno, wyglądając na tak kojącą oczy zieleń bagiennych terenów i drzew.

Rozdział XII

Stałem nieco dalej od ścieżki, spoglądając na górski stok. Serce lkało we mnie, a moje oczy były gorące od łez, których nie śmiałem uronić. W dół zbrocza znoszono starego człowieka. Japoński mnich, Kendzi Tekeuczi, "powrócił do swoich przodków". Teraz Usuwacze Zwłok znosili jego biedne, wysuszone, stare ciało daleko od nas. Czy jego Duch nadal wędrował ścieżką usłaną wiśniowym kwieciami? Czy widział błędy swojego życia i planował powrót? Spojrzałem w dół raz jeszcze, zanim ludzie minęli zakręt na ścieżce. Patrzyłem na wzruszający pakunek, który kiedyś był człowiekiem. Cień przesunął się przez słońce i przez chwilę wyobraziłem sobie, że widzę twarz w chmurach.

Czy było prawdą, zastanawiałem się, że istnieli Strażnicy Świata? Wielcy Duchowi Strażnicy, którzy dostrzegali to, że Człowiek cierpiał na Ziemi, ażeby żyć. Dlaczego musieli być tacy jak nauczyciele w szkole, pomyślałem. Być może Kendzi Tekeuczi ich spotka. Być może zostanie mu powiedziane, że uczył się dobrze. Miałem taką nadzieję, bowiem był on słabym, starym człowiekiem, który wiele zobaczył i wiele wycierpiał. Czy powinien on ponownie zstąpić w ciało - reinkarnować - by móc nauczyć się więcej? Kiedy przybędzie? Za jakieś sześćset lat, czy teraz?

Myślałem o tym. Myślałem o modłach, z których właśnie wyszedłem, modłach o poprowadzenie zmarłego. Myślałem o migoczących maślanych lampkach, migoczących jak płomienie bezsilnego życia. Myślałem o chmurach słodko pachnącego kadzidła, które zdawały się przybierać kształty żywych istot. Przez chwilę myślałem, że Kendzi Tekeuczi przyszedł pomiędzy nas znowu jako żywa istota, zamiast leżeć przed nami jako zasuszone zwłoki. Być może właśnie teraz oglądał Kronikę Akaszy, ten nieusuwalny zapis wszystkiego, co kiedykolwiek się zdarzyło. Być może był w stanie zrozumieć, co uczynił źle i zapamiętać to na czas, kiedy przybędzie ponownie.

Stary człowiek nauczył mnie wiele. Lubił mnie na swój dziwny sposób, rozmawiał ze mną jak z równym. Teraz nie było go już na Ziemi. Leniwie kopnąłem kamień i powlokłem po ziemi moimi znoszonymi sandałami. Czy miał matkę? Jakoś nie mogłem wyobrazić go sobie jako młodego człowieka, jako posiadającego rodzinę. Musiał być samotny żyjąc wśród nas, obcych, tak daleko od własnego kraju. Tak daleko od ciepłych wiatrów i własnej Świętej Góry. Często mówił mi o Japonii, a wtedy jego głos stawał się chrapliwy, a oczy dziwne.

Pewnego dnia zaszokował mnie mówiąc, że ludzie zgłębiają sprawy okultystyczne, podczas gdy zrobiliby lepiej czekając, aż będą do tego gotowi, zamiast naprzykrzać się Mistrzowi.

- Mistrz *zawsze* przychodzi, kiedy uczeń jest gotowy, chłopcze! - powiedział do mnie. - A kiedy masz Mistrza - rób wszystko, co ci mówi, bo właśnie wtedy jesteś już gotowy.

Zaczynało się chmuryć. W górze tworzyły się chmury, a wiatr zaczynał znowu porywać małe kamyki.

Poniżej mnie, w Dolinie, u stóp góry wynurzyła się mała grupa ludzi. Delikatnie umieścili wzruszający pakunek na grzbiecie konia, powsiadali na swoje konie i wolno odjechali. Wpatrywałem się w Dolinę, aż w końcu mały orszak zniknął mi z oczu. Powoli odwróciłem się i z trudem powlokłem się w górę.